

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/342

1976



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

CZYŻBY NOWE PRZEDWIOŚNIE?

Z.X.Y. :

M Ł O D Y M

M. BROŃSKI : **ROSYJSKA PODRÓŻ DE CUSTINE'A**

W. WEINTRAUB : **STANISŁAW KOT (1885-1975)**

BRUKSELCZYK :

A N G O L A

SPIS RZECZY

Z.X.Y.:	<i>Młodym</i>	3
CZYŻBY NOWE PRZEDWIOŚNIE?		
K.Z. (Gdańsk):	<i>Kto przegrał VII Zjazd Partii?</i>	6
Stefan Karaibski:	<i>Głos ucieszonego pesymisty</i>	15
Zdzisław Madziarski:	<i>Konstytucja i totalizm</i>	21
Antoni Słonimski:	<i>L'ordre règne à Varsovie</i>	25
Czesław Miłosz:	<i>List do Antoniego Słonimskiego</i>	28
—	<i>Dalsze protesty w kraju</i> (prof. E. Lipiński, J. Andrzejewski — „Memoriał 101”, „Memoriał 25-ciu”, „Memoriał młodszych pracowników naukowych i studentów KUL'u”, list gen. M. Boruty-Spiechowicza	28
—	<i>Głosy solidarności pisarzy polskich na Obczyźnie</i>	34
—	<i>Inne głosy solidarności</i>	35
◆		
—	<i>Czarna lista</i>	36
◆		
M. Broński:	<i>Rosyjska podróż de Custine'a</i>	39
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Jan Szudrzyński:	<i>Afryka: podzielona czy zjednoczona?</i>	63
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	70
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	81
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	94
Stefan Michnik:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	100
—	<i>Kronika litewska</i>	101
SPRAWY I TROSKI		
P. Emigrant:	<i>Raptularz londyński</i>	104
STRATY KULTURY POLSKIEJ		
Wiktor Weintraub:	<i>Stanisław Kot (1885-1975)</i>	108
KSIĄŻKI		
Maurice Nadeau:	<i>O „testamencie” Gombrowicza</i>	137
—	<i>Wynik Konkursu im. gen. W. Stachiewicza</i>	140
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	141
◆		
H. Grynberg, J. Jenne, L. Leneman, J. Lewandowski, A. Litwin, T. Trynka, J. Ulatowski, M. Vaughan, R. A. Zakrzewski:	<i>Listy do Redakcji</i>	153
—	<i>Z listów do Redakcji</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec - Mars

1976

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Mirosław Andrzejewski, Johannesburg	F. 3,85
Wiktoria Sabina Ardasiewicz-Machnikowa, Buenos Aires, po raz szósty	F. 90,00
Anonimowo z Edynburga	F. 70,00
Mikołaj Barakoński, Sherman Oaks, Cal. (USA), po raz ósmy ..	F. 58,50
T. J. Birch, Sandrigham, Vic. (Australia)	F. 60,75
Wilhelm Bismayer, Des Plaines, Ill. (USA), po raz jedenasty	F. 36,00
J. Blondowski, Hamilton, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 36,00
Inż. G. N. Bornet, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dziewiąty	F. 27,50
Bob Borowicz, Santiago de Chile, po raz piąty	F. 40,00
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz dwudziesty dziewiąty	F. 96,00
Helena Buś, Milwaukee, Wisc. (USA)	F. 13,50
Bezimiennie z Albuquerque, N.M. (USA), po raz siódmy	F. 31,50
Bezimiennie z Chicago, Ill. (USA), po raz piąty	F. 36,00
Bezimiennie z Finlandii	F. 44,00
Bezimiennie z Hamden, Conn. (USA), po raz szósty	F. 101,30
Bezimiennie z Milwaukee, Wisc. (USA), po raz trzynasty ..	F. 31,00
Bezimiennie z Niemiec, po raz trzynasty	F. 90,00
Bezimiennie z New Yorku, N.Y. (USA), po raz drugi	F. 22,50
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 123,47
Bezimiennie z Sydney, N.S.W. (Australia), po raz ósmy	F. 562,00
Stefan Ginilewicz, Visalia, Cal. (USA), po raz drugi	F. 27,00
Dr Stanisław Gombiński, Paryż, po raz dwunasty	F. 100,00
Marek i Barbara Hurvic, Paryż, po raz ósmy	F. 60,00
Dr Jacek Jędruch, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz drugi	F. 54,00
J. H., Toronto, Ont. (Kanada)	F. 27,50
J. W., Cambridge, Mass. (USA), po raz piąty	F. 81,00
Teresa i Henryk Komezowie, Trondheim (Norwegia)	F. 27,50
Alina Komornicka, Londyn — ku uczczeniu pamięci mego Męża Stefana Komornickiego	F. 200,00
Prof. Jerzy S. Langrod, Paryż, po raz dwudziesty czwarty ..	F. 100,00
Prof. Jerzy i Bronisława Lenczowscy, Berkeley, Cal. (USA), dla uczczenia pamięci Michała Tyszkiewicza, b. członka Poselstwa RP w Teheranie	F. 225,00
Celem uczczenia pamięci Jana Libracha — Spadkobiercy	F. 675,00
Ks. Henry Maria Malak, Lemont, Ill. (USA), po raz ósmy	F. 8,00
Jan F. Morelewski, Chicago, Ill. (USA), po raz piąty	F. 126,00
Adam Nasielski, Cooma North, NSW (Australia), po raz czwarty	F. 500,00
Stefan Nędzyński, Genewa, po raz piąty	F. 172,00
Teresa Nilski-Romer, St. Eustache, Que. (Kanada), po raz siódmy	F. 49,50
Przyjaciel z USA, po raz drugi	F. 22,50
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, N.J. (USA), po raz ósmy	F. 36,00
Małgorzata i Romuald Quas de Penno, New York — zamiast kwiatów na grób śp. Michała Sepiola	F. 54,00
Rada Stowarzyszeń Weterańskich w Cleveland, Ohio (USA) ..	F. 99,00

(c.d. na str. 160)

Z.X.Y.

MŁODYM

*Do ciebie mówię synu pokolenia,
Który znasz Polskę już tylko z imienia.
Tobie twych ojców dawna wolność niczem:
Jakimś przed laty nabazgranym kiczem
Na którym ckliwy pędzel rozczulenia
Malował białe dworki jaśniepańskie,
Warszawskie dryndy i lance ułańskie.*

*Ojczyzna twoja była krajem nędzy,
Chłopskich mozołów na jałowych gruntach.
A tych co knuli zamysty o buntach
Goledzinowscy prali chłopczy tędzy
I bunt wygasał lecz tylko pomiędzy
Nowym protestem, wiecem, strajkiem rolnym
Bo chłop był hardy gdy żył w Polsce wolnej.*

*Głodem wygnany z gnojnego czworaka
Ostatnią krowę ciągnął na postronku,
I szedł do miasta i stał na bosaka
Przed bramą fabryk w milczącym ogonku.
Choć mu skąpiono chleba i ziemiaka
Kiedy do wojny bolszewickiej przyszło
To on obronił nas w bitwie nad Wisłą.*

*Rządziły Polską bankierskie kantory,
I wiele jeszcze zostało z poddaństwa
Lecz obudzony po stuletniej nocy
Zbudował naród bez obcej pomocy
Oświatę, wojsko, złączył trzy zabory.
Biało-czerwone rozwinął kolory
Nad suwerennym terytorium Państwa.*

Dzisiaj chłop w butach goli swą gorzałkę,
 Ma w domu radio, telewizor, pralkę,
 Śląsk nam przydano, węgiel, miedź i siarkę.
 Trasy strzelistą zakreślone drogą.
 Już Polska nie jest siostrzycą ubogą
 I proletariat, który wygrał walkę
 Tworzy. Pracuje. Pracuje dla kogo?

Przez twoje trasy dywizje pancerne
 Moskał przegoni aż po Pireneje,
 Bo tak się nasze ułożyły dzieje.
 Że przetrwa tylko to co małowierne
 I Polak w służbie najemnej spodleje.
 I pójdzie obce wyzwalać narody
 Niosąc im dary bizantyńskiej mody.

Klaskaniem mają obrzękłe prawice
 Bo u nich mówcy sami sobie klaszczą,
 Gardzą się wzajem i wzajem się płaszczą.
 A wolontariusz, dobrowolny szpicel
 Każdej kolejnej będzie służył klice
 I choć go kopną, na wszelki wypadek
 But ucałuje, którym dostał w zadek.

Choć byś przegrał dzisiaj sto potyczek
 Jutro zwycięstwa możesz być żołnierzem,
 Lecz gdy cię zwiążą w slogany zwodnicze,
 A strach odwagę i honor odbierze
 Staniesz się grzecznym partyjnym harcerzem.
 Każdą myśl wolną zadławi jak stryczek
 Czerwony krawat pod białym kołnierzem.

Takie jest bowiem tych czasów prawidło
 Tak się kształtuje duch aparaczczyka.
 Nie warto nawet plunąć na to bydlę.
 Nie licz na żadne zachodnie mamidło,
 Bratnią wyciągnij dłoń do Amalryka
 Bo z tradycyjnych już historii przyczyn
 Sacharow bratem ci i Sołżenicyn.

Podaj dłoń braciom z Łotwy, Gruzji, Litwy
 I zniewolonym synom Ukrainy.
 A kościół swoje potączy modlitwy
 Z pieśnią nadziei i dobrej nowiny
 Gdy ludy wstaną do ostatniej bitwy.

I w czas partyjnych zmagani i zamętów
 Rozsadzi Moskwę siła dysydentów.

Gdy oni w sercu wroga bunt rozniecą
 Ruszy się wreszcie scena obrotowa.
 Ci, co o sprawę walczyli człowieczą
 Przywrócą czystość zbrukanego słowa.
 Socjalizm z Polską Pospolitą Rzeczą
 Złączy się w jedno i wzmocniony zbrata
 Z Wolnych Narodów Republiką Świata.

Tobie los jeszcze przyda tę godzinę,
 O której kiedyś dumał ojciec z synem,
 Co Polskę z naszym połączy Londynem.
 Gdy się chorągwie na wietrze rozwiną
 Dymy pożarów już cię nie przestraszą
 Gdy wstanie razem Polak z Rosjaninem
 Za wolność waszą i za wolność naszą.

Z.X.Y.

Czyby nowe przedwiośnie?

Kto przegrał VII Zjazd Partii?

Większość komentatorów spraw polskich odpowiedziała na to pytanie niezbyt trafnie. Uznali zjazd za sukces Gierka a jego kurs za „dynamiczny rozwój” i za klęskę narodowych komunistów, a szczególnie Szlachcica. Sprawy nie przedstawiają się tak prosto.

VII Zjazd PZPR przegrał przede wszystkim Gierek. Teza ta jest być może szokująca, ale postaramy się ją podbudować.

W ostatnich miesiącach 1975 roku panowało w kraju nadzwyczajne napięcie polityczne. Sugestywnym jego przejawem były pożary, do dziś zresztą stanowiące zagadkę i coraz to powtarzające się w mniejszej skali w różnych miastach i miasteczkach. Aparat partyjny był zelektryzowany nie tylko pożarami. Plotka polityczna, głównie wymierzona przeciwko Gierkowi, rozprzestrzeniła się masowo. Wiele wskazuje, że napięcia w polskiej partii były refleksem zmagania frakcyjnych w Sowietach. Kolejnym czynnikiem wywołującym atmosferę napięcia był brak poprawy w zaopatrzeniu, szczególnie w żywność. Trudności po prostu są tak duże, że nawet w obliczu zjazdu niewiele zdołano poprawić.

Wreszcie liczone się z próbą demonstracji grupy nacjonalistycznej w Sali Kongresowej, na samym zjeździe.

Dlatego obrady plenarne ograniczono do dwóch dni, mówcy zostali z góry wyznaczeni, a faktyczną dyskusję przeniesiono do 17 Komisji Zjazdowych ale i tam nie wszyscy mogli zabrać głos. Nie dopuszczono do głosu ani jednego przedstawiciela opozycji. W czasie obrad plenarnych i w komisjach przemawiano jednym monotonnym głosem obłudnego samozadowolenia. Uczestnicy Zjazdu partii nie dowiedzieli się ani kto był podpalaczem w licznych pożarach, ani dlaczego z ekipy rządzącej usunięto jedyne Szlachcica, ani że w ostatnim dniu zjazdu złożono w Sejmie znany memoriał 59-ciu intelektualistów i inne memoriały związane ze zmianą Konstytucji.

Podczas gdy w Pałacu Kultury delegaci byli zanudzani przez kolejnych mówców stale tymi samymi frazesami i komunałami, ludność stolicy obserwowała na ulicach gęsto rozstawione patrole milicyjne, setki tajniaków, a wokół miasta pojawiły się oddziały wojska. Kierownictwo partii było w najwyższym stopniu przestraszone, pod sugestią pożarów obawiało się jakiejś niespodzianki. Ludzi zbliżających się do Sali Kongresowej legitymowała milicja, jednego z dziennikarzy zachodnich, który nie miał karty wstępu aresztowano i przetrzymano kilka godzin. Strach partii przed własną wewnętrzną opozycją był tak wielki, że odwrócił uwagę władz bezpieczeństwa od intelektualistów zbierających podpisy w sprawie zmiany Konstytucji czy też studentów protestujących w tej samej sprawie.

Przegrana Edwarda Gierka na VII Zjeździe PZPR ma przede wszystkim charakter psychologiczny. Zjazd był w oczach społeczeństwa drętwy, nudny i śmieszny. Przypominał najgorsze tradycje stalinowskie z okazji tego rodzaju imprez. Sam I-szy Sekretarz nie miał nic do powiedzenia narodowi i delegatom własnej partii. Hasło „nowej jakości pracy i życia” powtarzano do znudzenia i stało się ono uciążliwą agitacją za zwiększeniem wydajności pracy. Agitacją zupełnie bezskuteczną, bo jak powszechnie wiadomo wydajność pracy zależy głównie od reform gospodarczych, organizacji i technologii produkcji. Sprawa reform gospodarczych zesłała w ogóle z porządku dziennego w PRL.

Pięć lat temu Edward Gierek był jakąś nadzieją społeczeństwa jako następcą powszechnie nielubianego Gomułki. Nadzieja ta została niemal doszczętnie zniszczona. Gierek stracił kontakt z opinią publiczną i w tym tkwi jego największa, najniebezpieczniejsza przegrana. Ilustrowała ją lista „gości” zaproszonych na obrady Zjazdu. Nie znalazł się wśród nich nikt z ludzi liczących się w społeczeństwie; nie było czołowych pisarzy, znanych naukowców, ani przedstawicieli świata katolickiego. Jako gości wyciągnięto z lamusa „Marszałka” Rolę-Zymierskiego, generała Berlinga, prof. Bukowskiego, Hanuszkiewicza czy Jarosława Iwaszkiewicza. Większość gości stanowili po prostu członkowie partii, nie będący delegatami wybranymi na zjazd. „Front Narodowy” nie był formalnie reprezentowany, gdyż nie przybył złożony niemocą i urażony prof. Groszkowski. Gierek akcentował rolę ZSL i SD jako sojuszników partii. Przesławny „Front Narodowy” zaczął być sprawą wstydliwą. Potrzebny jest tylko w czasie wyborów.

Ponurą „nasiadówkę” w Pałacu Kultury „uświetnił” swoją obecnością ustępujący z władz partyjnych Franciszek Szlachcic, który siedział całkiem odosobniony i szybko gdzieś się ulotnił. Natomiast Mieczysław Moczar zasiadał skromnie wśród delegatów województwa Kieleckiego, pozwolił ponownie się upokorzyć, godząc się na wygłoszenie przemówienia w komisji a nie na obradach plenarnych. I o dziwo, w przeciwieństwie do Szlachcica, został wybrany na członka Komitetu Centralnego, choć naturalnie nie wszedł już do ścisłego kierownictwa partyjnego. Dwóch

dawnych przyjaciół, a potem wrogów, mających odmienne „powiązania radzieckie”, zastosowało różną taktykę. Moczar postanowił we wszystkim podporządkować się Gierkowi i nowemu kierownictwu partyjnemu i został za to „ułaskawiony”, wszedł w skład KC. Nie daje mu to zresztą żadnych szans na przyszłość. Pozostał jako relikwyt dawnych czasów i na następnym zjeździe odejście, tak jak teraz odszedł Cyrankiewicz, Jędrzychowski i inni epigoni okresu Gomułki. Inną taktykę zastosował Szlachcic. Zwiernął się swym przyjaciołom, że mógł nadal zostać i pracować na „średnim” szczeblu aparatu państwowego. Postanowił jednak się wycofać, zaznaczając swój krytycyzm wobec obecnej linii Partii. Liczy z pewnością, że pozwoli mu to z czasem stać się alternatywą Gierka. Uchodzi zresztą za najinteligentniejszego człowieka w pogrudniowej ekipie PZPR. Moczar się łudzi, że może mu się uda powrócić do kierownictwa, stosując taktykę układowości. Szlachcic ma te same złudzenia wyraźnie dystansując się od ekipy Gierka. W rzeczywistości obaj są bezpowrotnie przegrani, ze względu na swój „nacjonalizm”, którego Rosjanie nie chcą w Polsce tolerować. A narodowi komuniści stanowią w partii nadal główną siłę opozycyjną, z którą Gierek rozprawi się do końca, z pełnym błogosławieństwem ambasadora Piłotowicza. Jak wielka jest ich siła liczebna świadczy przerażenie kierownictwa partyjnego w okresie VII Zjazdu. Gierek chce za wszelką cenę złagodzić ten problem. Mimo demonstracyjnego uchylenia się przez Szlachcica od czynnego udziału w polityce, kierownictwo partii nie zdecydowało się zdjąć go ze stanowiska wicepremiera na posiedzeniu Sejmu odbytym zaraz po Zjeździe. Było to wcześniej postanowione, a Szlachcic faktycznie swojej funkcji nie pełni. Zdecydowano jednak przedłużyć jego formalne wicepremierstwo, aby odwrócić od niego uwagę, nie rozdrażniać grup nacjonalistycznych tzw. „franciszkanów”. Szlachcic odejście w partyjny niebyt po wyborach do Sejmu, przy zmianie rządu, kiedy nastąpi jeszcze wiele innych zmian personalnych. Zdumiewająca jest ta ostrożność Gierka wobec człowieka, który był przecież uwikłany we wszystkie brudne sprawy bezpieki, a szczególnie w aferę byłego wiceministra Matejewskiego. Matejewski aresztowany, a potem zwolniony, z całą pewnością głównie przyczynił się do zdemaskowania gry Szlachcica. Ale tego wszystkiego nie można w PRL ujawnić i biedny Gierek boi się nawet dzisiaj przegranego Szlachcica, robi wszystko aby o nim nie przypomnieć, aby nie trzeba było o nim napisać w gazetach.

Fracja nacjonalistyczna stale jeszcze jest silna w partii. Chwilowo Gierek usunął jej głównych prominentów z władz partyjnych. Teraz przygotowuje szybko wybory do Sejmu, żeby zmienić 50% posłów PZPR, którzy też są „franciszkanami” i „opozycjonistami”. I-szy Sekretarz zmienił skład KC i zmienił skład Sejmu, ale bynajmniej nie pozbędzie się przez to ukrytej wewnętrznej opozycji. Rosjanie nie chcą w Polsce narodowego komunizmu, ale nie mają nic przeciwko temu, żeby Gierek kogoś się bał, żeby miał przeciwników.

Edward Gierek jest niekwestionowanym i popieranym przez Rosjan przywódcą PZPR ale przydano mu kontrolerów i cichą, pozbawioną ideologii, opozycję. Pozycja tej grupy na tyle umocniła się na VII Zjeździe partii, że można mówić, że Zjazd nie był wygraną Edwarda Gierka. Robił on wszystko od grudnia 1970 roku, żeby pozbyć się z Komitetu Warszawskiego PZPR Józefa Kępy. Chciał mu dać nawet „kopniaka w górę”, robiąc go przewodniczącym Związków Zawodowych. Nic z tego nie wyszło. Kępa awansował na VII Zjeździe, został „pełnym” członkiem Biura Politycznego, ale zachował stanowisko I-go Sekretarza Komitetu Warszawskiego i nie dał zepchnąć się do *nie mających żadnego wpływu w Polsce Ludowej Związków Zawodowych*. Oczywiście Kępa zawdzięcza to nie tyle „umiłowaniu” przez warszawską klasę robotniczą, którym się szczyli i chwalała. Zawdzięcza to sprytnemu rozstawieniu swoich ludzi w warszawskiej organizacji partyjnej i nawiązaniu własnych stosunków z Rosjanami. To właśnie nie pozwoliło Gierkowi ruszyć Kępy i to świadczy o słabości I-go Sekretarza i o jego „relatywnej” przegranej na VII Zjeździe.

Udało się co prawda Gierkowi nie dopuścić do powrotu na stanowisko sekretarza KC innego jego „przeciwnika” — Stefana Olszowskiego. A Olszowski szykował się już do ponownego objęcia pionu propagandy, z którego usunął go Gierek, inspirowany jeszcze przez Szlachcica. Utrzymała się nadal przezabawna sytuacja, w której Jan Szydłak jest w Biurze Politycznym naczelną instancją zarówno w sprawach gospodarki jak i propagandy. Sytuacja ta świadczy dobitnie o trudnościach w konstruowaniu ekipy kierowniczej PZPR.

Gierek może zanotować w tej trudnej rozgrywce także pewne punkty dla siebie. Co prawda nie udało mu się „przeskoczyć” Kępy, ale wprowadził do Biura Politycznego trzech swoich ludzi: przyjaciela ze Śląska — Zdzisława Grudnia, ministra Spraw Wewnętrznych — Kowalczyka i szarą eminencję KC — Stanisława Kanię. Z dawnych zastępców członków Politbiura nie awansował tylko jeden, najbardziej może oddany Gierkowi i w ogóle cieszący się dobrą opinią — Barcikowski. No, ale jako minister Rolnictwa nie może poszczycić się on sukcesami, choć i klęsk nie można też zapisać wyłącznie na jego konto. Kryzys polityki rolnej jest „zasługą” naczelnych władz partyjnych. Przywileje dla nierentownych PGR’ów, nadal mało opłacalne (mimo podwyżki) ceny skupu produktów rolnych od chłopów indywidualnych i faktyczna dyskryminacja prywatnej własności rolnej prowadzą do masowego egzodusu ludności ze wsi do miasta i upadku gospodarstw chłopskich. Rolnictwo polskie stacza się systematycznie w kierunku zupełnego kryzysu. Minister Rolnictwa nie jest w stanie temu zapobiec. Mogłaby tego dokonać tylko całkiem nowa polityka rolna. Ale musiałyby ona stać w sprzeczności z „socjalistycznymi stosunkami na wsi”, które nakazał na VII Zjeździe sam car — Breżniew.

Kiedy już o nim mowa warto odnotować, że po dłuższej

kuracji antyalkoholowej „chory car” znów sobie pofolgował. Okazywał spontaniczne zadowolenie z powodu uspokojenia polskiej partii i zlikwidowania w niej odchyłań narodowych i rewizjonistycznych. Nie omieszczał jednocześnie upokorzyć Gierka hałaśliwie wesółkując w czasie jego przemówienia na przemian z Husakiem, Honeckerem czy Kadarem. Dyrygował w czasie odśpiewywania „Międzynarodówki”. Był błaznem i arcykapłanem w jednej osobie. Zresztą miał uzasadnione powody do radości. Przecież to on właśnie wygrał VII Zjazd polskiej partii. On, a nie żaden z przywódców polskich.

Gierek miał nadzieję, że za cenę — pełnego podporządkowania się żądaniom sowieckim w sprawie zdławienia ideowych tendencji w partii, przyjęcia zasad konstytucyjnych, będących pełną realizacją doktryny Breżniewa o ograniczonej suwerenności i podjęcia wysiłku inwestycyjnego ponad realne siły Polski — uzyska całkowitą dominację swojej grupy w kierownictwie PZPR. Ale całkowita kapitulacja przed Rosjanami nie przyniosła mu pełnego sukcesu personalnego. Było tajemnicą Poliszynela, że chciał wprowadzić do kierownictwa partyjnego kilku ludzi całkowicie sobie oddanych: kierownika sekretariatu KC Waszczuka, ekonomistę ze Śląska Pykę i, bijącego wszelkie rekordy niepopularności, szefa radio i telewizji Macieja Szczepańskiego. Ani jeden z tych ludzi nie przedostał się przez sito sowieckie, decydujące o układach w górze partyjnej. Żeby pocieszyć strapionego Szczepańskiego — I-szy Sekretarz w dwa dni po zjeździe przyjął kierownictwo radia i telewizji i obsypał je pochwałami. Nie bardzo pocieszyło to Szczepańskiego, który zaledwie kilka dni wcześniej był przeświadczony, że zostanie sekretarzem KC.

Przy formowaniu kierownictwa partyjnego przyjęto, oczywiście z wyjątkami, zasadę normalnego awansu z każdego szczebla na wyższy o jeden stopień. W ten sposób awansowali czterej zastępcy członków Politbiura: Kania, Kępa, Kowalczyk i Grudzień. Nie awansował tylko Barcikowski. Na zastępców członków Politbiura awansowali tylko sekretarz KC Łukasiewicz, który pod nadzorem Szydłaka kierował propagandą, i Wrzaszczyk z powodu swojej funkcji szefa Komisji Planowania. Natomiast nowymi sekretarzami KC zostali dotychczasowi kierownicy wydziałów KC i członkowie sekretariatu: Frelek, Werblan i Zandarowski, o których można powiedzieć że są nie tyle ludźmi Gierka, ile swojej własnej kariery. Werblan był zawsze człowiekiem Rosjan, Frelek i Zandarowski zdradzili Moczara.

Formalne kryteria zastosowane przy układaniu listy władz partyjnych nie dały Gierkowi pełnej dominacji w partii. Osłabia go oczywiście przede wszystkim specjalna rola Jaroszewicza jako premiera. Wreszcie drugim człowiekiem w partii pozostał nie ambitny i oddany Gierkowi Szydłak, lecz Edward Babiuch. Przypomnijmy, że Szydłaka zepchnął z czołowej pozycji nie kto inny lecz Franciszek Szlachcic. On też donosami do Rosjan odsunął od wpływów Olszowskiego, Tejchmę, Barcikowskiego i Kraśkę. I wszystko to pozostało w mocy mimo klęski i odejścia Szlach-

cica. Jego walka z Szydłakiem pozwoliła wygrać trzeciemu: Babiuchowi. On jest faktycznie i formalnie zastępcą Gierka. On dostąpił wątpliwego zaszczytu zreferowania w Sejmie projektu zmian w Konstytucji, ograniczających suwerenność kraju na rzecz doktryny Breżniewa. On więc przyjął główną rolę wykonawcy zleceń sowieckich. Gierek starał się na zjeździe powiedzieć o Konstytucji jak najmniej. Bał się sali. Babiuch powiedział w Sejmie to, co trzeba. Zaskoczył całą opinię polską wysuwając, już po memoriale 59-ciu intelektualistów, na pierwsze miejsce nie sprawę kierowniczej roli partii, ale wieczystej przyjaźni z ZSSR i związku z Blokiem Wschodnim. Mimo protestów, które już nastąpiły i tych, których można się spodziewać, poprawki konstytucyjne, być może nieco złagodzone, zostaną uchwalone przez Sejm już w lutym. Nawet jeśli znajdzie się jakiś Rejtan będzie to miało znaczenie li-tylko symboliczne i moralne. VII-my Zjazd PZPR wygrali Rosjanie, a przegrał Gierek i wszyscy polscy przywódcy komunistyczni. Przegrali go, bo kierowali się tylko względami personalnymi, chcieli zapewnić sobie korzystne układy w górze partyjnej i ostatecznie rozprawić się z narodowcami Szlachcica, czy resztkami liberałów. Stracili natomiast zupełnie z oczu konieczność przeciwstawienia się Rosjanom w sprawach zasadniczych, m.in. w sprawie zmian Konstytucji. I w ten sposób Konstytucja z 1952 roku, z okresu stalinowskiego, okazuje się lepsza, bardziej demokratyczna i szanująca przynajmniej formalnie niezawisłość Polski, od nowej Konstytucji, którą zgodził się przeprowadzić Edward Gierek i jego ekipa polityczna. Czyż w tej sytuacji można mówić serio, że Gierek wygrał VII Zjazd partii?

Wygrali go Rosjanie i ulegli im ludzie w Polsce, nazywający się dumnie internacjonalistami. Współczesne socjal-imperializmy, obojętne — sowiecki czy chiński — posiłkują się chętnie hasłem internacjonalizmu. Komunistom w Bloku Wschodnim ułatwia ono staczenie się po równi pochyłej oportunistom. Komunistom zachodnim pomaga ono w samooszukiwaniu się i łudzeniu klasy robotniczej. W rzeczywistości internacjonalizm nigdy od czasów powstania nowoczesnego ruchu robotniczego nie był w głębszym kryzysie niż obecnie. Jako praktyka polityczna po prostu przestała istnieć. Nie przeszkadza to, że jako obłudne hasło stał się instrumentem w ręku Sowietów służącym do definitywnego ograniczenia suwerenności państw Bloku Wschodniego i całkowitego rozprawienia się zarówno ze skrzydłem liberalnym, jak i nacjonalistycznym w partiach komunistycznych. Piękna i podniosła zasada ruchu proletariackiego stała się hańbą naszych czasów, środkiem upadlania ludzi i uzależnienia narodów. Zaprawdę trudno jest pozostać w naszych czasach socjalistą. Wszystko wskazuje, że z całej historycznej lewicy największy sens zachował kierunek socjaldemokratyczny właśnie dlatego, że porzucił zasady tradycyjnego socjalizmu doktrynalnego, marksistowskiego.

„Internacjonalistyczny” Komitet Centralny wybrany na VII-my

Zjeździe PZPR jest tworem równie licznym, co osobliwym. Najsilniejszą grupę stanowią w nim przekupieni i oglupieni robotnicy. Jeden z nich w pięknym stroju górnika dostał ważną rolę odczytania listy członków nowowybranego kierownictwa partyjnego. Niestety nic nie wiedział o swoich przywódcach. Mylił co drugie nazwisko. Nie wszyscy w sali Kongresowej zorientowali się kto został wybrany do Politbiura. Przedstawienie z górnikiem zdecydowanie się nie udało. Towarzysze z Wydziału Organizacyjnego KC powinni wiedzieć, że w każdym dobrym teatrze, a także w cyrku, występy poprzedzane są próbami. Próby są nawet w teatrach kukiełkowych. Uczcie się panowie!

Nie występowali na sali obrad, ale licznie usadowili się w Komitecie Centralnym, przedstawiciele kompleksu wojskowo-zbrojeniowego i władz bezpieczeństwa. Po czystce moczarowców, a później „franciszkanów” ludzie awansują tam obecnie nadzwyczaj szybko. W MSW siedzą prawie sami generałowie i pułkownicy. Ze składu Komitetu Centralnego odsiano wszystkich budżących wątpliwości. Weszli sami internacjonalisci, a wśród nich dawny liberał Rakowski i dawny narodowiec Wojna. Nie awansował i pozostał zastępcą członka KC Kazimierz Kąkol, który też usilnie nawraca się na internacjonalizm, ale w przeciwieństwie do sprytnego Rakowskiego dał się kupić na ministra, tracąc redakcję pisma i pewną niezależność. Nawróceni na internacjonalizm byli moczarowcy typu płk. Załuskiego, Wilhelmiego czy Róg-Swiostka nie przedostali się do składu „pełnych” członków KC i jest oczywiste, że za 5 lat znikną z szeregów władz partyjnych. Ewidentna jest porażka wiceministra MSW Pietrzaka, który wszedł tylko do Komisji Rewizyjnej. Nie wszystkim nawróconym wierzy się w ambasadzie sowieckiej.

Podobny los spotkał dawnego liberała Stanisława Kuzińskiego. W ogóle jest rzeczą uderzającą, że partia nie ma we władzach ani wybitnych ekonomistów ani intelektualistów. Tych pierwszych reprezentuje prof. Pajestka, a tych drugich Jaroszewski. Bardzo to skromna reprezentacja. Brak także wybitnych pisarzy. Zastąpić ich musiał schorowany Putrament. Nawet gorliwy Machajek nie zdołał przekonać kogo trzeba, że się nawrócił z nacjonalizmu. Na koniec tego raczej niewesołego obrazu trzeba dodać, że jeden z członków Politbiura, Jagielski, jest po ciężkim zawale serca cieniem samego siebie i człowiekiem załamany psychicznie, a jeden z sekretarzy KC, spokojny i rozumny Wincenty Kraśko, po drugim kolejnym zawale serca jest praktycznie na ćwierć obrotach. Partia „internacjonalistyczna” w Polsce jest więc przeraźliwie słaba. Ma dobrych personalników, wojskowych, policjantów. Nie ma kadry ekonomistów, naukowców, pisarzy. Obcinanie skrzydeł: narodowego i rewizjonistycznego drogo ją kosztowało. A właściwie wyprowadziło z niej większość żywotnych soków. Licznymi chłopcami Gierka z Katowic nie da się zapchać wszystkich biur i urzędów.

Chwilowo partii jest z tym dobrze. Ponieważ nie ma intelektualistów z prawdziwego zdarzenia, więc problematyka ideowa

ustąpiła miejsca forsowanej na zamówienie sowieckie propagandzie. Nie ulega jednak wątpliwości, że komunizm polski kończy się jako zjawisko ideologiczne i staje się tylko instrumentem sprawowania władzy. Dodajmy — bardziej władzy sowieckiej niż polskiej.

PZPR w swojej obecnej sytuacji nie byłaby w stanie rozwiązać poważniejszego kryzysu politycznego w kraju. Jeden z autorów *Kultury* napisał w zeszłym roku, że w Bloku Wschodnim panuje „neostalinizm bez terroru”. Powstaje pytanie czy neostalinizm bez terroru ma szansę utrzymać się *à la longue*. Wydaje się, że nie. W chwili kryzysu polityczno-gospodarczego musi dojść albo do terroru albo do poważniejszych reform.

Nikt nie chce być prorokiem złego, ale niestety jakieś przesilenie gospodarcze i polityczne wydaje się w najbliższych kilkunastu miesiącach nieuniknione. Planowaną od początku bieżącego roku generalną podwyżkę cen przesunięto ze względu na wiosenne wybory do Sejmu. Ceny zostaną jednak w II i III kwartale 1976 drastycznie podniesione i nie zrównoważy tego jednoczesna częściowa podwyżka płac. Inaczej bowiem zmiana cen nie miałaby w ogóle sensu. W rolnictwie najbliższy rok musi przynieść dalsze pogorszenie, bo środki podjęte przez partię nie wzbudziły zainteresowania indywidualnych chłopów. Chruszczow przewrócił się z powodu problemu rolnego. Wszystko wskazuje na to, że ten problem stanowi także nieprzezwyciężalną trudność dla Breżniewa i dla Gierka.

Aż 26 % produkcji polskiego przemysłu oparte jest o surowce importowane. Aby mieć ten niezbędny do normalnej pracy przemysłu import trzeba albo sprzedawać za twarde waluty wytworzy licznych nowych zakładów, albo uzyskać dalsze kredyty z Zachodu. W to pierwsze osobiście nie wierzę. Produkty polskie nie znajdą masowych rynków na Zachodzie i pójdą na przepastne rynki wschodnie, nie dające walut wymiennalnych. A więc pozostaje to, co Edward Gierek robi już konsekwentnie od 3 lat: dalsze kredyty zachodnie. Kto je jednak da? Czy Polska nie zbliżyła się do nieprzekraczalnej granicy w tej dziedzinie? Czy nie grozi nam niewypłacalność wobec Zachodu i utrata zaufania naszych partnerów międzynarodowych? Na żadne z tych pytań i problemów VII Zjazd nie udzielił odpowiedzi. Wszystkie je starannie ominął. M.in. dlatego także zjazd był przegraną Edwarda Gierka.

Polska stoi wobec nadzwyczaj skomplikowanych problemów gospodarczych i społeczno-politycznych. Partia je dobrze zna i nie chce o nich mówić z narodem. Odgradzając się systematycznie od społeczeństwa, równocześnie uzależnia się coraz bardziej od Związku Sowieckiego. Ale nie należy chować głowy w piasek. Godzina prawdy i tak przyjdzie musi. Pozostanie wtedy do wyboru: terror lub reformy. Zmiany konstytucyjne zmiernie raczej w stronę zapewnienia skutecznego terroru. Z zasady pozwolą Rosji ingerować siłą w nasze sprawy wewnętrzne w wypadku zaburzeń. Terror jednak nie uleczy rozwinętego organizmu gospo-

darczego. Opanowanej wojskowo Czechosłowacji trzeba było pomagać. Dlatego ludzie, którym leży na sercu sprawa Polski, nie mogą nigdy zrezygnować z przypominania komunistom, że jest jeszcze alternatywa terroru w postaci reform. Wiemy, że komuniści zawsze traktują je tylko jako chwilowe ustępstwa. Niech je traktują jak chcą, byle zrozumieli, ich konieczność. A będą do tego zmuszeni, choćby zdecydowali się wcześniej na akty terroru. Problem rolny pozostaje otwarty. Także sprawa inwestycji na rynek wewnętrzny. Podobnie kwestia możliwości konkurencji w ramach jednej branży, samodzielności większych przedsiębiorstw itd., itd.

VII Zjazd partii poza wzmocnieniem w Polsce wpływów sowieckich, rzeczowych problemów nie rozwiązał. Dlatego oznacza przegraną nas wszystkich. A czasu na rozwiązywanie palących problemów jest coraz mniej. Główne pytanie sprowadza się w tej chwili do tego czy liczna młoda generacja działaczy robotniczych i partyjnych skapitułuje moralnie, przyjmując obojętnie uzależnienie kraju od Rosji? Czy młode pokolenie, stające się obecnie najsilniejszą częścią partii rzeczywiście wyrzeknie się wpływu na sprawy polskie za cenę przywilejów przyznanych członkom nowej klasy rządzącej? Byłoby to pierwsze polskie pokolenie od 200 lat, rezygnujące z polskiej identyczności narodowej i kulturalnej. 30 lat komunizmu przeorało Polskę bardzo głęboko, ale nie sądzę, by wyjątkowo ją całkiem moralnie i duchowo.

Nie należy niewolniczo trzymać się sugestii takich wydarzeń historycznych jak polski Październik 1956 roku, którego dwudziestolecie właśnie się zbliża, lub wypadków z grudnia 1970 roku na Wybrzeżu. Nadciągający kryzys rozegra się z pewnością niezgodnie z dotychczasowymi scenariuszami i zapewne w ścisłym związku z wydarzeniami w samym Związku Sowieckim.

Młoda generacja robotnicza i inteligencja techniczna myśli nadal po polsku i nie ma zniewolonych umysłów. Przekonuje o tym to, co słyszy się w tramwajach, w kolejkach, w kinach i na wielu zebraniach partyjnych w zakładach pracy. Natomiast ostrożność, zmysł polityczny i spoglądanie na rozwój wydarzeń w Sowietach jest jak najbardziej wskazane.

Poza tym nie zapomnijmy, że ostatnie pięć lat w porównaniu z zastojem ery gomułkowskiej było w Polsce okresem szybkiego rozwoju. Setki tysięcy ludzi awansowało i polepszyło swoją sytuację bytową. Ludzie widzą wiele nowozbudowanych zakładów pracy. Znamiona kryzysu pojawiły się w ciągu ostatnich dwóch lat, natomiast zdecydowanie zaostrzą się w ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy. Nieunikniona zmiana systemu cen i płac będzie olbrzymim ryzykiem dla kraju tak bardzo pozbawionego rezerw gospodarczych jak Polska. Do takich operacji zawsze się dopłaca, a Gierek zamierza na niej zarobić.

Społeczeństwo już od dłuższego czasu jest zirytywane i upokarzane konstytucyjną w kulturze i propagandzie. Ale zamierzona reforma Konstytucji i coraz bardziej konsekwentna sowietyzacja życia, jaką ona za sobą pociągnie, stanowi pewien próg psy-

chologiczny dla społeczeństwa, a szczególnie dla młodej generacji Polaków.

Na tej generacji ciąży olbrzymia odpowiedzialność — jak to jest zresztą w Polsce od wielu pokoleń. Pokoleniu, które niezadługo zacznie mieć w kraju wpływ decydujący należy życzyć tyleż rozsądku i roztropności, ile wierności dla narodowej identyczności i godności ludzkiej.

K. Z. (Gdańsk)

Głos ucieszonego pesymisty

Choć z zawodu pesymista (zdrowsza to postawa niż samołudzenie) ucieszyłem się bardzo „Memoriałem 59-ciu”, wystosowanym do władz PRL. Proponowałbym tylko pewne zastrzeżenie terminologiczne. Żeby mianowicie nie nazywać autorów Memoriału „intelektualistami”. Słowo to ośmieszono zostało zarówno w praktyce krajowej, kiedy to w modzie było pisywanie i podpisywanie obłudnych czy wręcz kłamliwych deklaracji na przeróżne „Kongresy Pokoju”, jak i na Zachodzie, choćby w paryskich wystąpieniach znanych ludzi „postępowych” naiwnych i nie poinformowanych, stających się często narzędziem politycznego szantażu. Przy czym skład osobowy grupy która podpisała „memoriał 59” w sprawie zmian Konstytucji jest w swym przekroju społecznym i pokoleniowym znacznie bogatszy niż sugerowałoby zużyte i oddalone od potocznego życia słowo „intelektualista”. Wśród podpisanych są księża, adwokaci, naukowcy, pisarze, zasłużeni oficerowie Armii Krajowej, artyści. Również wszechstronność poruszonej problematyki odróżnia tę deklarację choćby od sprowadzonego do tematyki wyłącznie kulturalnej, głośnego niedys „Listu 34-ch”. W obecnej deklaracji mamy szeroki wachlarz zagadnień społeczno-politycznych i ideowych: religia, praca, prawo, ustawodawstwo i informacja, sprawy robotnicze, związkowe, polityczne, wszystko to bezpośrednio wyrasta z życia kraju i nie może być sprowadzone do jakiegoś, sugerującego elitaryzm „intelektualizmu”. Kładę nacisk na to zagadnienie terminologiczne, bo jedną ze znanych metod totalitarnych jest stosowanie zubożającej, obrzędowej „nowomowy”, którą przejmują mimowolnie i przeciwnicy totalizmu, osłabiając w ten sposób swą argumentację, bo dostosowując ją do kategorii pojęciowych narzuconych przez duchowy despotyzm. Więc nie żadni „intelektualiści”, lecz przedstawiciele pewnych, dość szerokich kręgów społeczeństwa podpisali „Memoriał 50-ciu”.

Deklaracja ich mnie cieszy, choć bezpośrednich skutków politycznych w skali narodowo-społecznej nie da ona oczywiście żad-

nich. Nie da, podobnie jak nie dały ich w swoim kraju wystąpienia takich mocarzy z punktu widzenia opinii światowej jakimi są czy był Pasternak, Sołżenicyn, Sacharow, podobnie jak nie dały ich żadne nagrody Nobla czy międzynarodowe protesty na największą nawet skalę. Polityka wewnętrzna sowieckiej Partii nie zmieniła się pod wpływem tych wydarzeń ani na jotę, przeciwnie mogła się nawet zaostrzyć. Ale oczywiście nie tylko sama „goła” polityka jest na świecie. Istnieje również psychiczny sen i psychiczne budzenie się społeczeństw, budzenie się, mogące w przyszłości stanowić bazę dla wydarzeń politycznych. Obok zaś wychowywania społeczeństwa istnieje również możliwość wychowywania rządzących, a także ostrzegania ich. Sprawy to może nieobliczalne, nie od razu wymierne, lecz — na swój sposób — realne, wyraźnie osadzone w pewnych grupach społecznych i odłamach opinii.

Polityka polega niewątpliwie na osiągnięciu konkretów, ale nie zawężajmy tej definicji doktrynersko, bo dojdziemy do absurdu. Przez długie lata w Polsce, poza Partią i jej fikcyjnymi przybudówkami: Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym próbowały na dłuższą politykować dwie grupy, dwa ośrodki: „Pax” i „Znak” (pod tę ogólną nazwę podciągam środowiska zgrupowane wokół *Tygodnika Powszechnego* w Krakowie po 1956 roku rozszerzone o 5 Klubów Inteligencji Katolickiej, o zespół „Więź” oraz Koło Posłów „Znak”). Jakie są w sferze konkretów osiągnięcia tych grup? Na pewno nie należy ich pomniejszać: takie rzeczy jak działalność wydawnicza, książki i prasa, kluby, wychowanie młodzieży, pomaganie ludziom, nieraz ratowanie ich, nie zgląszaltowana baza finansowa, w skali społecznej nie powinny zostać zlekceważone. A ich kierunek merytoryczny, ideowy? „Pax” bez względu na to jakie ogół jego członków posiada w tej materii subiektywne przeświadczenie, bez względu też na to, czy kierownictwo jego miało rzecz od początku w zamyśle czy nie, stał się narzędziem marksistowskiej indoktrynacji politycznej i historioficznej. A „Znak”? *Tygodnik Powszechny* odegrał niewątpliwie swą chlubną rolę, jako niezależne polskie pismo w okresie stalinowskim, zaś nazwiska Ks. Jana Piwowarczyka, Jerzego Turowicza i innych wejdą do rejestru uczciwych i odważnych publicystów tego czasu. Natomiast Koło Poselskie „Znak” od swojej epoki heroicznej, kiedy to po Październiku 1956 winno było odegrać rolę symboliczną opozycyjną i wychowawczą (w stosunku do marksistów i w ogóle do rządzących), stało się po latach wygodną pokrywką dla Partii, dostarczającą jej niewielkiego, ale dla niektórych kół zachodnich (Niemcy) wcale przekonującego alibi. Ostatnim pięknym, wychowawczym i wobec opinii skutecznym wystąpieniem tej grupy była głośna interpelacja sejmowa w sprawie zajść studenckich z marca 1968 roku. Odbiła się ona w świecie szerokim echem, a i politycznie w rezultacie wyszła „Znakowi” na dobre, gruntując na nowo jego stanowisko jako grupy niezależnej i mającej oparcie w opinii. Niestety, od tego czasu rola posłów „Znaku” stała się nijaka, może z po-

wodu dziwnie jednostronnego wymuszanego przez Partię składu personalnego. Zresztą lepsze ich mowy sejmowe do społeczeństwa nie dochodzą — sejm bywa równie tajny jak cenzura. Ze zaś ściśnięte ową niewiarygodną wprost cenzurą pisma „Znaku” nie mogą dać żadnej ideologicznej przeciwwagi dla tej nijakości, więc o przyszłość „Znakowego” ruchu bardzo się można obawiać, doświadczenie bowiem uczy, że wraz ze spadkiem znaczenia ideowego przychodzą represje i ograniczenia administracyjne, czyli dokonywane właśnie w dziedzinie społecznych faktów i konkretów.

Cóż więc pozostaje na placu, na narodowym placu? Kościół i Episkopat, ale Kościół jest i pozostać musi Boży, ściąganie go na siłę do polityki jest nieporozumieniem, mimo jego historycznej misji i roli, oraz mimo olbrzymiego jego znaczenia w walce z totalistycznym odrętwieniem duchowym. Jako jeden z walnych konkretów tej walki przytoczyłbym rzecz często lekceważoną i zapomnianą: kazania. Czym jest w Polsce, kraju zmonopolizowanych środków przekazu, czym jest dla czytelnika *Trybuny Ludu* i odbiorcy ideologicznego bełkotu Polskiego Radia, zwykłe najgorsze choćby kazanie w najskromniejszym, prowincjonalnym kościółku, to zrozumieć może ten tylko ktoś, stale tam mieszkający. Jest to po prostu orzeźwiająca kąpiel duchowa, przeniesienie w inny świat pojęć i idei, głęboko osadzonych w psychice i historii narodu. To w rezultacie ratowanie i przechowywanie narodowej tożsamości i osobowości.

Wielka to rola, ale nie wszyscy zmieszczą się w kościele, a Pan Bóg, jak wiadomo, najskuteczniej pomaga temu, co sam sobie pomoże. I oto na placu pozostała nam owa świecka opozycja „poza parlamentarną” i poza kościelną, zwana czasem nieco obraźliwie i pomniejszająco „intelektualistyczną”, na której właśnie, jako na jednym z konkretów polskiego życia nie komunistycznego chcę się teraz wyłącznie skupić.

Opozycja ta miała swoje specyficzne perypetie psychologiczne, swoje etapy, swoje wzloty i upadki, a także swoje sukcesy. Sukcesy, powtarzam, niekoniecznie polityczne, raczej psychologiczno-wychowawcze, propagandowe, ale, jak ustaliliśmy, na dłuższą metę i to się liczy w polityce. Można przypomnieć główne etapy tej „akcji”. List 34-ch (1963), sprawę z „Dziadami” i jej konsekwencje (1968), listy interwencyjne w sprawie „Ruchu” i Kowalczyków, List 15-tu (w sprawie Polaków w Rosji, 1975) i wreszcie obecny „Memoriał 59-ciu”, który cieszy mnie najbardziej, bo jest wszechstronny, właśnie nie „intelektualistyczny” w złym tego słowa znaczeniu, lecz utrafia w realne i powszechne troski, związane z usankcjonowanym, unormowanym brakiem wolności społecznej, narodowej, duchowej. Dowodem, że tekst Memoriału rzeczywiście trafił w jakieś „społeczne zapotrzebowanie” jest fakt, że spowodował on swego rodzaju falę kontynuacji, że nastąpiły inne listy zbiorowe i indywidualne, jawne i tajne, że zabrał również głos Episkopat Polski, że zbulwersowało się nawet koło poselskie „Znak”.

Co można by tekstowi Memoriału zarzucić? Zarzuty są proste: po 30 latach stwierdza się oto nagle, że „masło jest maślane”, że Partia rządzi i decyduje, że nie ma demokracji a jest totalizm, że konstytucja to stek frazesów nie mających nic wspólnego z życiem, a sejm, nie posiadający nawet roli jawnie doradczej, to nie żaden „najwyższy organ władzy”, lecz zwykła fikcja. W rezultacie „Memoriał” proponuje po prostu zmianę ustroju — naiwność czy cwaniactwo?! — spyta ktoś z Partii. To wszystko prawda. Ale jednocześnie tekst Memoriału przypomina społeczeństwu i nowym pokoleniom wiele rzeczy: wszakże zapomniano już tutaj o wszelkich walkach politycznych, nie tylko o zamierzczłych czasach Mikołajczyka, lecz również o Październiku, Marcu, nawet o Grudniu, z którego wynikły rządy Gierka. Zapanowała wszechniwelująca i usypiająca „drętwa mowa”, królująca za czasów ekipy gierkowskiej wszechwładnie we wszelkich środkach publicznego przekazu. Drętwa mowa, czyli mowa sloganowa, bez istotnej treści, „obrzędowa” służy dziś uspieniu politycznemu, kiedyś była narzędziem agresywnych bzdur, o których już zapomniano, choć to rzecz arcy-pouczająca: że Amerykanie to największy imperialistyczny wróg Polski, albo, że rzemieślnik i sklepikarz to perfidny „wróg klasowy, wyzyskiwacz szkodzący rozmyślnie ludowi”. O bzdurach agresywnych z okresu stalinowskiego już w Polsce zapomniano, dzięki czemu drętwa mowa mogła niepostrzeżenie przyjść do swej funkcji najistotniejszej: odrętwiania. Największym, w skali światowej, sukcesem tej metody stała się Konferencja w Helsinkach. Zmuszono tam, czy też nakłoniono (w jaki sposób?!) prezydentów, premierów, ministrów z całego świata, przede wszystkim z krajów demokratycznych i posiadających normalne życie polityczne oraz parlamentaryzm do wygłaszania sloganowych frazesów bez pokrycia, jakby zacerpniętych bezpośrednio z konferencji partyjnej w Swierdłowsku. Wielki to sukces destrukcyjnej siły sowieckiego komunizmu wobec Zachodu, bo rozbicie mowy jest jednym z najdotkliwszych ciosów psychologicznych, jakie we współczesnym świecie zadać można przeciwnikowi, odbierając mu możliwość argumentowania i mówienia prawdy, co w dobie przekąźnikowo-elektronicznego upowszechnienia mówionego słowa, stanowi masową, niepodobną do przecenienia broń polityczną. Jednym z godnych odnotowania polskich sukcesów drętwej czyli poza treściowej mowy (beztreściowej choć operującej abstrakcyjnymi, bo oderwanymi od życiowej praktyki pojęciami), jest fakt, że przyjęli ją nawet bezwiednie postowie „Znaku” i to ci, których o brak dobrej woli posądzić nie sposób: patrz sejmowe przemówienie Stanisława Stommy na temat właśnie Konferencji w Helsinkach. A więc tej metody przetwarzania treści słów rzeczywiście nic się nie oprze?

Tymczasem okazuje się, że oprócz się można, nawet po dziesięcioleciach indoktrynacji oraz nowomowy. Pokazali to właśnie autorzy „Memoriału 59-ciu”, który dlatego tak mnie cieszy. Dali dowód, że po latach prasowo-radiowo-telewizyjnego prania mózgu, po latach coraz mocniej zakwitającego orwellizmu są jesz-

cze w Polsce ludzie inaczej, normalnie mówiący i myślący, nie zastraszeni, nie „skompleksowani”. I to jacy ludzie? Nie tylko zawodowi „protestowicze” lub też starsi panowie znani i sławni, którym nic się nie stanie (na liście są tylko trzy nazwiska tych co podpisali „List 34-ch”) nie tylko byli marksiści, zawiedzeni i rozwścieczeni, na których machnięto ręką, ale także ludzie młodzi i mniej znani, którzy mogą być ukarani, zniszczeni, „skoszani”. To właśnie podnosi na duchu, to jest wychowawcze i uświadamiające, jako triumfująca demonstracja przechowywanego w duszach i przetrwałego maksymalizmu, którego nie zdołała zniszczyć pragmatyczna „idea” wytargowywania drobnych, doraźnych konkretów od wszechmocnej Partii.

Oczywiście te dwa nurty, targów i maksymalizmu mogą działać niezależnie od siebie, lub czasem w politycznym paralelizmie, mogą nawet wzajemnie „podbijać sobie kartę” — tak często bywało w historii Polski. Ale przychodzą momenty, gdy należy stanąć poza wszelką taktyką, gdy konieczne się okazuje sformułowanie pewnych myśli pryncypialnych, niezbędnych czasem, jak życiodajny pokarm dla narodowej psychiki. Takim momentem wydaje się właśnie obecny, gdy zmiany konstytucyjne zdają się zapowiadać nowy etap polskiego zniewolenia, mimo, że na pozór sankcjonują one jedynie to, co i tak już istniało.

Istniało, lecz nie było powiedziane — a to w systemie sowieckim ważna różnica, wręcz różnica etapu. Konstytucja według wzoru rosyjskiego winna być nieodwołalnym, jednostronnym programem politycznym, do tego też wzorca dociąga się projektowana, a praktycznie biorąc już zrealizowana reforma, napełniająca ustawę upokarzającym i rozwlekłym agitacyjnym bełkotem. Ustawa poprzednia datująca się jeszcze, co ciekawe, z okresu stalinowskiego (miano wtedy, jak się okazuje, większy respekt przed tradycjami i aspiracjami polskiego społeczeństwa), nie zawierająca wzmianki o rządach Partii, ani nie określająca sytuacji międzynarodowej na całą wieczność, miała, mimo wszystko charakter aktu ramowego, klasycznie formalnego. Była to w zasadzie poza merytoryczną, jedynie obiektywnie prawnicza, można by sądzić, że dałoby się w nią wlać różne treści i że wszelkie ekscesy totalistyczne istniały poza nią wręcz nielegalnie. Obecna drobiazgową ustawa tego rodzaju wątpliwości i możliwości interpretacyjnych nie nastrocza, przeciwnie jak zwrócił uwagę Leszek Kołakowski w swym ciekawym londyńskim przemówieniu, nielegalnymi stają się ludzie czy grupy ludzkie, mające w szczegółach odmienne poglądy od przewidzianych w ustawie. Jest to więc akt nie tylko symboliczny, lecz akt merytoryczny, znaczący sobą nowy etap politycznego i duchowego zniewolenia. Dlatego też spór nie jest formalny lecz istotny, dlatego też autorzy „Memoriału” wykazali w wyborze momentu i przedmiotu dla swego protestu niezwykle trafny instynkt, co pokwitowane zostało stosunkowo szerokim oddźwiękiem m.in. dalszymi, podobno wręcz masowymi protestami, o których — niestety — autor niniejszych słów na razie nic bardziej określonego powiedzieć nie może.

Oddźwięk był szeroki, jest to jednakże pojęcie dość relatywne. Czy na przykład „memoriał 59-ciu” dotrze do robotników, siły konkretnej, z którą Partia liczyć się musi? Panuje rozpowszechniona opinia, że robotnicy nasi nie lubią rzekomej abstrakcji, że walczą nie o ustrój polityczny, lecz o realne własne dobra dnia codziennego. Może to i prawda, a może jednak i oni zrozumieją coś więcej? Oczywiście — cały ideowo-wychowawczy oraz propagandowy sukces „Memoriału 59-ciu” oraz wywołanej przezeń akcji protestów zależy od tego, jak dalece rzecz dojdzie do świadomości polskiego społeczeństwa, w jakim stopniu kraj będzie o wszystkim poinformowany. Na prasę zachodnią czy emigracyjną nie ma co liczyć, społeczeństwo polskie jest od niej hermetycznie odcięte. Polska prasa komunistyczna przemilczy rzecz oczywista w sposób kamienny. Minęły „dobre czasy” nieocenionego Gomułki, który zdenerwowawszy się pokazaną mu rozprawką profesora Kołakowskiego, wygłaszał grzmiącą mowę, cytując wymienionego autora obficie i robiąc w ten sposób jego myślom niezamierzoną propagandę. Nieugięty kalkulator Gierek takich dziecinnych błędów nie popełni, wie on dobrze, że najbardziej zabójczą bronią jest absolutne milczenie i brak wszelkiej reakcji, że nawet represje wobec „protestowiczów” mogłyby zwrócić na nich uwagę społeczną i obudzić przez to niezadowolone Rosjan, a przecież dla nich cały ten konstytucyjny spektakl jest odgrywany. Nie należy więc samemu kreować swych przeciwników na bohaterów czy męczenników — paradoksalna sytuacja.

Jedyną pośrednią reakcją prasy krajowej są deklaracje zadowolenia i radości z nowej Konstytucji, zgłaszane i nadsyłane bądź przez Związki Zawodowe, bądź przez poszczególnych „ludzi pracy”. Wymuszane w różny sposób deklaracje te są nieprawdopodobnie naiwne, wręcz nonsensowne i w treści i w formie, o czym doskonale wiedzą zarówno ich autorzy jak i adresaci, jak też obserwujący rzecz z boku — Rosjanie. Nonsensowność jednak jest tu sprawą wkalkulowaną. Jak najbardziej skwapliwe publiczne stwierdzenia, że nagi król jest królem ubranym to taki uświęcony wschodni, a raczej ogólnototalistyczny obrządek. Powszechne poddanie mu się to pożądaną przez Górę akt samoupokorzenia, symbolizujący społeczną bezsilność i siejący ogólne przygnębienie.

W tej dziwnej sytuacji cały ciężar rozpropagowania Memoriału spada na rozgłośnie polskie czy zagraniczne, działające na kraj, jak Radio BBC, „Głos Ameryki”, „Deutsche Welle”, przede wszystkim zaś na polską sekcję „Wolnej Europy” mającą olbrzymie, wieloletnie zasługi w neutralizowaniu drętwej mowy i informowaniu Polaków o tym, co się dzieje w kraju. Niestety, sekcja ta przeżywa dzisiaj kryzys, którego symbolem stało się odejście wytrawnego i żarliwego zarazem Jana Nowaka. Oczywiście — kryzys i trudności tej instytucji są również funkcją *détente* czyli irracjonalnej i historycznej zmiany mody w amerykańskim myśleniu politycznym. Ale jest tam przecież jeszcze polski zespół

i nie wszyscy chyba Amerykanie ze szczerem oszaleli, popadając w polityczny masochizm. Wolno więc założyć, że ten wypróbowany instrument informacyjny nadal działać będzie sprężysto, nie pozwalając zagać i przepaść w naszej politycznej pustyni aktowi wychowawczo ideowemu jakim jest „Memoriał 59-ciu” oraz następujące po nim nadspodziewanie liczne odezwy. Oczywiście, sądzić, że od samego rozpowszechnionego przez przekaznikowe gigantofony głosu Mężów Sprawiedliwych mury Jerycha natychmiast same się zawałą, byłoby grubą naiwnością. Jednakże akt ten, jak stwierdziliśmy już, nie jest bez praktycznego znaczenia dla przyszłości, bo prawda dziwne nieraz toruje sobie drogi w politycznym świecie. Jako zaś akt odwagi i moralności społecznej omawiany Memoriał musi cieszyć i podnosić na duchu nawet tak zakamieniałego pesymistę jakim jest

Stefan KARAIBSKI

Koniec stycznia 1976 r.

Konstytucja i totalizm

Nie wymyślono dotąd doskonalszego systemu politycznego niż XIX-towieczna demokracja parlamentarna. Mimo wszystkich swoich słabości, mimo rosnącego w naszym stuleciu manipulowania opinią publiczną, wielu fars wyborczych, wpływu kapitału i uzależnionych od niego środków masowego przekazu na decyzję wyborów, system parlamentarny jest jedynym, który gwarantuje jakąś kontrolę społeczną rządzących. Parlamentaryzm wyszedł zwycięsko z konfrontacji z faszyzmem, choć ten ostatni gromko głosił jego całkowitą przegraną.

Pod koniec wojny Józef Stalin doskonale zdawał sobie z tego sprawę i rozszerzając wpływy sowieckie na kraje Europy Wschodniej zachowywał pozory, że zapanuje w nich demokracja polityczna, uzupełniana wprowadzeniem zasad sprawiedliwości społecznej.

Naturalnie ustrój polityczny krajów demokracji ludowej był fasadą za którą kryła się dyktatura jednej partii, dyktowanej z centrali moskiewskiej. Mimo doktryny Lenina o kierowniczej roli klasy robotniczej i jej partii, nawet w Związku Sowieckim zachowano formalnie parlamentaryzm choć zasada dyktatury jednej partii i system parlamentarny pozostają ze sobą w całkowitej sprzeczności. Zawsze znajdowali się jednak teoretycy marksistowscy umiejący sofistycznie wykazać, że sprzeczność ta nie istnieje. W krajach Europy Wschodniej, poza ZSSR, wpro-

wadzono zaraz po II-iej Wojnie Światowej, w celu łatwiejszego uchwycenia władzy, pozory systemu wielopartyjnego. Choć od początku był on fikcją, stanowił potencjalne możliwości zmian politycznych pod naciskiem wydarzeń, przez częściowy choćby powrót do parlamentaryzmu.

Stalin okazał się w swoich rozwiązaniach ustrojowych nie tyle dogmatykiem, ile dość elastycznym totalistą, godzącym się na teoretyczne niekonsekwencje i pragmatyczne ustępstwa, zresztą pozorne, czynione w celu rzeczywistego zawładnięcia krajami Europy Wschodniej.

Mimo błyskotliwych sukcesów międzynarodowych w Azji południowo-wschodniej, a ostatnio w Angoli, mimo słabości moralnej i rozbicia Zachodu i osiągnięcia przez Rosjan bardzo dogodnych pozycji strategicznych, Sowiety są świadome własnej słabości. Tkwi ona w sprzecznościach i nieefektywności ich ustroju gospodarczego. Z tego powodu, już po wojskowej okupacji Czechosłowacji i słynnej Doktrynie Breżniewa o ograniczonej suwerenności krajów Bloku Wschodniego, Rosjanie chcieliby zadekretować daleko idące zmiany społeczne i polityczne, które — ich zdaniem — powinny być nastąpić po trzydziestu latach rządów komunistycznych w Europie Wschodniej. Breżniew, w czasie znanych narad i konsultacji z przywódcami europejskimi i krajów demokracji Ludowych, narzucił szereg postanowień, które jego zdaniem odzwierciedlają okres budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Postanowiono, że „socjalistyczny” charakter społeczeństwa zostaje zadekretowany konstytucyjnie. W nazwie państwa Czechosłowackiego wprowadzono formułę „Republika Socjalistyczna”, a, dla odmiany, w nowej konstytucji NRD stworzono pojęcie „socjalistycznego narodu niemieckiego”, z czego wynika, że zadekretowano, że istnieją w Europie nie tylko dwa państwa, ale i dwa narody niemieckie.

W Polsce ze zmiany nazwy PRL na „Polska Rzeczpospolita Socjalistyczna” zrezygnowano zanim sprawa nowej konstytucji wyszła oficjalnie z gabinetów partyjnych na światło dzienne. Przedostające się do opinii publicznej plotki na ten temat powodowały takie oburzenie, że zdecydowano się społeczeństwa nie prowokować.

Nasuwa się pytanie, czy dekretowanie socjalizmu ma w ogóle sens i czy nie stanowi nawrotu fali dogmatyzmu, nie liczącego się ani z rzeczywistością, ani z nastrojami społecznymi. Do pewnego stopnia jest tak w istocie. Ale Rosjanie domagają się zmian konstytucyjnych w państwach satelickich, po utwierdzeniu w nich swojej dominacji, celem jej zachowania. Cel ich polega nie tylko na dekretowaniu fikcji społecznej, ale także — i przede wszystkim — na zabezpieczeniu „po wsze czasy” swoich wpływów. Nowe konstytucje w krajach Europy Wschodniej stanowią po prostu przemyślaną realizację Doktryny Breżniewa. Dlatego poza odmiennie rozwiązanymi sprawami nazwy państwa w różnych krajach Bloku Wschodniego, co było warunkowane odmienną sytuacją polityczną w każdym z nich, można wyodrębnić trzy

główne zasady podnoszone do rangi norm konstytucyjnych. Po pierwsze jest to zasada kierowniczej roli partii. Po drugie zasada sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Po trzecie nakaz związku z Blokiem państw socjalistycznych. Podniesienie tych trzech zasad politycznych, będących zresztą rzeczywistością w państwach Europy Wschodniej, do rangi postanowień konstytucyjnych ma na celu spętanie tych państw i ich społeczeństw więzami *prawno-politycznej* zależności od Związku Sowieckiego. Cel ten osiągany dotychczas różnymi środkami praktycznymi, z terrorem policyjnym i okupacją wojskową łącznie, teraz ma uzyskać podstawę prawną w ustawie zasadniczej, konstytucyjnej.

Polityka sowiecka jest bardzo konsekwentna i po ograniczonym, bo tylko politycznym, a nie prawno-międzynarodowym, uznaniu zasady *status quo*, dąży obecnie do prawnego, konstytucyjnego jej uznania przez wszystkie kraje Bloku. Gorset konstytucyjny, dyktaturę zależnej od Rosji partii, sojusz z Sowietami i przynależność do Bloku wschodniego uczyni zasadami niepodważalnymi. Wystąpienie przeciw tak ustalonym zasadom konstytucyjnym będzie nie tylko opozycją polityczną, ale akcją wywrotową, działaniem przeciwko prawu i konstytucyjnemu porządkowi społecznemu. Jednocześnie Związek Sowiecki uzyska w ten sposób uprawnienie „ochrony konstytucji” i konstytucyjnie zagwarantowanej wspólnoty socjalistycznej wszystkimi środkami, jakie uzna za konieczne, łącznie z akcją i okupacją wojskową.

Mamy więc do czynienia z próbą nadania sankcji prawno-konstytucyjnej dyktaturze jednego mocarstwa i związanej z nim partii nad wszystkimi krajami Bloku wschodniego.

Jednakże ta koncepcja totalizmu jest „za dobra”, za bardzo sprzeczna z realiami życia, żeby mogła w pełni zostać wdrożona. Komuniści sowieccy zdają się zapominać, że wszelkie absolutyzacje na ogół nie udawały się, przynajmniej na dłuższą metę. Życie rozsądza zawsze sztuczne gorsety, choćby nie wiadomo jakie sankcje prawne i międzynarodowe formułki je gwarantowały. Dlatego zamierzenie Rosjan nie wyjdzie im na dłuższą metę, a już teraz, w wyniku oporu społecznego, szczególnie w Polsce, realizowane jest połowicznie.

Zaczęło się od tego, że spaliła na panewce sprawa zmiany nazwy PRL. Już ta porażka powinna była podyktować ostrożniejszą taktykę. Ale nacisk Wielkiego Brata popychał w przeciwną stronę. Instynkt samozachowawczy nakazywał jednak rzecz załatwić ratami. Dlatego w „Wytycznych” na VII Zjazd PZPR postanowiono tylko sprawę wprowadzenia do konstytucji partii, jako kierowniczej siły w państwie, Gierek w swoim referacie na Zjeździe sformułował ten zamiar w słowach najbardziej ogólnych. Ale w czasie kiedy wygłaszał swoje *exposé*, akcja protestu intelektualistów, studentów i pracowników naukowych, prawników, pewnej ilości członków partii była już faktem dokonany. Biskupi nadesłali swoje pytania. Zewsząd zaczęły napływać listy, protesty i memoriały.

Partii nie pozostało nic innego do zrobienia jak zjedzenie żaby do końca. Babiuch ogłosił w sejmie zmianę konstytucji i ujawnił wcześniej nieznaną opinię punkty sojuszu z ZSSR i przynależności do Bloku wschodniego. Formalnie partia pozostała pryncypialna, nieugięta i do końca powolna wobec życzeń Wielkiego Brata.

Ale zanim umilkły jeszcze twarde słowa towarzysza Edwarda Babiucha zasygnalizowano już opinii, oczywiście poufnie, chęć odwrotu. Wszystkie trzy zasadnicze nowe punkty miały zostać w konstytucji, ale formę ich ujęcia postanowiono złagodzić na tyle, na ile będzie to potrzebne ludziom skłonny do kompromisu. Jednocześnie obiecywano mocno zaakcentować w konstytucji suwerenność i wszelkie wolności obywatelskie.

Na komunistów jest tylko jedna rada: twardy opór. Z reguły ustępują wobec oporu, bo znają nastroje społeczeństwa i boją się ich wybuchu. W ten sposób sprawa zmiany konstytucji, która zaczęła się wielce dramatycznie, ma wszelkie szanse skończyć się groteskowo.

Ustawa zasadnicza, która w normalnym państwie otoczona jest poszanowaniem, u nas ma być konglomeratem sprzeczności i owocem doraźnego kompromisu. Najzabawniejsze jest to, że przed nową konstytucją bronimy się obstając przy dotychczasowej, pochodzącej z okresu stalinowskiego. Wzbudzała ona wtedy niechęć społeczeństwa, ale, jak się okazało, zawierała spory zasób nierealizowanych w praktyce wolności demokratycznych. Współcześni pragmatycy w Moskwie i Warszawie im bardziej zapominają o teorii w gospodarce i polityce, tym bardziej chcieliby dekretować rozwój świadomości społecznej i zasady sprawowania przez siebie władzy. Czyżby współcześni „marksści” nie znali zasady ruchu proletariackiego, że rewolucji nie można przeprowadzić za pomocą dekretów? Czyżby całkiem nie znali historii ruchu komunistycznego i Związku Sowieckiego?

Mimo momentów groteskowych związanych ze zmianą konstytucji nie należy tej sprawy bynajmniej lekceważyć. Jest bowiem przejawem metod i środków, do których ucieka się totalizm. Nie pogardza on żadnym instrumentem, jeśli tylko pomaga to do umocnienia władzy. Z tego powodu „obojętność” pewnej części opinii, lekceważącej wprowadzenie „sformułowań bez znaczenia”, jak i skłonność do poszukiwania „sformułowań kompromisowych” wydaje się zjawiskiem niepokojącym. Któż bowiem wie jak nowa konstytucja będzie realizowana? Kto ma pewność, że komunistom, a przede wszystkim Związkowi Sowieckiemu, chodzi tylko o słowa? Z pewnością jest wręcz przeciwnie. W oparciu o nową ustawę zasadniczą będą kształtować się stosunki wewnątrz-obozone i wewnątrz-polityczne w duchu totalizmu i podporządkowania wszystkiego centrali moskiewskiej. Znajdzie to swój wyraz w wychowaniu i szkolnictwie, gdyż marksistowska ideologia partii jako kierowniczej siły politycznej, uzyska sankcję konstytucyjną. Odbije się to na całym życiu gospodarczym przez zwiększone wprężenie naszej gospodarki do systemu

RWPG z korzyścią dla strategii ekonomicznej Sowietów. Praktyczne konsekwencje obejmą zresztą wszystkie inne dziedziny życia, dając Wielkiemu Bratu najszersze możliwości ingerencji w nasze sprawy wewnętrzne. Pamiętajmy, że interpretacja najbardziej nawet „elastycznych sformułowań” zawsze będzie należała do władz, do partii rządzącej, do głównego „sojusznika” Polski, a nie do społeczeństwa.

Zrozumiał to dobrze Kardynał Wyszyński, który dość długo bezskutecznie wyczekiwał na odpowiedź partii na przesłane pytania Episkopatu. Liczył się z możliwością dokonania w tekście poprawek konstytucyjnych zmian łagodzących i kompromisowych. Rada Główna Episkopatu na posiedzeniu w dniu 2 stycznia br. wystosowała list do Komisji Konstytucyjnej powołanej przez sejm. List sprecyzował ponownie stanowisko biskupów polskich, protestujących przeciw uczynieniu z doktryny ideologii państwowej. Kardynał Wyszyński wygłosił na ten temat trzy kolejne kazania w ciągu stycznia 1976 roku. Pismo do Rady Państwa wystosowały także w styczniu środowiska tzw. ZNAKU — z wyjątkiem J. Zabłockiego, który odmówił podpisu. Z tego powodu zagrożone jest istnienie w sejmie *prawdziwego* koła ZNAK z p. St. Stomą jako przewodniczącym, a przewiduje się powstanie *fałszywego* ZNAKU, będącego instrumentem w ręku partii.

Wszystkie protesty społeczeństwa, poczynając od listu 59 intelektualistów, a kończąc na memoriale Episkopatu i grupy ZNAK, zmusiły partię do odwrotu w sprawach konstytucji. Poprawki uchwalone przez sejm 10 lutego są rzeczywiście kompromisowe. Partia będzie określona *nie jako kierownicza siła w państwie, ale przewodnia siła polityczna w społeczeństwie*. Podkreślona zostanie niepodległość i suwerenność polityki polskiej, przy jednoczesnym stwierdzeniu, że będzie się ona opierała „na przyjaźni i współpracy z ZSSR i innymi państwami socjalistycznymi”.

Można więc stwierdzić, że społeczeństwo zmusiło partię do kapitulacji.

Niewiele zostało z pierwotnie projektowanych zmian. Wydaje się, że decydujące znaczenie miało tu stanowisko biskupów. Partia stojąc wobec wielkich trudności gospodarczych za wszelką cenę chciała uniknąć konfrontacji z Kościołem. Utrudni to partii powoływanie się na konstytucję przy wdrażaniu marksizmu jako ideologii państwowej w wychowaniu i szkolnictwie. Kościołowi ułatwi obronę jego praw do wychowywania w duchu religijnym. Także sformułowanie o oparciu polityki polskiej na przyjaźni i współpracy z ZSSR jest daleko idącym złagodzeniem pierwotnych zamiarów. Nie mniej stało się zasadą konstytucyjną, a nie tylko polityczną, i pozwoli partii i Sowietom na dowolną interpretację i zastosowanie w praktyce, które może być niezgodne z naszymi interesami narodowymi.

Wnioski z tego wszystkiego są oczywiste. Zwycięstwo społeczeństwa polega na tym, że partii udało się przeprowadzić minimum, a nie maksimum swoich planów konstytucyjnych. Toteż z głębokim uznaniem należy potraktować wszystkie akty protestu.

Jednocześnie jest oczywiste, że konstytucja PRL staje się tworem pełnym sprzeczności, w którym pomieszane zostały normy ustrojowe z doraźnymi treściami politycznymi. Daje to partii i Rosji Sowieckiej wielkie pole do dowolnej interpretacji.

Mimo uchwalenia przez niemy sejm zmian konstytucyjnych walka o pluralizm kulturalny i polityczny w Polsce nie tylko nie ustaje, ale się wzmacnia. Partia swoimi kolejnymi projektami zmian konstytucyjnych głęboko uraziła uczucia narodo-
we: pragnienie suwerenności i poczucie demokratyzmu w społeczeństwie. Musi się więc teraz liczyć z coraz twardszym oporem opinii publicznej. Szczególnie, że społeczeństwo przekonało się ponownie o celowości i względnie dużej skuteczności oporu.

Jeszcze raz się okazało, że totalizm napotykać twardy sprzeciw cofa się bojaźliwie, znając swoją słabość społeczną. I to jest chyba najważniejszy wniosek z perypetii konstytucyjnych w PRL.

Zdżistaw MADZIARSKI

L'Ordre règne à Varsovie

Les Nouvelles Littéraires z dn. 22 stycznia br. zamieściły rozmowę Antoniego Słonimskiego ze współpracownikiem tego pisma, Claude Furet, która ukazała się wraz z krótkim omówieniem roli Słonimskiego w Polsce, pt. „Francuzi chcą sobie, by porządek panował w Warszawie”. Przytaczamy wypowiedź Słonimskiego:

Tylko proszę bez hipokryzji! Nie będę tu z Panem rozmawiał o wpływie kultury francuskiej na inteligencję polską w XIX-tym wieku, gdy w tej właśnie chwili walczyliśmy o zachowanie naszej kultury narodowej.

Wraz z pięćdziesięcioma ósmioma pisarzami, artystami i profesorami podpisałem list do władz z protestem przeciwko projektowi zmiany konstytucji, która o ile zostałaby uchwalona, równałaby się zalegalizowaniu dyktatury partii komunistycznej i likwidacji niepodległej Polski. Ta walka ma dla nas zasadnicze znaczenie. Idzie o przyszłość kultury w tym kraju. O ile intelektualiści francuscy pragną mieć jakiś rzeczywisty wpływ tutaj, powinni stanąć po naszej stronie.

Ale nie mam złudzeń. Francuzów za grosz nie obchodzi to co się tu dzieje. Jedyne czego pragną to, żeby porządek panował w Warszawie! Rozumiem to nastawienie ze strony władz. Rząd chce handlować ze Wschodem. Potrzeba mu spokoju i bezpieczeństwa w Europie Środkowej. Z tego punktu widzenia jego interesy są te same co Związku Sowieckiego. *Dirty business!* Ale

dlatego wasi intelektualiści milczą? Przez długie lata byli nieprawdopodobnie naiwni. Nie widzieli, jaka była rzeczywista sytuacja w Związku Sowieckim i u nas. Na przykład w 1956 roku Sartre nie życzył sobie, by polscy pisarze odeszli od realizmu socjalistycznego, żeby nie osłabiać obozu socjalistycznego wobec Stanów Zjednoczonych. Wolność dla niego, wszystkie ograniczenia dla nas!

Dzisiaj, głównie dzięki Sołżenicynowi, cały świat może poznać część prawdy o Związku Sowieckim. I właśnie wasi intelektualiści odnoszą się do niego pogardliwie i nie chcą go słuchać. Tymczasem dokonał on wraz z Sacharowem i kilkoma innymi, ogromnego i niezbędnego dzieła. I miliony ludzi tutaj podziwiają go za jego odwagę.

Francuscy intelektualiści wyrzekli się misji, którą kiedyś pełnili: walki o swobodę twórczą w całym świecie, wszędzie gdzie jest ona zagrożona. Ponieważ sami ją posiadają, pozostawiają innych własnemu losowi.

Domagamy się stosowania postanowień z Helsinek. Prawdziwie swobodnego krążenia myśli i ludzi. W tej chwili ofiarowuje się nam ich karykaturę. Jeśli np. chcę przeczytać jakąś gazetę angielską czy amerykańską, nie mogę kupić jej jak wy w Paryżu w kiosku. Jeśli chcę przeczytać jakąś zachodnią książkę na jakiś temat polityczny, który mnie interesuje, muszę szukać sposobów nieoficjalnych, bo w Warszawie nie mogę jej dostać.

Czy tego chciano w Helsinkach? Należy skończyć z hipokryzją! Jeśli pragnie się prawdziwego odprężenia w Europie, proszę o czyny. Niech kultura rozprzestrzenia się swobodnie! Bo kultura podporządkowana nie zasługuje na tę nazwę. Oto dobra okazja, by intelektualiści francuscy nawiązali do historycznych tradycji wolnościowych i rewolucyjnych. Niech poprą nasze żądania. Dla ducha granice nie istnieją.

Jestem coraz głębiej przekonany, że ludzie wolni muszą zabrać głos, niezależnie od związanego z tym bezpośredniego ryzyka. Moje długie doświadczenie wykazuje, że zawsze zyskuje się na niepodporządkowywaniu się rozkazom i mówieniu tego co się myśli. Oczywiście w moim wieku łatwiej wypowiadać pewne prawdy, o których milczą inni, bardziej eksponowani. Ale kiedy patrzę na postępowanie młodych, kiedy ich słucham, czuję się dumny. Są o tyle odważniejsi od starszych, którzy przez długie lata przyzwyczaili się do ustępowania. Niewątpliwie ryzyko jest dziś mniejsze niż przed dwudziestu laty, tym niemniej napełnia mnie to optymizmem na przyszłość...

I niech Pan weźmie list 59-ciu. Po raz pierwszy od 1956 roku mam nadzieję, że zwyciężymy, że Władza weźmie pod uwagę nasze zdanie. Dowodzi to, że odwaga intelektualistów czasem się opłaca.

Nie obawiam się zbytnio o Polskę. Widziałem w życiu tyle przemian. Wierzę, że wszystko jest możliwe. Nawet zmiana na lepsze.

DO ANTONIEGO SŁONIMSKIEGO

Drogi Antoni,

Twój prawdomówny i cierpki wywiad, jakiego udzieliłeś korespondentowi *Les Nouvelles Littéraires* (Numer z 22 stycznia br.) czytałem z uczuciem dumy. Zarówno list podpisany przez pięćdziesięciu dziewięciu, jak ten wywiad utwierdzają mnie w przekonaniu, że wobec umysłowej i moralnej przegranej większości zachodnich tzw. intelektualistów, odpowiedzialność za utrzymanie nadziei spada dzisiaj na ich kolegów z Europy Środkowo-Wschodniej i Wschodniej. Jestem rad, że mogę w tych paru słowach złożyć hołd Tobie i wszystkim w Polsce, którzy myślą i działają jak Ty.

(—) Czesław MIŁOSZ

DALSZE PROTESTY W KRAJU

Edward Lipiński
Rakowiecka 22 m. 26
02521 Warszawa

Warszawa, 21. 1. 1976.

Do Pana Marszałka Sejmu
Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

Wielce Szanowny Panie Marszałku,

Uprzejmie przesyłam Panu dodatkową listę przypadkowo pominiętych osób podpisanych pod dokumentem dotyczącym projektu zmian Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oraz swobód obywatelskich (tzw. List 59-ciu).

1) Henryk Błachnio, 2) Mieczysław Kotlarczyk, 3) Hanna Malewska,
4) Hanna Rudzka Cybisowa, 5) Tadeusz Wojnarowski, 6) Barbara Zbrożyna,
7) Ludwik Ziemiński.

Łączę wyrazy wysokiego poważania i szacunku,

Edward LIPIŃSKI

Jerzy Andrzejewski
03402 Warszawa
Al. Świerczewskiego 53 m. 4

Wielce Szanowny Panie Marszałku,

Uprzejmie proszę Pana Marszałka o łaskawe przekazanie Komisji Nadzwyczajnej Sejmu PRL dla przygotowania ustawy o zmianie Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, załączonego pisma.

Z upoważnienia 101 subskrybentów mam zaszczyt stwierdzić, iż jestem w posiadaniu owego pisma z oryginalnymi podpisami.

Jestem głęboko przekonany, że Pan Marszałek, być może nie godząc się z treścią naszego listu przyjmie go i odczyta z wolą równie dobrą, jaka kierowała nami, gdy zdecydowaliśmy się zabrać głos w sprawie, która nikomu w naszym kraju nie może być obojętna, chodzi bowiem o impendabilia określające byt Polski i Polaków. Ze strony reprezentantów władzy zwracano się ostatnio niejednokrotnie do obywateli PRL z apelem, aby brali czynny udział w dyskusjach dotyczących najważniejszych spraw naszej egzystencji materialnej i duchowej. Ta godna uznania tendencja, już z góry zakładająca możliwość ocen krytycznych, znalazła swój wyraz w proponowanym uzupełnieniu do art. 73 Konstytucji. Cytuję według komunikatu prasowego: „Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej uczestniczą w sprawowaniu kontroli społecznej, w konsultacjach i dyskusjach oraz zgłaszają wnioski”.

Oto wniosek podpisany przez 101 pisarzy, naukowców i artystów.

W przeszłości, i to nie zawsze odległej, podobne wystąpienia wynikające z patriotycznej i obywatelskiej troski oceniane były, niestety, w sposób jaskrawie sprzeczny z intencjami tych, którzy podejmowali interwencyjne inicjatywy. Zdarzały się nawet godne ubolewania wypadki zawodowej dyskryminacji poszczególnych jednostek. Byłoby rzeczą pod każdym względem sprawiedliwie użyteczną, aby ci, którzy władzę sprawują zechcieli przyjąć niniejszy głos ostrzegawczej krytyki, z umysłami równie otwartymi jak zwykli przyjmować głosy solidarności i aprobaty.

Proszę przyjąć Panie Marszałku wyrazy szacunku, które łączę w imieniu subskrybentów listu oraz własnym,

Jerzy ANDRZEJEWSKI

Warszawa, 31 stycznia 1976

Warszawa, 31 stycznia 1976.

Do Komisji Nadzwyczajnej Sejmu PRL
dla przygotowania Ustawy o Zmianie
Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

Ogłoszone jakiś czas temu zapowiedzi zmiany obowiązującej Konstytucji PRL wzbudziły zaniepokojenie, któremu opinia publiczna dała wyraz m.in. w zbiorowych i indywidualnych listach. Obecnie, po opublikowaniu informacji PAP na temat przygotowanego już projektu zmian w Konstytucji, zaniepokojenie społeczeństwa wypada, niestety, uznać za całkowicie uzasadnione. Niżej podpisani, przyłączając się do wcześniejszych głosów troski i protestu, uważają za szczególnie niebezpieczny społecznie również projekt uzupełnienia artykułu 57 stwierdzeniem: „Prawa obywateli są nieodłącznie związane z rzetelnym i sumiennym wypełnianiem obowiązków wobec ojczyzny”.

Demokracja w ogóle, a więc i demokracja socjalistyczna, zakłada, że egzekwowanie praw obywateli nie może być ograniczone jakimiś specjalnymi warunkami, zwłaszcza zaś warunkami sformułowanymi niejasno i pozostawiającymi możliwość dowolnej interpretacji przez urzędy oraz poszczególnych mandatariuszy władzy. Nie mogą np. zostać pozbawione praw obywatelskich osoby, których poglądy polityczne są niezgodne z poglądami partii określonej w innym fragmencie nowego projektu jako „przewodnia siła polityczna społeczeństwa”, ani osoby, które mają krytyczny stosunek do aktualnych metod rządzenia. Jak wiadomo, nawet osoby skazane za określone przestępstwa na karę więzienia nie mogą zostać pozbawione praw obywatelskich, o ile nie zostało to osobno postanowione prawomocnym wyrokiem sądu. Jeżeli inny artykuł dotychczasowej Konstytucji zapewnia obywatelom „wolność słowa, druku, zgromadzeń i wieców, pochodów i manifestacji”, nie można wprowadzać artykułu, który, być może, pozwoliłby

korzystanie z wymienionych wolności uznać w jakichś warunkach za niezgodne z „rzetelnym i sumiennym wypełnianiem obowiązków wobec ojczyzny”, a w konsekwencji — pozbawić właśnie prawa do korzystania z owych wolności. W warunkach praktycznie dostrzegalnego zresztą i stale postępującego ograniczenia wymienionych wolności w PRL (np. niezgodnego z wolnością słowa i druku wzmoczonego nacisku cenzury) wprowadzenie przytoczonego uzupełnienia do artykułu 57 musiałyby zostać odczytane niedwuznacznie jako poważny, a nawet decydujący krok w stronę zalegalizowanej totalizacji całego życia w kraju i zagrożenie podstawowych wolności i praw obywatelskich.

Jerzy Andrzejewski, Eligia Bąkowska, dr Ludomir Bienkowski, Henryk Błachnio, Jacek Bocheński, Maria Bogucka, Janusz Bogucki, Kazimierz Brandys, Marian Brandys, Mieczysława Buczkówna, Tomasz Burek, Zofia Chądzyńska, Wiesława Czerniawska-Beylin, Jadwiga Dackiewicz, Witold Dąbrowski, dr Maria Dernałowicz, prof. dr Maria Dłuska, Stanisław Dygat, dr med. Marek Edelman, Irena Eichlerówna, ks. Tadeusz Fedorowicz, Ewa Fiszer, Stanisław Gajewski, prof. dr Wacław Gajewski, Anna Grochulska, prof. dr Andrzej Grzegorzczak, doc. dr Renata Grzegorzczakowa, Julia Hartwig, Józef Hen, Krystyna Hussarska, Mieczysław Jastrun, Tomasz Jaśkiewicz, dr hab. Jerzy Jedlicki, ks. Andrzej Krzysztof Kasznica, Andrzej Kijowski, dr Andrzej Kłoczowski OP, prof. dr Władysław Kunicki-Goldfinger, dr Jacek Kurczewski, prof. dr Halina Kurkowska, doc. dr inż. Konstanty Jan Kurman, dr hab. Stefan Kurowski, dr Aleksander Wit Labuda, Wanda Leopold, Irena Lewandowska, doc. dr med. Jadwiga Lipska, Jerzy Litwiniuk, prof. dr Jerzy Łoś, Małgorzata Łukasiewicz, Andrzej Mandalian, Artur Międzyrzecki, Wojciech Młynarski, Camilla Mondral, Zofia Mrozowska, dr Wiesław Müller, Egon Naganowski, Zdzisław Najder, dr hab. Winicjusz Narojek, dr Adam Nowaczyk, Marek Nowakowski, Janina Nowicka, Kazimierz Orłowski, prof. dr Anna Pawełczyńska, Seweryn Pollak, Jan Puget, doc. dr Jadwiga Puzynina, dr Jerzy Piotr Rebeta, dr Ryszard Rubinsztein, Jarosław Marek Rymkiewicz, Barbara Sadowska, Jacek Sempoliński, Jerzy S. Sito, Jan Stanisławski, dr hab. Barbara Stanosz, dr Adam Stanowski, doc. dr hab. Zofia Stefanowska, dr Marek Styczeń, Małgorzata Szpakowska, Aleksandra Ślaska, prof. dr Stefan Świeżawski, dr Marek Tabin, Krystyna Tarnowska, Stanisław Tym, dr Stanisław Tyrowicz, Helena Walicka, dr Andrzej Wawrzyniak, Adam Ważyk, Janusz Weiss, Wanda Wiłkomirska, dr Eugeniusz Wiśniewski, Wiktor Woroszyński, dr Maria Wyczech-Łosiowa, Maria Zagórska, Jerzy Zagórski, prof. dr med. Kazimierz Zakrzewski, doc. dr Wacław Zawadowski, doc. dr hab. Włodzimierz Zawadzki, Helena Zaworska, Barbara Zbrożyna, prof. dr Czesław Zgorzelski, Juliusz Żuławski.

Do Komisji Nadzwyczajnej Sejmu PRL
dla przygotowania ustawy o zmianie Konstytucji
Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

Jako obywatele uprawnieni do konsultacji i dyskusji nad węzłowymi problemami rozwoju kraju, a ongiś walczący wraz z całym narodem o wolność i suwerenność naszej Ojczyzny, bądź w tradycji tej walki wychowani, w związku z projektowanymi przez Sejm PRL zmianami konstytucji uważamy za swój obowiązek stwierdzić co następuje:

Polska Ludowa jest ojczyzną wszystkich ludzi pracy, którym ustawa konstytucyjna daje bez wyjątku równe prawa i obowiązki. Jedynie źródło władzy w każdym kraju demokratycznym stanowił i stanowi lud. Rozwój

socjalizmu polegać może tylko na rozszerzeniu pojęcia ludu pracującego na cały naród, a nie na jego zawężeniu, zaś tylko tak można rozumieć pojęcie „przewodniej siły społeczeństwa”. Konstytucyjne usankcjonowanie większych praw dla jednej części obywateli, przyjmując nawet najlepsze ich intencje, przeczy zasadzie równości demokratycznej, dzieli społeczeństwo na dwie kategorie.

Konstytucyjne usankcjonowanie związku Państwa Polskiego z innym, nawet najbardziej zaprzyjaźnionym krajem czy grupą krajów zaprzecza podstawowej zasadzie suwerenności, albowiem odmienną sprawą jest kwestia sojuszy, układów i przyjaźni, choćby najbardziej żywotnych i cennych, czym innym zaś fundamentalna idea niezależności i niepodległości. Nie ma ono poza tym odpowiedników i przeczy zasadom wzajemności oraz równości.

Nie możemy zapomnieć, że za Ojczyznę Wolną, Niepodległą i Suwerenną, dającą równe prawa wszystkim ludziom pracy jak również dobrej woli, oddały życie miliony Polaków z żyjących jeszcze pokoleń i w duchu tej tradycji wychowały się młodsze generacje.

Trudno nam także zgodzić się z koncepcją uzależniania praw obywatelskich od „rzetelnego i sumiennego” wypełniania obowiązków wobec ojczyzny, gdyż to oznaczałoby w praktyce warunkowe jedynie posiadanie tych praw przez obywateli. Sprzeczne jest to z innymi artykułami konstytucji gwarantującymi Prawa Człowieka i Obywatela. Koncepcja ta niezależnie od intencji przyświecających jej powstaniu i sformułowaniu, stwarzać może w praktyce administracyjnej przesłanki dowolnej interpretacji godzącej w te wolności, a tym samym w najbardziej żywotne interesy narodu.

Andrzej Biernacki — redaktor, Jadwiga Dackiewicz — literatka, prof. Irena Dubiska, Maria Fołtyn, Janusz Giera — adwokat, Leonia Jabłonkówna — reżyser, Izabela Jabłońska — b. działaczka plebiscytowa na Warmii i Mazurach, matka 2 synów poległych w Powstaniu Warszawskim, doc. dr Stefan Jarociński — muzykolog, Kazimiera Jeżewska — literatka, dr Jadwiga Komorowska — socjolog, doc. dr Zygmunt Komorowski — socjolog, doc. dr Zdzisław Łapiński, Krystyna Maślanka-Braun — artysta-plastyk, Bohdan Pilarski — muzykolog, publicysta, Bohdan Płatkowski — ekonomista, Barbara Pniewska-Krasińska — artysta-plastyk, Jan Puget — krytyk, tłumacz, Julian Rogoziński — literat, Jan Sędek — adwokat, prof. dr Jerzy Sienkiewicz — historyk sztuki, Zygmunt Skórzyński — socjolog, Jerzy Waldorff — krytyk muzyczny, Barbara Wroczyńska — artysta-plastyk, Józef Wroniszewski — historyk, Janina Zajacówna — literatka.

Do Przewodniczącego Koła Poselskiego „Znak”
Pana Posła Prof. Dr. Stanisława Stommy

Zaniepokojeni przyjętą formą przeprowadzenia zmian w Konstytucji, a jeszcze bardziej proponowanymi przez PZPR merytorycznymi poprawkami do niej, spodziewając się zrozumienia i zbieżnego z naszym stanowiska w tej sprawie, posłom Katolickiej Grupy „ZNAK” przedkładamy nasze sądy i postulaty.

Taki a nie inny wybór adresata podyktowany jest względami nie tylko konfesyjnymi, ale wynika on z przeświadczenia, że pomimo wielu rozczarowań, wbrew prywatnie niektórych osób czy środowisk z nimi związanych jest Koło „Znak” jedynym niezależnym reprezentantem, nie tylko środowisk katolickich, ale przede wszystkim, choć nieformalnie, reprezentantem stanowiących znaczną większość w społeczeństwie katolików.

Doraźne efekty ostatniego pięcioletnia rządów PZPR w Polsce, osiągnięte

jednak dzięki wzmocnionemu wysiłkowi całego społeczeństwa, wpływają na wzrost pewnego rodzaju zaufania do niektórych posunięć ekipy pana Gierka. Ale osiągnięcia ostatniego pięcioletnia to tylko fragment historii minionych trzydziestu lat, niezawsze pomyślny a często jakże tragiczny, w których naród obok ofiar w ludziach ponosił wielkie straty moralne. A i w nim zaszło sporo faktów świadczących o wyraźnej tendencji odchodzenia od formalnie obowiązujących, a w praktyce niestosowanych swobód demokratycznych, zagwarantowanych w istniejącej od 1952 roku Konstytucji: np. „ujednolicenie ruchu młodzieżowego”, zlikwidowanie namiastki samorządu administracji podyktowane względami ideologicznymi, prawo do pracy, nauki, zrzeszania się, cenzura prewencyjna, dyskryminacja ludzi wierzących — to niektóre tylko zjawiska bardziej brzemiennie w skutki niżli relatywna, ale równocześnie wyraźnie nierównomierna poprawa sytuacji materialnej.

W tym stanie rzeczy narzucanie społeczeństwu istotnych — jeśli Konstytucji nie traktuje się jako fikcji, a poprawek do niej jako fikcji zwielokrotnionej — zmian w jej obowiązujących ustaleniach, zmusza nas do traktowania ich jako wyzwania pod adresem niezależnej opinii publicznej, pozbawionej możliwości swobodnego wyrażania swoich poglądów. Nie chcąc być częścią bezwolnej masy kierowanej przy pomocy co raz doskonalszych metod socjo-techniki, już teraz, choć nie znamy proponowanych zmian w szczegółach, chcemy ustosunkować się do ich tenoru, zawartego w „Wytycznych na VII Zjazd” i w przemówieniu posła E. Babiucha.

I tak jest dla nas paradoksem, że poprawie warunków ekonomicznych, która nastąpiła w wyniku sprzeciwu robotników w grudniu 1970 roku, mają towarzyszyć ciągle zwiększające się ograniczenia swobód obywatelskich. Dokonane bowiem w znanych historycznych warunkach zmiany w dziedzinie gospodarczej i społecznej nie muszą, naszym zdaniem, pociągać formułowania całości stosunków społecznych w kategoriach ideologicznych. Decydujące w tym względzie mogłyby być zmiany w świadomości ogółu społeczeństwa, które jednak pomimo trwającej od 30 lat polityki dyskryminacji wyznaje w większości światopogląd inny niżli marksistowski i jest przywiązane do wartości związanych z chrześcijaństwem.

Konstytucyjna sankcja dla sprawowanej kierowniczej roli Partii w obecnych warunkach byłaby wprawdzie wskazaniem na siłę odpowiedzialną za dotychczasowe zaniedbania w wielu dziedzinach życia, pogłębiałaby jednak istniejący podział w społeczeństwie.

Przyjacielskie stosunki między narodami, a szczególnie przyjaźń z narodami i państwami graniczącymi z Polską, to gwarancja dalszego spokojnego rozwoju naszej Ojczyzny. Jednak wprowadzenie do Konstytucji niekwestionowanej przez nikogo przyjaźni do narodów ZSRR, nie spotykane w dotychczasowej tradycji parlamentarnej, przyjmujemy jako eufemistyczne parafowanie dalszego ograniczenia własnej suwerenności i rezygnację z jakiegokolwiek próby jej poszerzenia. Przyjaźni między narodami, a szczególnie między rosyjskim i polskim, nie zbudują choćby najszczytniejsze deklaracje.

Buduje ją wzajemne poszanowanie suwerenności, uczciwa współpraca gospodarcza, szacunek dla tradycji narodowych. Nie jest ona łatwa w warunkach ciągle pokutujących doświadczeń przeszłości, których usunięcie jest nieodzownym warunkiem budowania tej przyjaźni na solidnych fundamentach.

W ciągu minionego trzydziestolecia spotykaliśmy wielokrotnie przejawy apodyktycznego rządzenia. Dlatego bez zdziwienia przyjmujemy proponowaną formę wprowadzenia istotnych i znaczących poprawek do ustawy zasadniczej. Przekonani, mimo wszystko, o ich ważności postulujemy rezygnację z wprowadzenia proponowanych zmian, a jeśli okazałyby się to niemożliwe, to jedyną do przyjęcia formą społeczną ich akceptacji winno być, naszym zdaniem, ogólne narodowe referendum.

W skupieniu uwagi społeczeństwa nad dotychczas obowiązującą Konstytucją powinno towarzyszyć upominanie się o stosowanie w praktyce wszelkich swobód obywatelskich, gwarantowanych w ustawie zasadniczej, bez żadnych różnic dla wszystkich obywateli.

Tylko taki, oparty na poszanowaniu praw, stosunek władzy do obywateli może być gwarantem dalszego rozwoju gospodarczego.

Tylko taka forma wprowadzenia ewentualnych zmian oraz stała troska władz o przestrzeganie praw demokratycznych w codziennej praktyce będzie zgodna z duchem Helsinek. Potwierdzenie Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela niech obowiązuje jej sygnatariusza — władze PRL.

W ostatnim okresie nie brakuje symptomów świadczących o zainteresowaniu osób środowisk sprawami nowelizacji Konstytucji PRL. Nie wątpimy, że objawy te zostaną wzięte pod uwagę przez Komisję Konstytucyjną. Nie wątpimy też, że zapoznanie z nimi całego społeczeństwa służyć będzie wspólnemu dobru. Te fakty niech dla Was, posłów PRL — będą swego rodzaju sejmikowymi instrukcjami, bo są one głosem wolnej i zatroskanej o pomyślną przyszłość naszego narodu opinii publicznej.

Wierzmy, że we właściwym momencie nie zabraknie waszego głosu.

List ok. 30 młodszych pracowników naukowych i studentów K.U.L.

Do wiadomości:

1. J.E. Ks. Kardynał Prymas Polski,
2. Rektor K.U.L.

Mieczysław Boruta Spiechowicz, gen. Bryg. w St. sp.
Najstarszy rangą i dowodzeniem żołnierz
Armii II Rzeczypospolitej w Kraju

Warszawa, 14. 1. 1976.

Do Komisji Nadzwyczajnej dla Przygotowania Projektu
o Zmianie Konstytucji PRL
Warszawa — Sejm

Artykuł VI Konstytucji PRL z dnia 22 lipca 1952 stwierdza: „Siły Zbrojne Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stoją na straży suwerenności i niepodległości Narodu Polskiego, jego bezpieczeństwa i pokoju”.

W oparciu o powyższe, sprzeciwiam się jednostronnym zmianom w Konstytucji, zmierzającym do ograniczenia suwerenności Narodu, ustalonej tradycją w stosunkach wewnętrznych i międzynarodowych — przypieczętowanych krewią Żołnierzy Rzeczypospolitej od czasu wiekowej Konstytucji 3-go Maja.

Mieczysław BORUTA SPIECHOWICZ
gen. Bryg.

Przedkładałam w odpisie do wiadomości:
Przewodniczący Rady Ministrów PRL gen. Dyw. Piotr Jaroszewicz,
Minister Obrony Narodowej gen. Armii Wojciech Jaruzelski,
Kluby Poselskie.

Głos solidarności pisarzy polskich na Obczyźnie

Dnia 5 grudnia 1975 roku został w kraju zredagowany memoriał nawiązujący do projektowanej zmiany konstytucji i stający w obronie podstawowych praw obywatelskich: wolności sumienia i praktyk religijnych; wolności pracy; wolności słowa i informacji; wolności nauki.

Memoriał podpisało 59 przedstawicieli sztuki i nauki w Polsce.

My, pisarze polscy na obczyźnie, wyrażamy pełną solidarność z tym wystąpieniem idącym po linii walki narodu polskiego o prawo do swobodnego rozwoju kulturalnego, politycznego i gospodarczego.

Tadeusz Alf-Tarczyński (Anglia), Stanisław Baliński (Anglia), Stefan Benedykt (Anglia), Anna Bogusławska (Francja), Piotr Borkowski (Anglia), Adam Ciołkosz (Anglia), Lidia Ciołkoszowa (Anglia), Józef Czapski (Francja), Maria Czapska (Francja), Maria Danilewicz Zielińska (Portugalia), Klara Evans (Anglia), Jan Fryling (Stany Zjednoczone), Stefan K. Gacki (Stany Zjedn.), Roman Garby-Czerniawski (Anglia), Józef Garliński (Anglia), Mieczysław Giergielewicz (Stany Zjedn.), Wojciech Gniatczyński (Niemcy Zachodnie), Henryk Grynberg (Stany Zjedn.), Helena Heinsdorf (Anglia), Gustaw Herling-Grudziński (Włochy), Zofia Hrynkiwicz (Anglia), Wacław Iwaniuk (Kanada), Alicja Iwańska (Stany Zjedn.), Zygmunt Jabłoński (Niemcy Zach.), Zdzisław Jagodziński (Anglia), Janusz Jasińczyk (Anglia), Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska (Kanada), Tamara Karren-Zagórska (Anglia), Roman Karst (Stany Zj.), Ryszard Kiersnowski (Anglia), Bolesław Kobrzyński (Anglia), Marek Koerner (Anglia), Stefania Kossowska (Anglia), Janina Kościakowska (Francja), Jan Kott (Stany Zjedn.), Janusz Kowalewski (Anglia), Zofia Kozarynowa (Stany Zjedn.), Kornel Krzeczunowicz (Anglia), Wiesław A. Lasocki (Anglia), Józef Lichten (Włochy), Józef Łobodowski (Hiszpania), X. Jerzy Mirewicz (Anglia), Paweł Moskwa (Anglia), Danuta Mostwin (Stany Zjedn.), Tadeusz Nowakowski (Niemcy Zach.), Beata Obertyńska (Anglia), Włodzimierz Odziejewski (Niemcy Zach.), Jan Ostrowski (Anglia), Andrzej Pomian (Niemcy Zach.), Antoni Pośpieszalski (Anglia), Henryk Przyborowski (Anglia), Bronisław Przytuśki (Anglia), Edward Raczyński (Anglia), Marta Reszczyńska-Stypińska (Anglia), Zofia Romanowiczowa (Francja), Eugeniusz Romiszewski (Niemcy Zach.), Krzysztof Rowiński (Anglia), Juliusz Sakowski (Anglia), Kazimierz Sowiński (Anglia), Wiesław Strzałkowski (Anglia), Janina Surynowa-Wyczółkowska (Argentyna), Tadeusz Szafar (Anglia), Tymon Terlecki (Stany Zjedn.), Adam Tomaszewski (Kanada), Wiktor Tróścianko (Niemcy Zach.), Józef Wittlin (Stany Zjedn.), Tadeusz Wittlin (Stany Zjedn.), Wiktor Weintraub (Stany Zjedn.), Ignacy Wieniewski (Anglia), Wiesław Wohnout (Anglia), Franciszek Wysłouch (Anglia), Stanisław Zadrożny (Anglia), Wacław Zagórski (Anglia), Karol Zbyszewski (Anglia), Helena Żurkowska-Ostrowska (Anglia) i Leopold Tyrmand (Stany Zjedn.).

Zebraniem podpisów zajął się Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie drogą komunikatu rozesłanego do swych członków i do pisarzy niezrzeszonych, których adresy posiadał.

Inne głosy solidarności

EMIGRACJA I POLONIA A „59-ciu”

U.S.A.

Na zebraniu w Cleveland (Ohio) Krajowa Dyrekcja Kongresu Polonii Amerykańskiej w Chicago jednogłośnie uchwaliła oświadczenie solidaryzujące się z Memoriałem które wysłano na ręce prof. Edwarda Lipińskiego. Ponadto uchwalono — również jednogłośnie — oświadczenie, w którym m.in. stwierdzono: „Kongres Polonii Amerykańskiej zdecydowanie i systematycznie popiera rozwój handlu, ekonomicznej i technologicznej pomocy oraz kulturalnej i naukowej wymiany pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Polską. Stanowisko reżymu komunistycznego nieustępliwie zaprzeczające narodowi polskiemu praw ludzkich i swobód obywatelskich (posuwając się nawet do uniemożliwiania łączenia rodzin), które — jak słusznie ostrzegają sygnatariusze oświadczenia, polscy intelektualiści — jest zagrożeniem egzystencji narodu, może nas zmusić do rewizji naszego w tej sprawie stanowiska”.

W skład Dyrekcji Krajowej wchodzi członkowie i członkinie Zarządu Głównego, krajowi wiceprezysi, wiceprezeski, dyrektorzy i dyrektorki oraz prezesi wydziałów stanowych K.P.A.



Rada Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce na posiedzeniu w dniu 27. 1. br. jednomyślnie uchwaliła rezolucję, udzielającą poparcia „Memoriałowi 59-ciu”.



Zarząd Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce w osobach John A. Gronouskiego, Zbigniewa Brzezińskiego i prof. Feliksa Grossa na posiedzeniu w dniu 31. 1. br., uchwalił całkowite poparcie dla Memoriału 59-ciu. Mamy nadzieję że Instytut zwróci się do naukowców amerykańskich, nie tylko polskiego pochodzenia, o pisemne przyłączenie się do tego poparcia.

WIELKA BRYTANIA

22. 1. br. z inicjatywy Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii i S.P.K. powstał Komitet Obywatelski złożony z przedstawicieli duchowieństwa, życia politycznego, instytucji naukowych i organizacji społecznych, mający na celu zorganizowanie planowej akcji popierającej stanowisko „Memoriału 59-ciu”.

Odpowiednie rezolucje zostały uchwalone ponadto przez Komitet Porozumiewawczy organizacji kobiecych w Wielkiej Brytanii, Zarząd Związku Artystów Scen Polskich Zagranicą.

26. 1. br. odbyło się zebranie, zwołane przez Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich w Wielkiej Brytanii, na którym przemawiali: prof. Leszek

Kołąkowski, Maria Łapińska, Kazimierz Stepan, Adam Ciołkosz i dr Józef Garliński.

13. 2. br. Komitet Obywatelski zorganizował polsko-angielski wieczór protestacyjny, na którym przemawiali: George Bradley, członek Parlamentu, przewodniczący Partii Pracy i członek TUC, Richard Moore, sekretarz Międzynarodówki Liberalnej, Michael Foot, profesor historii Uniwersytetu w Manchester, Ambasador E. Raczyński, i prof. Leszek Kołąkowski.

Ponadto Rząd Polski na Uchodźstwie oraz Federacja Ruchów Demokratycznych wydały odpowiednie oświadczenia.

FRANCJA

Redakcja *Narodowca* w Lens zorganizowała masowe poparcie „Memoriału 59-ciu” nie tylko wśród organizacji wychodźczych, ale również wśród swych czytelników.

WŁOCHY

12. 2. br. odbył się w Rzymie wieczór polski związany z „Memoriałem 59-ciu”. Przemawiali na nim Gustaw Herling-Grudziński, Dominik Morawski oraz Stanisław August Morawski.

BELGIA

Naczelny Komitet Wolnych Polaków w Belgii powziął uchwałę solidaryzującą się z memoriałem intelektualistów i Episkopatu.

KANADA

Kongres Polonii Kanadyjskiej wydał oświadczenie popierające postulaty Memoriału 59-ciu oraz obu Kardynałów i wzywające Polonię do organizowania masowych zebrań i wysyłania protestów.

29 stycznia br. kanadyjscy członkowie Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce powzięli uchwałę, wyrażającą pełną solidarność z postulatami Memoriału 59-ciu.

Czarna lista

Władze organizują ostatnio kampanię listów osób solidaryzujących się z proponowanymi zmianami Konstytucji PRL. Uważamy za konieczne wymienienie tych, na szczęście nielicznych, osób, które z takich czy innych powodów uległy presji. Są to: Prof. dr hab. Henryk Jasiorowski, rektor SGGW-AR (list zamieszczony w *Zyciu Warszawy* z 30. 1. br.); prof. dr Marian Dobrosielski, dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, b. ambasador PRL w Londynie, b. przewodniczący Towarzystwa „Polonia”

(*Trybuna Ludu* z 6. 2. br.); prof. dr Szczepan Pieniążek, wiceprezes PAN; Elżbieta Zasieczna, socjolog, Zielona Góra; Witold Czajczyński, student IV roku wydz. ekonomiczno-socjologicznego Uniwersytetu Łódzkiego; Zygmunt Rybicki (artykuł „Konstytucja”, *Kultura*, Warszawa, nr 6 z 8. 2. br.); Redakcja tygodnika *Prawo i Życie* (artykuł wstępny — niepodpisany — „To znaczy miłość do Polski” — nr 6 z 8. 2. br.); Adam Łopatka (artykuł „Sformułowanie charakteru PRL i jej podstawowych zadań”, *Prawo i Życie*, nr 6 z 8. 2. br.); Ludwik Krasuski (artykuł „Partia, moralność, konstytucja” — *Argumenty*, nr 6 z 8. 2. br.); Rada Pedagogiczna Liceum Ogólnokształcącego im. M. Konopnickiej w Katowicach (*Życie Warszawy* z 27. 1. br.); Rektor Instytutu Fizyki Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, prof. dr August Chełkowski (*Życie Warszawy*, 27. 1. br.); Władysław Machejek, artykuł „O poprawkach do konstytucji” (*Życie Literackie*, Nr 6 z 8. 2. br.); prof. dr Maciej Nałęcz — *Życie Warszawy* z 2. 2. br.; prof. dr hab. Jerzy Bafia, 1-szy Prezes Sądu Najwyższego: artykuł „Ustawa zasadnicza” (*Polityka*, Nr 6 z 7. 2. br.); Ryszard Wojna — artykuł „Podstawowe racje” (*Trybuna Ludu* z 10. 2. br.); prof. Wiesław Skrzydło, rektor Uniw. Lubelskiego im. Marii Curie-Skłodowskiej — oświadczenie dane do PAN’u; prof. dr Augustyn Woś, dyrektor Instytutu Ekonomiki Rolnej, prof. Witold Nowacki, wiceprezes PAN’u, prof. dr Adam Urbanek, także z PAN’u — wszyscy w *Trybunie Ludu* z 7/8. 2. br.; Ryszard Kazimierska — artykuł „Konstytucja państwa i społeczeństwa” (*Życie Warszawy* z 7/8. 2. br.).

Na czarną listę należy również wpisać tych posłów katolickich Klubu „Znak”, którzy głosowali za zmianą Konstytucji na plenarnym posiedzeniu Sejmu PRL 10. 2. br. mimo uchwał Klubów Inteligencji Katolickiej, redaktorów pism katolickich, no i — przede wszystkim — stanowiska Episkopatu: Konstanty Łubiński (głosował za zmianą Konstytucji nie tylko na posiedzeniu plenarnym, ale i w komisji sejmowej, opracowującej zmiany, w której był jedynym przedstawicielem Klubu „Znak”), Janusz Zabłocki (który niezależnie od głosowania sprzeciwił się wystąpieniu Klubów Inteligencji Katolickiej, które miały miejsce 17. 1. br.), Wacław Auleitner i Tadeusz Myślik. P. Ozdowski, prezes Poznańskiego Klubu Inteligencji Karolickiej wraz z p. Zabłockim głosował przeciw protestowi „Znaku”.

Konstanty Łubiński w przemówieniu w Sejmie łagodnie krytykował zmiany konstytucyjne, ale oświadczył że będzie głosował za tymi zmianami gdyż Andrzej Werblan przekonał go, że Partia chce dobra Polski. W czasie przemówienia Łubińskiego Stanisław Stomma opuścił salę sejmową, ale przemówienie było za to gorąco oklaskiwane przez Gierka. Ten fragment nadała telewizja warszawska.

Agencje prasowe PRL donoszą, że Mazurkiem Dąbrowskiego, odpisanym przez posłów o 16.25 w dniu 10 lutego br. zakończyło się posiedzenie Sejmu, który uchwalił zmiany w Konstytucji.

Sejm rozbiorowy w roku 1773 nie odpiewał np. Bogorodzicy, no i poza tym był... Rejtan. Agencje PRL nie podają, czy ambasador Piłotowicz był obecny na posiedzeniu Sejmu, który uchwalił zmiany w Konstytucji.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 234 — MARIA HIRSZOWICZ

KOMUNISTYCZNY LEWIATAN

Wnikliwa analiza biurokracji komunistycznej opracowana przez
znanego socjologa

Str. 132.

Cena F. 15

TOM 251 — MICHAŁ HELLER

ŚWIAT OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH A LITERATURA SOWIECKA

Książka, która ułatwia zrozumienie „Archipelagu GUŁag”
Aleksandra Sołżenicyna.

Str. 324.

Cena F. 30 (dol. 8,00)

TOM 254 — MAREK TARNIEWSKI

EWOLUCJA CZY REWOLUCJA

Wnikliwa analiza istniejącego w Polsce ustroju przeprowadzona przez
autora krajowego. Poszczególne części tej pracy noszą tytuły:
WSTEP. — POCHODZENIE SYSTEMU. — WŁASNOŚĆ, PAŃ-
STWO I PARTIA. — ORGANIZACJA SPOŁECZEŃSTWA,
ELITA WŁADZY. — RZĄDZĄCY I RZĄDZENI. — ŚWIADO-
MOŚĆ SPOŁECZNA. — DZIEDZINY I KIERUNKI PRZEMIAN.
— CZYNNIKI PRZEMIAN. — ZAKOŃCZENIE.

Str. 288.

Cena F. 40.

Rosyjska podróż de Custine'a

Astolf de Custine (1790-1857) jest czymś w rodzaju Jules Verne'a sowiologii: opis jego trzymiesięcznej podróży po Rosji Mikołaja I (*La Russie en 1839*, 4 tomy, Paryż, 1843) antycypuje Sowiety tak trafnie, jakby zdumiewający markiz był współczesnym Orwella czy Sołżenicyna. Custine napisał kilka powieści, dramat i dwa inne opisy podróży, ale tylko jego „*Rosja w 1839*” była sukcesem (w ciągu trzech lat rozeszło się, wraz z przekładami, ok. 200.000 egzemplarzy) i dziś stanowi ona jego jedyny tytuł do sławy. Była wznawiana, przeważnie w wyborach, kilka razy; najświeższą edycją są *Lettres de Russie* (La Russie en 1839; Edition présentée et établie par Pierre Nora; Gallimard, 1975). Nie ma niestety polskiego tłumaczenia tej książki i de Custine jest w Polsce postacią trochę legendarną. Pisał o nim sporo Kucharzewski — który sam już stał się legendą — w swej *Epoce Mikołajowskiej* (Warszawa, 1926), w *Kulturze* (Nr 4/295, 1972) przypomniał go Herling-Grudziński, omawiając pracę G.F. Kennan'a *The Marquis de Custine and His „Russia in 1839”* (Princeton, 1971), cierpko wymienia go parę razy L. Bazyłow w solidnej zresztą pracy *Społeczeństwo rosyjskie w pierwszej połowie XIX wieku* (Ossolineum, 1973) — i to mniej więcej wszystko. De Custine jest wart czytania; zastanawiając się nad sposobem ponownej jego prezentacji doszedłem do wniosku, że jedynie wybór oryginalnych fragmentów książki może dać pojęcie o jej charakterze. *Rosja w 1839* nie jest dziełem etnograficznym ani historycznym; jest to reportaż socjologiczny, oddający „esencję” Rosji, tak jak ją uchwycił w czasie swej krótkiej podróży de Custine, i to reportaż w stylu francuskiej *causerie* najwyższej klasy, napisany językiem epoki, w której zachwyty nad jasnością i celnością francuszczyzny miały jeszcze uzasadnienie. Custine posłużył się w swej książce formą listów do przyjaciół (całość składa się z 36 listów), ale był to tylko chwyt literacki, pozwalający na maksimum swobody w traktowaniu tematu: narracja przeplata się tu z dywagacją, opis przechodzi w historiozoficzną generali-

zację, opinie ogólne ilustrowane są pojedynczymi przykładami. Krytyka słusznie zarzucała mu nieścistości, poleganie na informacjach z drugiej ręki, etc., ale nie mogła odmówić mu tego, co stanowi główny walor książki: że jest ona wnikliwym studium tyranii i jej konsekwencji psychologicznych.

Jak de Custine trafił do Rosji? Złożyło się na to kilka okoliczności. De Custine był zamożnym arystokratą i homoseksualistą: połączenie, dające mu swobodę poruszania się po całej ówczesnej Europie geograficznej i towarzyskiej, a zarazem lokujące go na marginesie własnej sfery. Biografia jego — szczegółowiej omówiona we wspomnianym artykule Herling-Grudzińskiego, a źródłowo w pracy markiza de Luppé, *Astolphe de Custine*, Monaco, 1957 — to połączenie Prousta z podręcznikiem literatury i historii europejskiej: matka Astolfa była kochanką Chateaubrianda i przyjaciółką pań Récamier i de Staël, on sam w młodości przedstawiony był Goethe'mu, znał Talleyranda, bywał u Metternicha, przyjaźnił się, lub przynajmniej utrzymywał znajomość, z Balzakiem, Stendhalem, Chopinem, Heinem, Victorem Hugo i Baudelaire'm; wszystko to na tle podróży, pobytów w *chateaux* i „bywania” w salonach, wypełnionych po brzegi hrabinami i diuszunami. Gdyby nie homoseksualizm, de Custine niewątpliwie wsiąkłby w ten złoty piasek bez śladu w dziejach; na szczęście dzięki swej aberracji uznany został za *pas comme il faut* i zajął się literaturą. W 1835 ukazał się we Francji pierwszy tom *De la Démocratie en Amérique* Alexis de Tocqueville'a i zrobił natychmiast furorę; Custine pracował właśnie nad podobnym dziełem o Hiszpanii (*l'Espagne sous Ferdinand VII*, Paryż, 1838), musiał czuć, że ten gatunek mu odpowiada — i myśl o napisaniu *pendant* do pracy Tocqueville'a, traktującego o tajemniczym gigantcie z przeciwległego kresu cywilizowanego świata, narzuciła się sama. Co więcej, Custine był osobiście zainteresowany Rosją. W tymże bowiem roku 1835 zamieszkał u niego w charakterze podopiecznego (?) młody Polak-emigrant, Ignacy Gurowski, brat Adama, znanego publicysty i działacza politycznego. Ignacy był przystojny i biedny; jaki był charakter ich stosunku nie jest jasne, gdyż Custine żył w regularnym „stadle” z pewnym Anglikiem, a Ignacy przejawiał skłonności zdecydowanie heteroseksualne — m.in. kochał się w słynnej ówczesnej aktorce, Rachel (Custine nawet w jego imieniu prosił o jej rękę), a następnie uwiódł i poślubił autentyczną infantkę hiszpańską, kuzynkę Izabelli II (tzn. cioteczną praprababkę obecnie panującego Juana Carlosa) i miał z nią dziewięcioro dzieci. Nim jednak do tego „romansu polsko-hiszpańskiego” (określenie de Custine'a) doszło, Gurowski spędził w domu markiza kilka lat, wnosząc doń dużo ożywienia, kontaktów z Polakami i — jak się zdaje — kłopotów. De Custine musiał z pewną ulgą przyjąć projekt Ignacego wystarania się o carską amnestię i powrót do Polski; w każdym razie podjął się pośrednictwa w tej sprawie. Tak narodził się zamiar podróży do Rosji; przypuszczalnie głównym motywem de Custine'a była ciekawość i chęć zebrania materiałów do książ-

ki, a okazja dopomożenia młodemu przyjacielowi i pozbycia się go w elegancki sposób stanowiła element przyspieszający decyzję.

Podróż ta wyglądała w ogólnych zarysach następująco: latem 1839 Custine udał się via Ems, Frankfurt i Berlin do Lubeki, by z pobliskiego Travemünde popłynąć rosyjskim parowcem do Petersburga. Statek „Mikołaj I” przybył na redę w Kronstacie 10 lipca; po wstępnych — i uciążliwych — formalnościach paszportowych podróźnych przeładowano na mniejszy statek, który zabrał ich do samego Petersburga, gdzie po ponownych przeprawach z policją i celnikami Custine wyokrętował się wraz ze swym powozem i zaufanym służącym-Włochem. Pobyt w stolicy trwał ok. trzech tygodni; markiz bierze udział w uroczystościach z okazji ślubu wielkiej księżny Marii z księciem Maksymilianem de Beauharnais, zostaje przedstawiony cesarskiej parze, a pod koniec lipca jest jej gościem w Peterhofie, letniej siedzibie dworu. Przy tej okazji przedstawia carowej prośbę o ułaskawienie Ignacego — bezskutecznie. W Peterhofie też występuje z prośbą o pozwolenie zwiedzenia Szlisselburga, naówczas ciężkiego więzienia stanu, co wywołuje zrozumiałą konsternację; otrzymuje jedynie zezwolenie na wycieczkę do *śluz* w pobliżu twierdzy, ale będąc już na miejscu udaje mu się dostać do jej wnętrza. Twierdza robi na nim odpowiednie, tzn. makabryczne, wrażenie.

Z początkiem sierpnia z przydzielonym mu dla opieki i nadzoru feldjegrem Custine wyrusza powozem do Moskwy, spędza tam kilka dni i udaje się do Jarosławia i Niżnego Nowogrodu; w obu miejscowościach przyjęty jest uprzejmie przez gubernatorów, nie popasa jednak długo i 4 września jest już ponownie w Moskwie. Po kilku dniach rusza z powrotem do Petersburga, gdzie spędza jeszcze dwa tygodnie, o których z książki nic właściwie się nie dowiadujemy, po czym wraca przez Prusy do Niemiec. Początkowo projekt podróży przewidywał powrót przez Wilno i Warszawę, ale Custine zmienił marszrutę w ostatniej chwili. Podany w książce powód jest dość dziwny: Custine stwierdza mianowicie, że nie chce oglądać Polaków w Polsce, gdyż ma dla nich wiele sympatii i współczucia z uwagi na niedawne klęski narodowe (jest to okres represji po powstaniu listopadowym), a równocześnie zdaje sobie sprawę, że muszą oni ponosić za nie część winy z racji swych wad; byłoby mu trudno je przemilczeć, a równocześnie w obliczu świeżych nieszczęść uważa takie *verba veritatis* za niestosowność — najlepszym rozwiązaniem jest więc ominąć Polskę łukiem. Nie kwestionując szczerości tej opinii wydaje się ona argumentem trochę naciągającym; przypuszczalnie chodziło (głównie Rosjanom) o uniknięcie spotkania z Paskiewiczem, który z racji swego urzędu w Warszawie musiałby de Custine'a przyjąć, co byłoby ambarasujące z uwagi na zabiegi wokół sprawy Gurowskiego i znane propolskie i prokatolickie nastawienie markiza. Tak czy owak Custine wrócił do Francji nie odwiedzwszy Polski i nie załatwiwszy sprawy Gurowskiego. Ta ostatnia znalazła wkrótce inne rozwiązanie: na skutek skandalu

z infantką Gurowski musiał opuścić Francję i osiadł wraz ze spieszną poślubioną Burbonówną w Belgii, *le pauvre*.

Ta okoliczność przyspieszyła zredagowanie „*Rosji w 1839*”, którą Custine zaplanował jako „bombę” i o której wiedział z góry, że raz na zawsze uczyni z niego i wszystkich jego przyjaciół przedmiot nienawiści rządu rosyjskiego. Przewidział to też Balzak, który z uwagi na panią Hańską i własne kontakty z Rosjanami co prędzej odsunął się od markiza. O tym, że Custine wiedział co robi, świadczy jego list do Victora Hugo, wysłany z Mediolanu 20 grudnia 1841:

„[...] Spędziłem lato pracując nad wykończeniem czterech tomów o Rosji, dzieła które napętnia mnie trwogą, nie z tchórzostwa, lecz przez świadomość własnej słabości; stawać do walki, by zdemaskować takiego kolosa z tak niewielką ilością amunicji jaką posiadam, jest przedsięwzięciem nader śmiałym. Wiem, że słuszność jest po mojej stronie; sądzę też, że dobrze widziałem, w każdym razie rzeczy zasadnicze, i że dobrze osądziłem rezultaty orientalnego despotyzmu wspieranego cywilizacją europejską; nie czuję w sobie jednak siły uprzytomnienia tych prawd innym i przelania mego przekonania w duszę czytelnika. Uspakajam się myślą, że zrobiłem co mogłem i że trudno byłoby wymagać ode mnie więcej. [...]”

Motyw obawy — nie tylko moralnej — przed narażeniem się Rosji jest jedną z interesujących zbieżności z czasami dzisiejszymi; i w tym nasz markiz był pierwszym, który na to zwrócił uwagę. W apendiksie, dodanym do właściwego tekstu w listopadzie 1842, tuż przed oddaniem książki do druku, Custine relacjonuje swe rozmowy z dwoma byłymi żołnierzami Napoleona, którzy dostali się do niewoli rosyjskiej i spędzili lata na Syberii; ich opowiadania o przeżytych okropnościach to XIX-wieczny Gułag; de Custine zainteresował się, dlaczego żaden z nich nie opublikował swych wspomnień. Zakończenie rozmowy z jednym z rozmówców, Włochem nazwiskiem Grassini, zasługuje na przytoczenie:

[Custine do Grassini'ego] „— Ale dlaczego Pan, człowiek wykształcony i samodzielnie myślący, nie ogłosił opisu swej niewoli? Fakty tego rodzaju, dobrze udokumentowane, zainteresowałyby cały świat.

— Wątpię; świat składa się z ludzi tak zajętych sobą, że cierpienia innych mało ich wzruszają. Poza tym mam rodzinę i stanowisko, jestem uzależniony od mego rządu, który pozostaje w dobrych stosunkach z rządem rosyjskim i który nie spoglądałby przychylnym okiem na to, że jeden z jego poddanych ogłasza tu rzeczy, które w kraju, w którym się dzieją, są ukrywane.

— Jestem przekonany, że oczernia Pan swój rząd; proszę mi wybaczyć szczerość, ale sądzę, że jest to tylko Pańską wyłączną winą, z nadmiaru ostrożności.

— Być może: nigdy jednak nie napiszę, że Rosjanie zachowują się nieludzko.

— Cieszę się, że sam przebywałem w Rosji tylko kilka miesięcy, widzę bowiem, że nawet najuczciwszym, najbardziej niezależnym umysłowo ludziom po spędzeniu w tym szczególnym kraju kilku lat, przez resztę życia wydaje się, że jeszcze się w nim znajdują, lub że będą musieli do niego powrócić. I to tłumaczy naszą dotychczasową nieświadomość tego, co się tam dzieje. Prawdziwy charakter ludzi, zamieszkujących to ogromne, straszne imperium jest dla większości Europejczyków tajemnicą. Jeśli wszyscy podróżnicy zmówią się, dla rozmaitych powodów, by tak jak Pan przemilczać nieprzyjemne prawdy, jakie można by powiedzieć temu narodowi i ludziom, którzy nim rządzą, nie ma sposobu by Europa kiedykolwiek dowiedziała się, co sądzić o tym doprowadzonym do perfekcji więzieniu. Opiewać rozkosze despotyzmu, nawet gdy samemu jest się poza jego zasięgiem, jest ostrożnością posuniętą do stopnia, który uważam za zbrodniczy. Niewątpliwie jest w tym jakaś niewytłumaczalna zagadka; jeśli jej nawet nie zgłębiłem, to przynajmniej udało mi się uniknąć fascynacji strachem, co udowodnię szczerością mych opisów”.

To ostatnie niewątpliwie się udało. Można nawet sądzić, że Custine nadużył chwilami czarnej farby, ale ta właśnie amplifikacja uczyniła książkę aktualną w sto lat po jej wydaniu, kiedy reżym bolszewicki pogłębił i rozbudował zauważone przez Custine'a cechy „strukturalne” społeczeństwa rosyjskiego do monstrialnych rozmiarów. Kennan, pisząc o aktualności tej książki, zauważył: „Jeśli nawet przyznamy, że *La Russie en 1839* nie była zbyt dobrą książką o Rosji w 1839, stajemy wobec niepokojącego faktu, że była ona książką doskonałą, przypuszczalnie najlepszą z istniejących, o Rosji Józefa Stalina, a i całkiem niezłą o Rosji Breżniewa i Kosygina”.

Przytoczony poniżej zestaw fragmentów z *La Russie en 1839* powinien dać pojęcie o jej charakterze; uszeregowałem cytaty nie według ich miejsca w dziele (z uwagi na niesystematyczność wykładu de Custine'a nie miałyby to sensu), lecz w sekwencji głównych idei, do których autor stale nawraca; są nimi: despotyczny system rządów rosyjskich i jego skutki społeczne, przecucie rewolucji o charakterze ideologicznym (Custine sądził, że detonatorem będą kwestie wyznaniowe, co w pewnym sensie się sprawdziło), oraz kwestia zagrożenia rosyjskiego. Korzystałem z kilku wydań: brukselskiego Woutersa z 1843 (skrót: R. i tom), wspomnianego wydania Gallimarda (skrót: L.) oraz wy-

boru, zawartego w pracy: *Custine. Présentation et choix d'Yves Florenne*, Mercure de France 1963 (skrót: C.).

A oto sam de Custine:

[W drodze do Rosji de Custine zatrzymał się w Lubece; oberzysta, dowiedziawszy się o celu podróży, próbuje go odwieść od tego zamiaru twierdząc, że Rosja jest „złym krajem”. Następuje poniższy dialog:]

„— Zna Pan Rosję? — spytałem go.

— Nie, ale znam Rosjan; wielu z nich przejeżdża przez Lubekę, a ja oceniam kraj po twarzach jego mieszkańców.

— Cóż Pan takiego widzi w wyrazie ich twarzy, co miałoby mnie skłonić do zaniechania wizyty u nich?

— *Monsieur*, oni mają dwie twarze; nie mam na myśli lokajów, którzy mają tylko jedną, mówię o panach: gdy przybywają tu w drodze do Europy mają miny wesołe, swobodne, zadowolone; to konie, co się wyrwały na wolność, ptaki, którym otwarto klatkę; mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, wszyscy są szczęśliwi jak uczniowie na wakacjach; ci sami ludzie w drodze powrotnej wyglądają smutno, ponuro i niespokojnie; mówią niewiele, wyrażają się sucho; czoła mają zastroskane: z różnicy tej wnoszę, że kraj skąd wyjeżdża się z taką radością i dokąd powraca się z taką niechęcią jest złym krajem” (L. str. 39 n.).



[Po pierwszej kontroli w Kronsztacie następuje następna w Petersburgu:]

Należało stanąć przed nowym trybunałem, który podobnie jak ów w Kronsztacie zebrał się w dużym salonie okrętowym. Postawiono mi te same pytania z tą samą uprzejmością, a odpowiedzi moje przetłumaczono z tymi samymi formalnościami.

— Co zamierza Pan robić w Rosji?

— Zobaczyć kraj.

— To nie powód podróży. (Nie zachwyca was pokora tego zastrzeżenia?).

— Nie mam innego.

— Z kim zamierza Pan spotkać się w Petersburgu?

— Z każdym, kto zaszczyli mnie znajomością.

— Jak długo zamierza Pan pozostać w Rosji?

— Nie wiem.

— Mniej więcej?

— Kilka miesięcy.

— Czy ma Pan jakąś oficjalną misję dyplomatyczną?

— Nie.

— Tajną?

— Nie.

— Jakiś cel naukowy?

— Żadnego.

— Czy został Pan wysłany przez swój rząd celem obserwowania sytuacji społecznej i politycznej tego kraju?

— Nie.

— Przez jakąś kompanię handlową?

— Nie.

— Więc podróżuje Pan na własną rękę i z czystej ciekawości?

— Tak.

— Dlaczego wybrał się Pan akurat do Rosji?

— Nie wiem, etc. etc. etc.

— Czy ma Pan listy polecające do kogoś w tym kraju?

Byłem uprzedzony o niedogodnościach zbyt szczerzej odpowiedzi na to pytanie; wspomniałem więc tylko mojego bankiera. [...] Przepuszczono mnie bez rewizji osobistej; ale gdy wypadło otworzyć wszystkie walizki na cle, ci nowi przeciwnicy niesłychanie szczegółowo zajęli się moimi bagażami, szczególnie książkami. Skonfiskowano je wszystkie bez wyjątku, wciąż z niezwykłą uprzejmością, lecz nie zwracając najmniejszej uwagi na moje protesty. [...] (R. I. str. 129-131).

[Do sceny tej powraca de Custine w dalszej relacji z pobytu:]

Trudności na jakie się napotyka przy wjeździe do tego kraju nudzą mnie, lecz nie przerażają; co mnie uderza, to trudności jakie miałby człowiek próbując stąd uciec. Prosty lud powiada: „By wjechać do Rosji — brama szeroka, by z niej wyjechać — wąska”. Mimo ogromu tego imperium nie czuję się w nim swobodnie; w najrozleglejszym więzieniu więźniowi zawsze za ciasno. To tylko złudzenie wyobraźni, przyznaję, lecz trzeba było przyjazdu tutaj, aby go zaznać. (R. II. str. 171 n.).



[Wrażenia de Custine'a po kilku dniach w Petersburgu:]

To zbiorowisko automatów przypomina połowę partii szachów, gdyż jeden człowiek posuwa wszystkie figury, a niewidzialnym przeciwnikiem jest ludzkość. Nikt się tu nie poruszy, nikt nie odetchnie bez zezwolenia czy cesarskiego nakazu; więc każdy jest chmurny i skrępowany: milczenie włada życiem i paraliżuje je. Oficerowie, woźnice, Kozacy, chłopci, dworzanie, w róż-

nej randze wszyscy na służbie jednego pana, ślepo posłuszni myśli, której nie znają; arcydzieło wojskowej mechaniki; lecz widok tego porządku wcale nie cieszy mnie, bo regularność taką osiąga się tylko kompletnym brakiem niezależności i fantazji. Zdaję się dostrzegać cień śmierci padający na tę część globu.

W narodzie tym, pozbawionym swobody i woli, widać jedynie ciała bez duszy i dreszczem przejmuję myśl, że na taką mnogość rąk i nóg przypada tylko jedna głowa.

Despotyzm jest mieszaniną niecierpliwości z lenistwem; przy nieco większej pobłażliwości ze strony rządu i nieco większej aktywności ze strony poddanych można by uzyskać te same rezultaty o wiele taniej; lecz cóż z tyranią?... okazałaby się zbędną. Tyrania to u narodów choroba z urojenia; przebrany za lekarza tyran wmówił im, że zdrowie nie jest naturalnym stanem człowieka cywilizowanego i że im większe zagrożenie, tym sroższe musi być lekarstwo; w ten sposób hoduje zło pod pretekstem leczenia. Porządek społeczny w Rosji kosztuje zbyt drogo, bym go podziwiał.

Na zarzut, że mieszam despotyzm z tyranią odpowiem, iż czynię to na umyślnie. Są tak bliskimi krewnymi, że prawie nigdy nie zaniedbują zjednoczyć się na ludzkie nieszczęście. Tyrania może trwać w despotyzmie, bo zachowuje maskę. [...] Rosyjski system rządzenia to dyscyplina obozu podłożona pod miejski ład, stan obłączenia zmieniony w normalny stan społeczeństwa. (L. str. 91 n.).

Wózki do wywożenia nieczystości z miasta są małe i niewygodne; przy pomocy takiego pojazdu człowiek i koń mogą wykonać tylko niewielką ilość pracy w ciągu dnia. W ogóle Rosjanie przejawiają swą inteligencję raczej w sposobie stosowania złych narzędzi, niż w staraniu o ulepszenie posiadanych. Mało utalentowanych w wynalazczości nie mają zazwyczaj urzędów odpowiadających celom, jakie chcieliby osiągnąć. Naród ten, mający tyle gracji i wdzięku, pozbawiony jest zdolności twórczych. I w tym także Rosjanie są Rzymianami północy. Jedni i drudzy zapożyczyli swą naukę i sztukę z zagranicy. Posiadają inteligencję, lecz jest to inteligencja naśladowcza, więc raczej ironiczna niż płodna; wszystko odtwarza, nie stwarza niczego.

Szyderstwo jest dominującą cechą tyranów i niewolników. Każdy naród uciskany kieruje swój umysł ku pomniejszeniu, satyrze, karykaturze; za swą inercję i poniżenie mści się sarkazmem. (R. II, str. 39).

[...] Piotr I i Katarzyna II dali światu wielką i użyteczną lekcję, za którą zapłaciła Rosja; pokazali nam, iż despotyzm nigdy nie bywa straszniejszy niż wtedy, kiedy głosi, że stwarza dobro, bo wówczas sądzi, że jego intencja usprawiedliwia najokropniejsze czyny: i zło udające lekarstwo nie ma już granic. Otwarta zbrodnia tryumfuje tylko przez dzień; fałszywe cnoty — oto, co deprawuje duszę społeczeństw na zawsze. Olsnione błyskotliwymi akcesoriami zbrodni, rozmachem przestępstw uzasadnionych sukcesem, narody zaczynają wierzyć, że istnieją dwa rodzaje podłości, dwie moralności, i że konieczność zwana niegdyś racją stanu rozgrzesza wysoko postawionych zbrodniarzy pod warunkiem, że potrafią oni swoje ekscesy zharmonizować z nastrojem kraju.

Otwarta tyrania mnie mało przeraża, gdy ją zestawiam z uciskiem przebrany za stróża porządku. Siła despotyzmu mieści się tylko w masce despoty. Gdy władca nie ma możliwości kłamać, naród jest wolny; dlatego sądzę, że jedynym złem na ziemi jest kłamstwo. Jeśli tylko otwarta przemoc i samowola was przerażają, jedźcie do Rosji, nauczycie lękać się nade wszystko tyranii obłudnej. (L. str. 363).

Sytuacja społeczna, umysłowa i polityczna obecnej Rosji jest rezultatem i, jeśli tak można powiedzieć, podsumowaniem rządów Iwana IV, przez samych Rosjan obdarzonego przydomkiem Groźny; Piotra I zwanego Wielkim przez ludzi, którzy szczytą się imitowaniem Europy, oraz Katarzyny II, ubóstwionej przez naród marzący o podboju świata i schlebiający nam w oczekiwaniu na chwilę, kiedy nas pożre; takie jest przerażające dziedzictwo, którym włada imperator Mikołaj [...] (L. str. 271).

Zbliżając się do cesarza, patrząc na jego godność, na jego piękno, podziwiam to wspaniałe zjawisko; właściwy człowiek na właściwym miejscu to rzecz wszędzie rzadka; na tronie niespotykana jak feniks. Cieszy mnie, że żyję w czasach, kiedy taki cud się przydarza, gdyż lubię odczuwać respekt, tak jak innych cieszy rzucanie obelg.

Studiuję jednak starannie przedmiot mego szacunku; toteż gdy z bliska patrzę na tego jedyne w swym rodzaju człowieka na świecie, zdaje mi się, że głowa jego ma dwa oblicza jak głowa Janusa i słowa przemoc, wygnanie, ucisk czy ich wszechogarniający synonim: Syberia, wryte są po stronie, której nie widzę.

Ta myśl towarzyszy mi nieustannie, nawet gdy z nim rozmawiam. Choć staram się myśleć o tym jedynie co mówię do niego, wyobrażenia moja wędruje wbrew woli z Warszawy do Tobolska i sama nazwa: Warszawa przywraca mi moją rezerwę.

Czy wiecie, że w tym właśnie momencie drogi Azji znów wypełniły się zesłańcami wyrwanymi z domostw, którzy pieszo wędrują ku swym mogiłom jak trzoda pędzona z pastwiska na rzeź?

Ten nowy wybuch wściekłości został spowodowany tak zwanym polskim spiskiem, spiskiem „młodych szaleńców”, którzy, gdyby im się powiodło, byłiby bohaterami, choć usiłowania ich, przez to że beznadziejne, zdają mi się tym bardziej ofiarne. Serce mi krwawi na myśl o zesłańcach, ich krewnych, ich kraju... [...].

Czyż wymawiając słowo: liberalizm nie powinien się człowiek rumienić ze wstydu na myśl, iż żyje w Europie naród nigdyś niepodległy, a dziś nie znający innej wolności jak bunt? Rosjanie zwracając ku Zachodowi broń, którą z sukcesem posługiwali się w Azji zapominają, że metody szerzenia postępu wśród Kałmuków stają się zbrodnią przeciw ludzkości, gdy są stosowane wobec narodu od dawna ucywilizowanego. Wstrzymuję się — choć widzicie z jak wielkim trudem — od nadużywania słowa tyrania: a byłoby na miejscu; dałoby jednak ono do ręki broń przeciw mnie ludziom znudzonym wyrzutami, których nieustannie są sami powodem. Ci ludzie zawsze gotowi są krzyknąć o „wywrotowych deklamacjach”! Na argumenty odpowiadają milczeniem, tą racją mocniejszego; na oburzenie — pogardą, tym prawem słabych uzurpowanym przez silnych; znając ich taktykę nie chcę im dawać okazji do śmiechu... Lecz czegoż się boję? Po przewertowaniu kilku stron przestanę mnie czytać: umieszczę książkę na indeksie i zabronię mówienia o niej; tej książki nie będzie, dla nich i u nich zostanie ona nigdy nie napisana; ich rząd, tak jak ich kościół, broni się udawaniem głuchego; polityka ta miała sukces do dziś i jeszcze z pewnością będzie go miała długo w kraju, gdzie odległości, izolacja, bagna, lasy i zima zastępują sumienie rządzącym i cierpliwość poddanym. (R. II, str. 202-4).

[De Custine zainteresował się losem skazanych na zesłanie dekabrystów, szczególnie ks. Trubeckiego, którego żona — Francuzka z pochodzenia — towarzyszyła mu dobrowolnie. Pokazano mu krążący w ówczesnym *samizdacie* list księżny do cara, opisujący straszne warunki zesłania; list nie wywołał skutku, o skazanych nie wolno było wspominać. Na temat pokazania mu listu Custine zauważa: „Nieszczęsny kraj, w którym każdy cudzoziemiec w oczach tłumu uciskanych wydaje się zbawcą, gdyż reprezentuje prawdę, jawność i wolność wobec ludzi wszystkich

tych dóbr pozbawionych”. Na temat traktowania zesłanych wybuchu:]

I Rosja chełpi się zniesieniem kary śmierci!! Powściągnijcie zapał, znieście jedynie kłamstwo, które u was rządzi wszystkim, wszystko znieprawia, wszystko zatruwa, a zrobicie już wystarczająco wiele dla dobra ludzkości.

Krewni zesłanych, Trubeccy, rodzina bardzo znaczna, mieszkają w Petersburgu; i bywają na dworze!!!... Oto postawa, godność i niezależność rosyjskiej arystokracji. W tym imperium przemocy strach usprawiedliwia wszystko!... więcej, zapewnia nagrodę. Strach, upiększony mianem przezorności i umiarkowania stanowi jedyną zasługę, jaka nigdy nie bywa zapomniana.

[I w odnośniku do tego pasażu:]

Na co służą ustawy w kraju, gdzie rząd stoi ponad prawem, gdzie ludność jęczy w ucisku przy systemie sprawiedliwości, który pokazuje się jej z daleka jak kawałek mięsa psu, bitemu gdy tylko ośmieli się doń zbliżyć, jak ciekawostkę, która trwa pod warunkiem, że nikt jej nie tknie? [...] W zakresie postępu politycznego i prawnego Rosja poprzestaje jedynie na słowach; przy sposobie, w jakim w tym kraju przestrzega się praw, nie ryzykuje się niczego — łagodząc je. Na tej samej zasadzie stosowanej odwrotnie w Europie średniowiecznej zaostrzano je — z równie nikłym powodzeniem! Należałoby powiedzieć Rosjanom: na początek zadekretujcie prawo do życia, a już ulepszyście wasz kodeks karny. (R. II, str. 212).

[...] Rosjanie mi na to wszystko nie odpowiedzą; oświadczą: „Trzy miesiące podróży — źle widział”.

To prawda: źle widziałem, ale dobrze odgadłem.

A jeżeli zaszczycą mnie polemiką, będą przeczyli faktom; faktem, które stanowią surowiec każdego przekazu historycznego, a które przyzwyczajono się za nic mieć w Petersburgu, gdzie przeszłość i przyszłość, podobnie jak teraźniejszość są w gestii władcy; albowiem, powtarzam, Rosjanie nie mają nic własnego prócz posłuszeństwa i imitacji; ich myśli, sądy, opinie należą do cara. W Rosji historia jest częścią dóbr koronnych: stanowi własność duchową panującego tak samo, jak ludzie i ziemia są jego własnością materialną; jest trzymana w skarbcu wraz z klejnotami imperialnymi i pokazuje się z niej to jedynie, co chce się pokazać. Pamięć o tym co zaszło wczoraj jest własnością imperatora; podług swojego widzi mi się zmienia on kroniki państwa i co

dzień wydziela poddanym takie prawdy historyczne, jakie godzą się z fikcją chwili bieżącej. Tak to Minin i Pożarski, dwaj bohaterowie zapomniani od dwóch stuleci, zostali nagle ekshumowani i stali się modni z chwilą inwazji Napoleona; jako że w tym momencie rząd zezwolił na entuzjazm patriotyczny. (L. str. 371 n.).

Zaiste kraj ten nadaje się wyśmienicie do wszelkiego rodzaju szalbierstw: i gdzie indziej są niewolnicy, lecz na to by znaleźć tylu rabów-dworaków trzeba przyjechać do Rosji. Nie wiem, czym bardziej zdumiewać się, niekonsekwencją czy hipokryzją, jaka panuje w tym imperium: Katarzyna II żyje nadal, gdyż mimo nader otwartego usposobienia jej wnuka Rosja w dalszym ciągu rządzona jest za pomocą obłudy. W tym kraju otwarta tyrania byłaby postępem.

Pod tym względem, jak pod wieloma innymi, cudzoziemcy którzy dotąd opisywali Rosję szli ręką w rękę z Rosjanami w oszukiwaniu świata. Czyż można być bardziej obłudnym lizusem niż większość tych literatów, którzy zjeżdżają tu z wszystkich kątów Europy rozpyływać się nad wzruszającą prostotą stosunków między imperatorem Rosji i jego ludem? Kraj ten był opisywany albo przez ludzi, których pozycja i funkcje nie pozwalały na własne zdanie, albo też najuczciwsze umysły znalazłszy się w Rosji tracą swobodę sądu.

Co do mnie bronię się przed tym oddziaływaniem dzięki odrazie do fałszu. [...] Nienawiść do hipokryzji jest płomieniem, którym pozwałam prowadzić się w labiryncie świata: ci, którzy ludzi oszukują w czymkolwiek wydają mi się trucicielami, a najwyżej postawieni, najpotężniejsi są najbardziej winnymi. Gdy kłamie słowo, gdy kłamie pismo, gdy kłamie czyn, nienawidzę ich: gdy kłamie — jak w Rosji — milczenie, tłumaczę je. Jest to dlań kara. (C. str. 129).

Każdy nieszczęśliwy wypadek jest tutaj traktowany jako sprawa państwowa; Pan Bóg zapomina, co winien carowi.

Zabobon polityczny będący duszą tego społeczeństwa wystawia jego przywódcę na wszelkie żale słabości wobec siły, na wszelkie skargi ziemi na niebo; kiedy mój pies jest ranny, ode mnie domaga się leczenia; gdy Bóg uderza w Rosjan, odwołują się do cara, który, za nic nie odpowiedzialny politycznie, odpowiada za wszystko jako opatrność; jest to naturalna konsekwencja uzurpacji praw boskich przez człowieka. Król, który godzi się

uchodzić za coś więcej niż za człowieka bierze na siebie całe zło, jakie niebu spodoba się zesłać za jego rządów na ziemię; tego rodzaju fanatyzm polityczny prowadzi do nadwrażliwości i cieniowania niuansów o jakich nie ma się pojęcia w żadnym innym kraju. Co więcej, tajemnica jaka, zdaniem policji, winna okrywać najbardziej nawet niezależne od woli ludzkiej wypadki mija się z celem w tym sensie, że pozostawia wolne pole wyobraźni; każdy relacjonuje te same fakty inaczej, zależnie od własnych zainteresowań, obaw, ambicji czy humoru, a także od punktu widzenia jaki narzuca mu funkcja na dworze i pozycja w społeczeństwie; skutkiem tego prawda w Petersburgu jest konstrukcją myślową tak samo jak dla odmiennych przyczyn stała się nią we Francji: bezprawna cenzura i nieograniczona wolność mogą prowadzić do tych samych rezultatów, czyniąc weryfikację najprostszego faktu niemożliwością. [...].

Nie przestaję zdumiewać się widząc, że istnieje naród do tego stopnia niefrasobliwy, iż spokojnie żyje i umiera w półmroku, w jakim pozostawia go policja jego władców. Sądziłem dotychczas, że umysł ludzki nie potrafi obchodzić się bez prawdy tak samo, jak ciało bez powietrza i słońca; podróż do Rosji wykazała mi, że się mylę. Prawda stanowi potrzebę tylko wybranych duchów i tylko najbardziej zaawansowanych narodów; popolitość godzi się z kłamstwem sprzyjającym jej namiętnościom i zwyczajom; tutaj kłamać to znaczy działać na rzecz społeczeństwa, mówić prawdę, to podkopywać Państwo. [...] Byłoby niestosownością wspominać potop, gdyby katastrofa ta miała miejsce za panowania rosyjskiego cara.

Jedynym darem umysłu, jaki się tutaj ceni — jest takt. Wystawcie sobie cały naród, ugięty pod jarzmem tej cnoty salonu. Wyobraźcie sobie całe społeczeństwo, ostrożne jak dyplomata u progu kariery; nabierzecie pojęcia o przyjemnościach konwersacji w Rosji. Skoro dworska atmosfera ciąży nam nawet na dworze, o ileż nieznośniejsza musi się zdawać, gdy wnika w najtajniejsze zakątki naszego wnętrza.

Rosja jest krajem niemych; jakiś magik zmienił 60 milionów ludzi w automaty, czekające laseczki innego czarodzieja by zbudzić się i żyć. Kraj ten robi na mnie wrażenie pałacu Śpiącej Królowej: jest błyszczący, pozłacany, olśniewający; nie brak tu niczego... prócz życia, czyli wolności.

Car niewątpliwie cierpi na skutek tego stanu rzeczy. Kto urodził się do rozkazywania na pewno lubi posłuszeństwo; lecz posłuszeństwo człowieka jest więcej warte niż maszyny: kłamstwo leży tak blisko służalstwa, że władca otoczony pochlebami nie dowie się nigdy o rzeczach, jakie próbuje się przed nim ukryć; jest więc skazany na powątpiewanie w każde słowo, na podejrzenie

wość wobec każdego. To los absolutnego pana; może próbować dobroci i ludzkiego postępowania, bieg rzeczy wbrew woli uczyni go bezwzględny; znajduje się na miejscu despoty, musi więc wziąć na siebie los jego, dzielić jego uczucia lub przynajmniej grać jego rolę.

Choroba ukrywania wszystkiego ma tutaj szerszy zasięg, niż się przypuszcza: policja rosyjska, tak skora gdy chodzi o dręczenie ludzi, jest opieszła w dopomaganiu im, kiedy zwróca się o wyjaśnienie jakiegoś podejrzanego faktu.

Oto przykład tej inercji z wyrachowania: podczas ostatniego karnawału pewna moja znajoma dała swej pokojówce wychodne w niedzielę zapustną; noc zapadła, dziewczyna nie wraca. Następnego dnia rano zaniepokojona dama zasięga wiadomości na policji.

Odpowiadają, że ubiegłej nocy nic w Petersburgu nie zaszło i zaginiona pokojówka, cała i zdrowa, musi się wkrótce odnaleźć.

Mija dzień złudnego spokoju; nazajutrz krewny dziewczyny, młodzieniec dosyć zorientowany w sposobie działania miejscowej policji, wpada na myśl udania się do prosektorium, gdzie wpuszcza go jeden z przyjaciół. Ledwo wszedł rozpoznaje zwłoki swej kuzynki, przygotowane do sekcji dla studentów.

Jak przystało na Rosjanina opanowuje się na tyle, by ukryć wzburzenie.

— Czyje to zwłoki?

— Nie wiadomo, jakiej dziewczyny, którą przedwczorajszej nocy znaleziono martwą na takiej a takiej ulicy, przypuszczalnie próbowała się bronić i została uduszona przez mężczyzn usiłujących ją zgwałcić.

— Jacy to ludzie?

— Nie wiemy; nie ma na ten temat żadnych danych prócz domysłów; brak dowodów.

— Jak zdobyliście te zwłoki?

— Sprzedała je nam po kryjomu policja, więc proszę nikomu o tym nie opowiadać! — nieunikniony refren, stanowiący rodzaj odruchowego wtretu po każdym zdaniu wypowiedzianym przez Rosjanina lub zaaklimatyzowanego cudzoziemca. (R. II, str. 82-88).

Przywróćcie na dwadzieścia cztery godziny wolność prasy w Rosji, a dowiedziecie się rzeczy, które napełnią was zgrozą. Milczenie jest niezbędnym składnikiem opresji. Niedyskrecja pod rządami absolutnymi równa się zbrodni stanu.

Jeśli wśród Rosjan spotyka się lepszych dyplomatów niż pośród bardziej cywilizowanych narodów to dlatego, że nasze gazety

uprzedzają ich o wszystkim co dzieje się u nas; że zamiast skryć przed nimi nasze niedostatki, z zapałem ukazujemy im je co rano, podczas gdy ich bizantyjska polityka przeciwnie, tocząc się w cieniu, starannie kryje przed nami wszystko co myślą, robią i czego lękają się oni. My krocymy w świetle dnia, oni posuwają się po kryjomu: gra nie jest równa. Niewiedza w jakiej nas zostawiają zaślepia nas; ich nasza otwartość oświeca; my hołdujemy słabości gadulstwa, oni czerpią z sekretu siłę; oto główna przyczyna ich przewag. (R. II, str. 111-2).

Nie można tutaj niczego obejrzeć bez ceremonii i przygotowań. Udać się dokądkolwiek tylko dlatego, że macie na to ochotę jest niemożliwością. Gdy trzeba na cztery dni z góry przewidzieć, dokąd zanieśe was fantazja, to tyle co nie mieć fantazji: do tego dochodzi się mieszkając tutaj. Najeżona formalnościami gościnność rosyjska zatruwa życie najbardziej nawet faworyzowanemu cudzoziemcom; stanowi godziwy pretekst dla skrzepowania swobody ruchów podróżnika i ograniczenia zakresu jego obserwacji. Świadczy się wam rzekome honory domu i wskutek tej natarczywej uprzejmości zwiedzający może zwiedzać i oglądać jedynie z przewodnikiem; ponieważ nigdy nie jest sam, trudniej mu sądzić samodzielnie, i o to właśnie chodzi. By wjechać do Rosji należy wraz z paszportem zostawić na granicy własne zdanie. Pragniecie zobaczyć osobliwości jakiegoś pałacu? Przydzielą wam szambelana, który was oprowadzi z góry do dołu i obecnością swą zmusi do oglądania każdego szczegółu z osobna czyli do patrzenia z jego punktu widzenia i podziwiania wszystkiego bez wyboru. Chcecie rzucić okiem na obóz wojskowy, który interesuje was jedynie ze względu na wygląd koszar, malowniczość mundurów, piękno koni, ubiór żołnierzy pod namiotami? — będzie wam towarzyszył oficer, niekiedy generał; szpital? — oprowadzi was naczelnny lekarz; twierdza? — pokaże ją wam, a raczej uprzejmie ukryje gubernator; szkoła, jakaś instytucja publiczna? — dyrektor czy inspektor będzie uprzedzony o waszej wizycie, zastaniecie go pod bronią, przygotowanego na wszystkie pytania; budowla? — architekt każe wam zwiedzić wszystkie zakamarki i od siebie objaśni wszystko o co nie pytacie, by uniknąć poinformowania o tym, co by was interesowało. Na skutek tego orientального ceremoniału, nie chcąc tracić czasu na ustawiczne prośby o pozwolenie rezygnujecie z obejrzenia mnóstwa rzeczy: pierwsza korzyść!... A jeśli wasza ciekawość jest tak nieposkromiona, że naprzykrzacie się nadal, będziecie obserwowani tak baczenie w czasie waszych eksploracji, że nie dadzą wam one

niczego; będziecie jedynie mogli rozmawiać oficjalnie z kierownikami instytucji zwanych publicznymi i nie zostawi wam się innej swobody jak tylko wyrażenia odpowiedniej władzy podziwu, dyktowanego przez uprzejmość, ostrożność i wdzięczność, na którą Rosjanie są nader łąsi. Nie odmawia się wam niczego, ale towarzyszy wszędzie: uprzejmość jest tu środkiem nadzoru. Oto jak się was tyranizuje pod pozorem świadczenia grzeczności. Taki jest los podróżników uprzywilejowanych. Podróżni bez protekcji nie widzą niczego. Kraj ten jest tak urządzony, że bez bezpośredniej interwencji przedstawicieli władz żaden cudzoziemiec nie może poruszać się po nim wygodnie ani nawet bezpiecznie. Poznacie w tym, jak sędzę, zwyczaje i obyczaje Wschodu przebrane za europejską ogładę... Ten sojusz Wschodu i Zachodu, którego przejawy widać na każdym kroku, jest tym co charakteryzuje imperium rosyjskie.

Cywilizacja połowiczna posługuje się formalnościami; cywilizacja dojrzała je odrzuca; tak jak prawdziwa uprzejmość wyklucza konwenanse.

Rosjanie wciąż jeszcze wierzą w skuteczność kłamstwa i iluzja ta zdumiewa mnie u ludzi, którzy mają w nim tyle praktyki. Nie znaczy to, że umysłem ich brak finezji i daru rozumienia: ale w kraju, gdzie „rządzający” nie pojęli jeszcze korzyści wolności nawet dla siebie samych, rządzonych muszą odstraszać bezpośrednio następstwa szczerości. Jest się zmuszonym powtarzać raz po raz: tutaj wszyscy, lud i panowie, przypominają Greków z Bizancjum. [...].

W Rosji nad wszystkim unosi się tajemnica: tajemnica urzędowa, polityczna, społeczna; dyskrecja potrzebna i niepotrzebna, milczenie zbędne dla zapewnienia niezbędnego; takie są nieuniknione skutki pierwotnego charakteru tych ludzi, utwierdzonego działaniem systemu ich rządów. Każdy podróżny jest wścibski; zawsze nadmiernie ciekawego cudzoziemca należy mieć w możliwie najuprzejmniejszy sposób na oku, by nie zobaczył rzeczy takimi jakie są, co byłoby największą niestosownością. Krótko mówiąc Rosjanie są przebranymi Chińczykami; nie przyznają otwarcie swojej awersji do przyjeżdżających z daleka zwiedzających, lecz gdyby — jak prawdziwi Chińczycy — mieli odwagę wystawić się na zarzut barbarzyństwa, wzbroniliby nam dostępu do Petersburga tak samo jak zamknięto przed nami Pekin, i wpuszczaliby jedynie rękodzielników, zadbawszy o to by raz przyjętemu robotnikowi nie pozwolić więcej na powrót do kraju. Widzicie tedy dlaczego ta nadmiernie wychwalana gościnność rosyjska krępuje mnie raczej niż pochlebia czy wzrusza; pod pretekstem opieki zakuwa się mnie w łańcuchy; a z wszelkich rodzajów przykrości najbardziej nieznośną wydaje mi się ta, na którą nie

mam prawa się skarżyć. Wdzięczność moja za zabiegi jakich tu jestem przedmiotem przypomina wdzięczność żołnierza siłą wcielonego do armii: ja, człowiek przede wszystkim niezależny czyli podróżnik, czuję się wprzęgany w jarzmo: nieustannie ktoś usiłuje tresować me myśli... Tutaj umieją tylko musztrować; umysły maszerują jak żołnierze; co wieczór wracając do domu obmacuję się, żeby stwierdzić jaki noszę uniform, lustruję swe myśli by zbadać ich range, bowiem w tym kraju myśl segreguje się według osób; na takim a takim stopniu ma się lub finguje taki a taki pogląd, a im wyżej się awansuje tym mniej się myśli, czyli tym mniej ma się odwagę powiedzieć. (R. II, str. 151-4).

Lecz cóż, na Boga, mają dać te wszystkie zabiegi? Jakąż sensowną rację przypisać takiej ilości intrygi? Jaki obowiązek, jaka nagroda są w stanie skłonić twarz ludzką do znoszenia maski tak długo?

Czy wytoczenie tyłu baterii ma za jedyny cel obronę autentycznego pełnoprawnego mocarstwa? [...] Mocarstwu takiemu to niepotrzebne, prawda broni się sama. Czy chodzi tylko o podtrzymanie nędznych uroszczeń próżności? Być może. Lecz tyle wysiłku dla osiągnięcia tak mizernego celu nie licowałoby z tymi pełnymi powagi ludźmi, którzy go podejmują; przypisują im zamysł głębszy; dostrzegam cel większy i lepiej tłumaczący te cuda kamuflażu i cierpliwości.

Nieokiełznana, bezmierna ambicja, jaka potrafi zakiełkować jedynie w duszy uciskanych i czerpać pokarm z nieszczęść całego społeczeństwa trawi serce narodu rosyjskiego. Ten naród, zaborczy ze swej istoty, zachłanny pod wpływem wyrzeczeń, poniżającą uległością u siebie płaci z góry za nadzieję sprawowania tyranii u innych; chwała i bogactwa, do jakich aspiruje, dają mu zapomnienie hańby, jaka go okrywa; by obmyć się z świętokradkiej ofiary wszelkiej wolności publicznej i prywatnej ten niewolnik na kolanach marzy o panowaniu nad światem.

W osobie cara Mikołaja wielbi się nie człowieka, lecz ambitnego pana jeszcze ambitniejszego niż on narodu. Namiętności Rosjan są skrojone na miarę ludów antycznych; wszystko u nich przypomina Stary Testament; ich marzenia i męczarnie są olbrzymie jak ich imperium.

Tam nic nie ma granic: cierpienia ani nagrody, ofiary ani nadzieje; potęga ich może stać się ogromna, lecz okupią to ceną, jaką azjatyckie narody płacą za stałość systemu swych rządów: ceną szczęścia.

Rosja widzi w Europie łup, który prędzej czy później przypadnie jej na skutek naszej wewnętrznej niezgody: podsyca u nas anarchię spodziewając się wykorzystać miły jej rozkład, bo z jej punktu widzenia korzystny: to nowa historia Polski w powiększeniu. Paryż od wielu lat czytuje dzienniki rewolucyjne, rewolucyjne pod każdym względem, opłacane przez Rosję. „Europa — powiada się w Petersburgu — obrała drogę, którą szła Polska; spala się w czczym liberalizmie, my zaś pozostajemy potężni właśnie dlatego, że nie jesteśmy wolni; znośmy jarzmo cierpliwie, za naszą hańbę każemy zapłacić innym”.

Plan, który przedstawiam może się nieuważnym oczom wydać chimera; ludzie orientujący się w biegu rzeczy w Europie i w sekretach rządowych ostatnich lat dwudziestu uznają jego prawdziwość. (L. str. 368 n.).

Ludzie nie znają tu ani prawdziwych rozkoszy towarzyskich umysłów wykształconych, ani absolutnej, otwartej wolności dzikich, ani swobody działania półdzikich czyli barbarzyńców; widzą tylko jedno zadośćuczynienie za nieszczęście urodzenia się w tym reżymie — marzenia o chwale i nadzieję dominacji: do namiętności tej powracam za każdym razem, gdy staram się zanalizować życie wewnętrzne mieszkańców Rosji. Rosjanin myśli i żyje jak żołnierz. Jak żołnierz-zdobywca.

Prawdziwy żołnierz w żadnym kraju nie jest obywatelem; tutaj jest nim mniej niż gdziekolwiek; jest dożywotnim więźniem, skazanym na dozоровanie więźniów. (C. str. 129 n.).

Nie ma narodu trudniejszego do scharakteryzowania.

Bez średniowiecza, bez starożytnych pamiątek, bez katolicyzmu, bez tradycji rycerskiej, bez szacunku dla własnego słowa, wciąż bizantyjscy Grecy, ogładzeni konwenansem jak Chińczycy, nieokrzesani czy choćby szorstcy jak Kałmucy, brudni jak Lapończycy, piękni jak aniołowie, ciemni jak dzicy (pomijam kobiety i paru dyplomatów), chytrzy jak Żydzi, intryganci jak wyzwoleńcy, opanowani i godni w ruchach jak ludzie Wschodu; okrutni w uczuciach jak barbarzyńcy, sarkastyczni i butni z rozpacy, podwójnie szyderczy — z usposobienia i z poczucia niższości, beztroscy, lecz tylko na pozór: Rosjanie nadają się w istocie do spraw poważnych; wszyscy wystarczająco zdolni, by sobie wyrobić wyrafinowany takt, lecz żaden nie dość wielkoduszny, by wznieść się nad wyrachowanie; brzydziła mnie ta cecha, niezbed-

na by u nich żyć. Nieustannie mający się na bacności — wydają mi się najbardziej godnymi współczucia ludźmi na świecie. (L. str. 367 n.).

Nie mam za złe Rosjanom, że są tym czym są; co im wyrzucam, to usiłowanie wydania się tym, czym jesteśmy my. Są jeszcze nieogładzeni; stan ten pozwala przynajmniej żywić nadzieję, ale widzę ich nieustannie trawionych żądzą imitowania innych nacji, a naśladową je sposobem małp, drwiąc z tego co kopiują. Mówię więc sobie: oto ludzie straceni dla stanu dzikości, a niedorośli do cywilizacji, i przychodzi mi na myśl straszne powiedzenie Woltera czy Diderota, zapomniane we Francji: „Rosjanie zgnili zanim dojrżeli”. (L. str. 110).

Największą przyjemnością tych ludzi jest pijaństwo, innymi słowy zapomnienie. Biedacy! Muszą śnić, aby być szczęśliwymi; lecz co dowodzi pogodnego usposobienia Rosjan to fakt, że kiedy mężczy się upiją, zamiast tłuc się i zabijać zwyczajem naszych pijaków, prymitywni ci ludzie wzruszają się; płaczą i całują się: ciekawy, godny uwagi naród!...

Byłoby tak przyjemnie uszczęśliwić go. Ale to trudne, jeśli nie niemożliwe zadanie. Znajdźcież mi sposób zaspokojenia niejasnych pragnień młodego olbrzyma, leniwego, ciemnego, ambitnego i tak zakutego w dyby, że nie jest w stanie poruszyć ręką ni nogą! Nie potrafiłem się nigdy wzruszyć losem ludu w tym kraju nie odczuwając równocześnie współczucia dla wszechpotężnego człowieka, który nim rządzi. (L. str. 348).

W Rosji najbardziej absolutna wola nie wystarcza, by czynić dobro. Przyjaciele ludzkości muszą tu walczyć nie z tyranem, lecz z tyranją. Byłoby niesprawiedliwością oskarżać cesarza o nieszczęścia tego cesarstwa i wady tego systemu rządów: siły jednego człowieka nie dorastają do zadań stojących przed władcą, który zapragnąłby od razu rządzić po ludzku narodem nieludzkim.

Trzeba pojechać do Rosji, z bliska zobaczyć co się tam dzieje, by pojąć czego nie może czynić człowiek, który wszystko może, zwłaszcza gdy tym co chce czynić jest dobro. (L. str. 363).

Lud rosyjski [...] ma wycucie sztuki, co równa się stwierdzeniu, że natura dała tym ludziom potrzebę wolności; zamiast tego ich władcy czynią z nich narzędzia ucisku. Kto się choć trochę wybije nad tłum zyskuje tym prawo, więcej, podejmuje zobowiązanie pomiatania innymi, którym winien przekazywać ciosy, jakie sam odbiera z góry; innymi słowy zło, które wyrządza ma wynagradzać mu to, którego doznaje. W ten sposób niesprawiedliwość zstępuje z pietra na piętro, aż do fundamentów tego nieszczęsnego społeczeństwa, utrzymującego się tylko drogą gwałtu, ale gwałtu takiego rodzaju, że zmusza niewolnika do samooszustwa i składania dzięków tyranowi; i z bezliku bezprawnych poczynań, składających się na każde pojedyncze istnienie powstaje to, co nazywa się tutaj porządkiem publicznym, czyli posępny spokój, nieporuszonosc zatrważająca, bo trącają grobem; Rosjanie bardzo są dumni z tego spokoju. [...].

Gdyby ktoś potrafił dowieść mi konieczności bezprawia i gwałtu dla osiągnięcia wielkich celów politycznych, wysnułbym stąd wniosek, że bynajmniej nie stanowiąc cnoty obywatelskiej za jaką dotąd uchodzi patriotyzm jest zbrodnią przeciw człowieczeństwu.

Rosjanie starają się usprawiedliwić sami przed sobą myślą, że system rządów znoszony przez nich sprzyja ich ambitnym nadziejom; lecz wszelki cel, jaki takimi tylko środkami da się osiągnąć jest zły. [...] Pragniecie panować nad ziemią na modłę dawnych społeczeństw: drogą podboju; chcecie siłą zagarnąć kraje wam użyteczne i stamtąd uciskać resztę świata terrorem. To powiększenie potęgi, o jakim śnicie nie jest roztropne, nie jest moralne; i jeśli Bóg wam na nie zezwoli, to na nieszczęście dla świata. (L. str. 268 n.).



Sądzę, że ze wszystkich krajów na świecie Rosja jest tym, gdzie ludzie mają najmniej prawdziwego szczęścia. I my u siebie nie bywamy szczęśliwi, lecz mamy poczucie, że szczęście jest od nas zależne; u Rosjan to niemożliwe. Wystawcie sobie namietności republikańskie (ponieważ, powtarzam, pod władzą rosyjskiego cara panuje fikcyjna równość), kipiące w ciszy despotyzmu; jest to mieszanek przerażająca, zwłaszcza przez wzgląd na przyszłość, jaką wróży światu. Rosja jest kotłem wrzącej wody, mocno zamkniętym, lecz ustawionym na coraz gorętszym ogniu: obawiam się wybuchu. [...] (C. str. 128).



Nigdy dość często powtarzać, że ich rewolucja tym będzie

straszniejsza, że dokona się w imię religii: rosyjska polityka doprowadziła do stopienia kościoła z państwem, do zmieszania nieba z ziemią: człowiek, który widzi Boga w swym panu, jedynie z łaski cesarza spodziewa się raj.

Wypadki w Wołodzie trwają [mowa o rewolcie chłopskiej, toczącej się w rzeczywistości w okolicach Symbirsk. —M.B.]; przypisuje się te okropności prowokacjom polskich emisariuszy: sugestia, przypominająca wilczą sprawiedliwość u La Fontaine'a. Te okrucieństwa, te zbrodnie po obu stronach są przygotowaniami do konwulsji przewrotu i wystarczają, aby przewidzieć, jaki będzie jego charakter. Ale w narodzie rządzonym jak ten namietności wrą długo zanim wybuchną; choć niebezpieczeństwo wzrasta z każdą godziną, zło się przeciąga, kryzys odwleka; może nawet wnukowie nasi nie ujrzą jeszcze wybuchu, który dziś już możemy uznać za nieunikniony, choć nie umiemy przewidzieć terminu. (R. II. str. 204).

[Refleksje, związane z relacjami o rewolcie chłopskiej]...

... Rosjanie mordują się wzajemnie nie zmieniając swego charakteru; spełniają tylko obowiązek. Oddziaływanie mechanizmów społecznych na ten posłuszny naród we wszystkich jego klasach jest tak silne, bezwiednie wpojone nawyki tak dominują charakter, że najokrutniejsze akty zemsty wydają się tu podlegać jeszcze pewnej dyscyplinie. Zaplanowanych zabójstw dokonuje się systematycznie, ludzie uśmiercają ludzi po żołniersku, obrzędowo, bez złości, bez emocji, bez słów, ze spokojem straszniejszym niż szal nienawiści. Rzucają się na siebie, przewracają, miażdżą i idą po trupach jak części maszyny, obracające się regularnie na osi. Ta niewzruszonosc pośród najstraszniejszych czynów, ta potworna bezwzględność w zamiarach, ten chłód w wykonaniu, ta milcząca zaciekłość, ten niemy fanatyzm, to — jeśli tak można się wyrazić — bezgrzeszność zbrodni; w tym zadziwiającym kraju najbardziej niesłychanymi ekscesami kieruje jakiś sprzeczny z naturą ład; tyrania i rewolta idą tu ramię w ramię, poddając sobie wzajemnie krok.

Nawet krajobraz tutaj, monotonia pól, narzucają symetrię: zupełny brak odmiany w jednostajnym i pustym najczęściej terenie, brak jakiegokolwiek malowniczego akcentu na bezbrzeżnych równinach gdzie jedno i to samo osiedle zdaje się prześladować podróżnego i podążać za nim jak zmora z krańca na kraniec imperium; czego zaś nie stworzył w tym kraju Bóg uzupełnia niezakończona jednolitość politycznego i społecznego bytu jego mieszkańców.

Ponieważ wszystko jest jednakowe, bezkres obszaru nie jest przeszkodą, by wszystko w Rosji działo się z czarodziejską punktualnością i równocześnie. Gdyby powiodło się dokonać w narodzie rosyjskim prawdziwej rewolucji, rzeź byłaby tak regularna jak manewry pułkiem. Ujrano by wieś zamienioną w koszary i zbrojnych wykonawców systematycznego mordy opuszczających chaty tyraliera, w ordynku; od Smoleńska po Irkuck Rosjanie przystąpiliby do rabunku tak samo, jak maszerują w paradzie na placu przed petersburskim Pałacem Zimowym. Jednorodność taka stwarza pomiędzy naturalnymi dyspozycjami narodu i jego społecznymi nawykami harmonię, która może dać rezultaty niebywałe zarówno w dobrym jak w złym.

Przyszłość świata jest ciemna; lecz jedno jest pewne, że ludy ujrzą niezwykle widowisko, które odegra przed nimi ten naród naznaczony przez los. (R. II. str. 109 n.).



[Zakończenie książki:]

Trzeba pomieszkać w tej samotności bez spokoju, w tym więzieniu bez wywczasu zwanym Rosją, aby móc w pełni odczuć wolność jaką cieszy się człowiek we wszystkich pozostałych krajach Europy, niezależnie od formy ich rządów. [...].

Gdy syn wasz będzie niekontent we Francji, użycie mojej recepty, powiedzcie mu: „Jedź do Rosji”. Użyteczna to podróż dla każdego cudzoziemca; ktokolwiek pozna ów kraj, rad będzie mieszkać gdziekolwiek indziej. Zawsze korzystne jest wiedzieć, że istnieje spoczęcie, w którym żadne szczęście nie jest możliwe, bowiem z racji prawa swojej natury człowiek nie może być szczęśliwy bez wolności. (L. str. 377).



Warto na zakończenie poświęcić kilka słów reakcjom współczesnych na książkę de Custine'a (szczegółowo zagadnienie to omówione zostało w pracy Michel'a Cadot, *La Russie dans la vie intellectuelle française (1839-1850)*, Fayard, 1967). Jak markiz trafnie przewidział, książka została w Rosji zakazana i nie wolno było o niej wspominać. Za granicą ukazały się jednak trzy broszurki, usiłujące książkę i jej autora zdyskredytować. Wszystkie trzy zostały napisane przez ludzi tak czy inaczej powiązanych z rosyjską policją. Najostrzejszy atak wyszedł spod pióra N. I. Grecza, autora prac o gramatyce rosyjskiej i dziennikarza; broszura ukazała się po niemiecku w Heidelbergu i po francusku

w Brukseli w styczniu 1844 (*Examen de l'ouvrage de M. le marquis de Custine intitulé „La Russie en 1839”*), i napisana była w tonie: „stek kłamstw, nieścisłości, błędów, sprzeczności i oszczerstw”. Jest rzeczą interesującą, że Grecz — prototyp warszawskich Kolczyńskich i Fillerów — nie pisał w tym wypadku na bezpośrednie zlecenie Trzeciego Oddziału, tylko fillował na własną rękę spodziewając się sowitej nagrody. Gdy ta nie nadchodziła, zaczął się dość głośno na prawo i lewo uskarżać, co ściągnęło nań reprimendę z Petersburga. Wysoki urzędnik policji tłumaczył mu jak dziecku: „Wyszukiwanie tego rodzaju autorów [którzy odpieraliby wypowiedzi antyrosyjskie — M.B.] i kierowanie nimi nie licowałoby z godnością rządu, aczkolwiek ten skłonny jest zwracać wdzięczną uwagę na pisarzy, którzy z własnej inicjatywy popierają jego interesy; nie może on jednak i nie powinien sam angażować się w tę sprawę, gdyż sprawiałby wrażenie, iż potrzebni mu są obrońcy” (por. M. Lemke, *Nikołajewskie żandarmy*, St. Petersburg, 1909, str. 147).

Nieoficjalne reakcje rosyjskie były niekiedy odmienne; Herzen zanotował w swym dzienniku: „Są w niej [książce de Custine'a] błędy i sądy powierzchowne, ale jest też prawdziwy talent podróżnika i obserwatora: jego przenikliwy wzrok potrafi chwycić w locie i odgadywać całość na podstawie kilku szczegółów. [...] Ta książka działa na mnie jak tortura, jak kamień, który miażdży mi pierś; nie dostrzegam jej błędów, gdyż podstawa jej ocen jest solidna”.

Zagraniczne recenzje były chłodne; we Francji ukazały się dwie szczególnie jadowite oceny, znów — dziwnym zbiegiem okoliczności — niecałkiem wolne od powiązań rosyjskich. Ostry atak *La Presse* Emila de Girardin zgadzał się z prorosyjską linią tego redaktora — o którym gęsto w archiwach petersburskiej policji, jako o obiecującym obiekcie tajnych subwencji rosyjskich. Miażdżąca krytyka młodego poety J. Chaudes-Aigues w *Revue de Paris* (vol. 24, 1843) wydawała się poza podejrzeniami do czasu, gdy wyszperano następujący fragment raportu hr. Nesselrode (z lipca 1843), ambasadora rosyjskiego w Paryżu: „W następstwie pewnych kroków jakie podjąłem, krytyka książki p. de Custine, którą mi przysłano, powinna ukazać się najpierw w 'Revue de Paris', a następnie w odcinkach lub osobnym dodatku do 'Quotidienne'” (por. *Literaturnoje Nasledstwo*, Nr 31/32, Moskwa, 1937, str. 155).

Nie znaczy to oczywiście, że wszystkie recenzje negatywne były opłacone przez rząd rosyjski; niemniej ten nie siedział z założonymi rękami. Bomba rzucona była bowiem celnie. Wydaje się też, że jej echo jest dziś bardziej ogłuszające, niż wówczas: książka de Custine'a jest w Rosji ponownie wyklęta. Ukazały się dwa rosyjskie tłumaczenia (w wyborze), jedno w 1910, drugie zaraz po rewolucji, ale oba znikły z powierzchni ziemi (podobno istnieje „wydanie” samizdatowe). De Custine jest w Związku Sowieckim tak dalece nieobecny, że redakcja *literackiego pisma Nowa* (Nr 12, 1975) — w którym Jarosław Iwaszkiewicz drukuje

swe wdzięczne impresje rosyjskie i gdzie wspomina mimochodem naszego markiza — uznała za stosowne dodać informacyjny odnośnik „Autor książki 'Rosja w 1839' — satyrycznego pamfletu na mikołajowską Rosję — przetłumaczonej na wiele języków”. Rzecz w tym, że książka de Custine'a nie jest satyrą. I odnosi się nie tylko do mikołajowskiej Rosji.

M. BRONSKI

Nakładem Krystyny Westfalowej ukazała się — jako wydawnictwo Biblioteki Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Wł. Sikorskiego w Glasgowie —

**STANISŁAWA WESTFALA
TEKA JĘZYKOWA**

Niezbędna dla wszystkich pisarzy i miłośników języka polskiego, obszerna książka licząca 408 stron, jest zbiorem artykułów, rozpraw i esejów wybitnego językoznawcy ogłoszonych w periodykach emigracyjnych w latach 1946-1957.

Dzieło przygotował do druku Dr Józef Trypućko, profesor slawistyki na Uniwersytecie w Uppsali (Szwecja).

Książka jest do nabycia:

**BIBLIOTEKA INSTYTUTU POLSKIEGO
I MUZEUM IM. GEN. W. SIKORSKIEGO
42, CECIL STREET, GLASGOW, G 12 8RJ.**

Czeki należy wystawiać na Dr LEON KOCZY.

Cena £4.90 opakowanie i przesyłka w Wielkiej Brytanii 50p.

(do Europy £1.50 lub jako druk 30p.).

Cena w USA \$10 opakowanie i przesyłka \$3
(lub jako druk 60 centów).

W najbliższym czasie ukaze się książka

**JERZEGO PILACIŃSKIEGO
NARODOWE SIŁY ZBROJNE**

Kulisy walki podziemnej 1939-1946

z przedmową Jędrzeja Giertycha

Tematem książki są dzieje podziemnych organizacji wojskowych stworzonych przez ruch narodowy do walki z hitlerowskim najeźdźcą.

Cena książki w handlu księgarskim będzie wynosić £3.00 (\$7,50).

Cena w przedpłacie £2.00 (\$5,00) łącznie z przesyłką.

Zamówienia i wpłaty należy przesyłać pod adresy:

**W ANGLII: JĘDRZEJ GIERTYCH, 175 CARLINGFORD RD.,
LONDON, N15 3ET. — ENGLAND**

**W STANACH ZJEDN.: JERZY PILACIŃSKI, BOX A-4,
CEDAR STR. HOLLIDAYSBURG, PA. 16648.**

Archiwum polityczne

Afryka: podzielona czy zjednoczona?

Wycofanie się Portugalii z Angoli zaktualizowało w Afryce trudne bardzo zagadnienie nieuzależniania się od wielkich mocarstw. Jednym z kamieni węgielnych, na którym opiera się Organizacja Jedności Afryki (O.J.A.) jest zasada niesprzymierzenia się z wielkimi mocarstwami, tzw. *nonalignment*. Dotąd przestrzegana, została wystawiona obecnie na próbę.

Styczeniowy zjazd szefów państw afrykańskich miał zdecydować czy uznać rząd w Angoli, powstały dzięki poparciu Rosji, za prawowity, czy też domaga się wycofania obcych interwencji i pozostawienia Angoli własnemu losowi, ewentualnie udzielenia jej pomocy przez samą tylko Afrykę. Konkluzja tej konferencji podzieliła Afrykę na dwa przeciwne obozy. Nie chcąc jednak publicznie stwierdzać istnienia podziału czy niezgody, ostatecznej decyzji nie powzięto. Postanowiono sprawę odroczyć i obserwować dalszy bieg wydarzeń. Powstaje pytanie jak głęboko sięga podział, czy jest on definitywny czy przejściowy; czy jedność Afryki jest w ogóle czymś realnym.

Gdy w maju 1963 roku odbywała się z udziałem 32 państw konferencja w Addis Abebie, mająca za zadanie stwierdzić czy jest możliwe stworzenie ogólnoafrykańskiej instytucji w imię kontynentalnej jedności, Afryka była głęboko podzielona. A jednak po kilkudniowych naradach zdecydowano taką instytucję utworzyć. Zapanowały radość i entuzjazm, padło dużo wielkich słów, z których jedno wynikało jasno, że poszczególni politycy afrykańscy pojmowali bardzo różnie cel i środki działania tej nowej organizacji. Ale jednak ona powstała i w ciągu roku stworzyła permanentny sekretariat. Jeden z prezydentów afrykańskich powiedział, że nie ma się z czego tak bardzo cieszyć bo „zjednoczyliśmy tylko ignorancję, biedę i choroby afrykańskie”. To przecucie trudności jakie przyszłość kryje dla Afryki okazało się uzasadnione. Słowa te zdradzają także świadomość małego jeszcze doświadczenia politycznego.

Już na pierwszym dorocznym zjeździe O.J.A. w Kairze w 1964 roku, doszło do bardzo ostrego starcia pomiędzy Nkrumah i Nyerere. Było to w pewnej mierze starciem się osobowości, ale głównie chodziło o różnice zdań co do organizowania pomocy dla ruchów wyzwoleniczych we Wschodniej Afryce. Dyktatorski Nkrumah cały nacisk kładł na stworzenie jednej siły zbrojnej ogólnofrykańskiej z jednym sztabem i dowództwem. Razem ze swoim przyjacielem Nasserem widział Kair jako jego siedzibę. Nyerere natomiast uważał za racjonalniejsze organizowanie współpracy w ramach regionalnych. Nie chciał zagadnień Wschodniej Afryki oddawać pod kierownictwo mglistego Pan-afrykanizmu. Nie chciał pozwolić odebrać sobie bezpośredniej kontroli, kierownictwa i także odpowiedzialności za ruchy wolnościowe, mające swoją bazę w Daar-es-Salam. Także arabskie ambicje przewodzenia w ruchu Pan-afrykańskim budziły zastrzeżenia wśród państw czarnej Afryki. Nadzieje na pomoce finansowe ze strony O.J.A. także zawiodły. Sama organizacja była tak dalece pozbawiona środków, że pod znakiem zapytania stało utrzymanie Sekretariatu Generalnego. Państwa członkowskie nie widząc praktycznej użyteczności nie wpłacały zadeklarowanych udziałów.

W tych warunkach O.J.A. straciła na popularność i gdy w 1965 roku zamierzano w Addis Abebie pobudzić opinię publiczną i przekonać o doniosłości ogólnofrykańskiej współpracy, zwrócono się do mnie o wygłoszenie odpowiedniego przemówienia w telewizji. Odpowiedziałem, że należałoby dać pierwszeństwo osobom pochodzącym z krajów afrykańskich. Polityków i dyplomatów było wtedy niezmiernie dużo w Addis Abebie. Odpowiedziano mi, że wszyscy do których się zwrócono odmówili, gdyż w istniejącej sytuacji politycznej nikt nie chce się angażować na rzecz instytucji w ich mniemaniu chwiejącej się. Skończyło się więc na tym, że ważność tej organizacji omówili w telewizji Polak i czarny dziennikarz z USA.

Europejczycy mówiąc o Afryce mają skłonność ogarniać tym pojęciem jakąś całość mniej lub więcej jednolitą. W rzeczywistości Afryka, tworząca geograficznie zwarty obszar, wewnątrz jest bardzo zróżnicowana. Gdy wykładając na uniwersytecie w Addis Abebie mówiłem o „problemach Etiopii”, czy „trudnościach Etiopii”, studenci często żywo reagowali twierdząc, że nie powinno się mówić o Etiopii jako takiej, gdyż w rzeczywistości jest kilka różnych Etiopii. Nawet więc jeden kraj afrykański nie przedstawia tej jednolitości do jakiej jesteśmy przyzwyczajeni w Europie utworzonej z narodów. Nie ma więc dla Afryki jednej recepty czy jednej diagnozy. Wszędzie są ludy o tradycjach różnych: chrześcijańskich i muzułmańskich, o skłonnościach do rządów autokratycznych i zupełnie odwrotnie do demokratycznego rządu się, ludy o zmyśle ekonomicznym i ludy pozbawione go, ludy struktur społeczno-gospodarczych feudalnych i w przeciwieństwie do tego wspólnot.

Na jednej z licznych konferencji afrykańskich w Addis Abe-

bie, Nigeria wystąpiła z wnioskiem ażeby utworzyć komisję, która by przygotowała projekt ujednoczenia prawa rodzinnego. Przedstawiciel tego kraju argumentował, że jest nie sposób stworzyć jednolite społeczeństwo gdy część ludności żyje w poligamii, a część w monogamii. Propozycja ta natychmiast wywołała ostry sprzeciw. Powiedziano że nie należy tykać tego drażliwego problemu, gdyż Afryka jest i tak już dostatecznie podzielona, a jeśli się zacznie i to poruszać — podzieli się i skłóci jeszcze bardziej. Jak ważną rolę odgrywa struktura rodzinna — mówił mi pewien minister Sudanu — najlepiej dowodzi fakt że demokratyzacja tego kraju nie jest możliwa przy obecnej tradycyjnej strukturze rodziny, opartej na autokratycznej władzy i niemal niewolnictwie kobiet — jak wyraził się dosłownie.

Jeżeli istnieją takie głębokie różnice, to jak wytłumaczyć ruch Pan-afrykański? Czy to jest sztuczny wymysł ambitnych przywódców, czy też ma on jakieś podstawy organiczne?

Hasło ruchu Pan-afrykańskiego nabrało siły krótko po I-szej Wojnie Światowej, kiedy rodziły się ambicje emancypacyjne rasy czarnej. Ale równocześnie rozwijały się także aspiracje wolnościowe w kolonialnych krajach azjatyckich, a nie mówiło się o Pan-azjatyckim ruchu, czy Pan-azjatyckiej solidarności i nigdy nie doszło do powstania jakiejś wspólnej formacji umysłowej Pan-azjatyckiej. Ruch Pan-afrykański ma widocznie jakieś głębsze podłoże.

Pierwsi jego propagatorzy ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej obejmowali tym pojęciem wyzwolenie rasy czarnej i zbudowanie dla niej w Afryce niezależnej państwowości. Zapalili tą ideą wielkich przywódców całej Afryki w ich walce o wyzwolenie spod panowania białych. Idea ta dawała im siłę. Wszyscy murzyńscy przywódcy ją wyznawali. Mówiło się, że Afryka jest jedna i cała, a tylko kolonialni najeźdźcy podzielili ją w kawałki odpowiadające ich wpływom i interesom, ale podział taki nie ma uzasadnienia ani w przeszłości ani w dążeniach przyszłościowych czarnych. Nkrumah w samej konstytucji jaką wypracował dla Ghany — po usunięciu pierwszej — brytyjsko-inspirowanej — umieścił artykuł deklarujący, że państwo Ghany jest tylko two-rem przejściowym, gdyż Ghana nie stanowi odrębnego narodu i że w chwili dojrzewania świadomości ogólnofrykańskiej, państwo to włączy się do szerszego ogólnofrykańskiego organizmu politycznego. Nyerere zapytany przeze mnie dlaczego zwleka z żądaniem niepodległości dla Tanganiki odpowiedział, że jest w interesie Afryki Wschodniej by wszystkie kraje tego regionu uzyskały niepodległość równocześnie — Kenia i Uganda nie były do niej jeszcze wtedy gotowe. Uważał bowiem za wskazane i możliwe utworzenie większej całości politycznej, w każdym razie z Kenii, Ugandy i Tanganiki. Mówił, że w przeciwnym razie wytworzą się osobiste ambicje i w przyszłości takie połączenie będzie trudniejsze. Nyerere uważał regionalizm za niezbędny szczebel do Pan-afrykanizmu.

Nastroje Pan-afrykańskie były tak silne, że mówiło się iż

Afrykę ominie „przekleństwo nacjonalizmu”, który przyniósł tyle szkody, a może i zgubę Europie. Zdawało się wtedy że ruch Pan-afrykański jest silniejszy od aspiracji nacjonalistycznych. Ja sam też tak myślałem. Życie potoczyło się jednak inaczej. Także w Afryce idea nacjonalizmu stała się w praktyce najsilniejszym motorem życia politycznego. Zapytany przez mnie delegat Libii — reprezentujący ten kraj na konferencji ekonomicznej i zajmujący przodujące stanowisko — czy Libia, w jego pojęciu, jest krajem odrębnym czy też jest częścią wspólnoty arabskiej odpowiedział: „Jesteśmy nacjonalistami, ale nacjonalizm nasz ma dwie płaszczyzny. Pierwsza to naród libijski, druga to szersza wspólnota arabska, z którą łączy nas język i religia”. Trzeciej płaszczyzny — Pan-afrykańskiej wtedy nie wymienił.

Gdy w 1963 roku powstawała O.J.A. podział Afryki sięgał najgłębiej. Istniały wtedy trzy ugrupowania niechętnie, a nawet wrogo do siebie się odnoszące. Najmniej liczna, ale najbardziej dynamiczna, tzw. grupa Casablanca z Nkrumah, Nasserem i Sekuturę propagowała jak najszybsze zjednoczenie polityczne całego kontynentu, była społecznie radykalna. Druga, najliczniejsza, tzw. grupa Monrovia, widziała zjednoczenie Afryki w dalszej perspektywie, społecznie umiarkowana, uznawała przemiany stopniowe zamiast metody rewolucyjnej. Trzecią stanowiła grupa frankofońska podkreślająca swoją odrębność polityczną, kulturalną i gospodarczą.

Według uchwały pierwszego zjazdu przedstawiciele niepodległych państw Afryki, odbytego w Accra w roku 1958, szefowie państw mieli się zjeżdżać na obrady co dwa lata. Drugi taki zjazd odbył się w Addis Abebie w roku 1960, ale trzeci, wyznaczony na rok 1962 w Tangerze, już nie mógł się odbyć, gdyż rządy były tak skłócone, że odmówiły wzięcia udziału w zjeździe w ich mniemaniu bezcelowym. Wtedy to usłyszałem z ust ambasadora Ghany, że trzeba się modlić o dobre zdrowie dla cesarza Etiopii, a gdy zapytałem skąd taka troskliwość powiedział, że on jeden może doprowadzić do zgody. Tak się też stało i powstanie O.J.A. uznano za wielki sukces.

Cesarz Etiopii umiejętnie wykorzystał koniunkturę polityczną dla swojego kraju rdzennie afrykańskiego i odwiecznie niepodległego, ale stojącego na uboczu współzawodniczących ambicji i interesów Afryki arabskiej i Afryki czarnych. Addis Abeba stała się centralą O.J.A. i jej stała siedzibą w wyniku kompromisu w tym współzawodnictwie. Od zarania zdawano sobie sprawę, że dużo trudności czeka tę organizację.

Są trzy główne zasady które łączą kontynent afrykański i wszystkie państwa zobowiązały się je przyjąć i w polityce swojej stosować. Pierwsza to nienaruszalność istniejących granic państwowych, które aczkolwiek powstały z podziału administracyjnego państw kolonialnych, trzeba utrzymać, by uniknąć ogólnego chaosu. Stąd usiłowania tworzenia wspólnego frontu przeciwko wszelkim secesjom i sporom granicznym. Druga zasada opiewa,

że nie ma niepodległości w Afryce dopóki ostatnia piędź ziemi nie jest uwolniona od „białych kolonialistów”. Stąd solidarność w popieraniu walk wyzwolenicznych, wspólny front przeciwko Rodezji i Południowej Afryce. Trzecią zasadą jest niezależność od wielkich mocarstw, a zatem usunięcie wszystkich obcych baz wojskowych i uzgadnianie wspólnej i niezależnej polityki na terenie Narodów Zjednoczonych.

W ramach tych zasad O.J.A. przetrwała dotychczas zwycięsko wszystkie trudności, stała się częścią życia afrykańskiego podobnie jak Liga Narodów — Europy, rodzajem „Narodów Zjednoczonych” kontynentu afrykańskiego. Realizując swoje założenia oddała poważne usługi i ogromnie wzmocniła znaczenie Afryki w polityce światowej. Z tego Afrykanie zdają sobie sprawę i dlatego sądzą, że dzisiaj nikt z nich nie wahałby się stanąć w jej obronie. Można powiedzieć, że przez 12 lat swojego istnienia tak bardzo się z Afryką zrosła, że trudno sobie wyobrazić Afrykę bez niej, pomimo istnienia także silnych nacjonalizmów.

Zagadnienie Angoli postawiło O.J.A. przed koniecznością zdecydowania, której zasadzie daje się pierwszeństwo. Czy ważniejsze jest zapobiec ekspansji Południowej Afryki z pomocą nawet Rosji i ewentualne stworzenie sobie korzystnej bazy wypadowej w Angoli przeciwko temu wrogowi w imię hasła „Cała Afryka dla Afrykanów”; czy też daje się pierwszeństwo zasadzie niewiązania się z obcym mocarstwem, a tym samym odrzuca się pomoc rosyjską, ryzykując wzmocnienie się wpływów Południowej Afryki na Angole.

Wydaje mi się, że w hierarchii wrogów niepodległej Afryki na pierwszym miejscu Afrykanie stawiają Południową Afrykę. Nie tylko z powodu rasizmu, ale jako pozostałość epoki kolonialnej. Nienawiść do kolonializmu jest chyba najsilniejszym odczuciem Afrykanina. Południowa Afryka i Rodezja są wciąż kamieniem obrazy i przypomnieniem czasów uzależnienia od Europejczyków. Nienawiść do tych krajów we władaniu białych, przenosi się w dużej mierze na białych w ogóle, bo ich się obwinia i czyni odpowiedzialnymi za to, że te kraje jeszcze w tej formie istnieją.

Nie znając w pełni historii europejskiej zaoceanicznej ekspansji, nie zdawałem sobie sprawy do jakiego stopnia europejski handel niewolnikami i przymusowy wywóz ich do Ameryki, utkwił w pamięci ludów afrykańskich. Do dziś dnia to wychwytywanie, często najlepszego fizycznie elementu ludzkiego, uważane jest za główną przyczynę zastoju i rozkładu tradycyjnych form życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego dawnej Afryki. Pamięć o tym jest tak silna i w edukacji współczesnej tak podkreślana, że zupełnie zaćmiewa obiektywne spojrzenie na pewne korzyści czy dobrodziejstwa epoki kolonializmu. Młoda generacja rośnie w poczuciu historycznej krzywdy ze strony białych.

W ciągu 20 lat pobytu w Afryce mogłem obserwować stały zanik autorytetu Europy. Była ona długo uznawana za przodu-

jąca w kulturze, ekonomii, technice, myśli i organizacji politycznej. Jej instytucje budziły szacunek i były pierwowzorem. Mogło się wydawać, że nowa era w Afryce buduje się na schedzie odziedziczonej po Europejczykach. To była jednak iluzja. Chyba ostatnim europejskim mężem stanu, dla którego w Afryce panował do końca szczerzy szacunek i podziw, był de Gaulle — zdumiewające, że pomimo wojny algierskiej i konfliktu z Gwineą.

Stosunek do Europy uległ radykalnej przemianie. Klasycznym przykładem jest tutaj Nyerere: wychowanek Ojców Białych, potem Edynburga, piewca osiągnięć kultury europejskiej. Byłem przy tym jak tłumaczył moim studentom, że dekolonizacja nie jest zasługą samych tylko Afrykanów, ale wynikiem dojrzenia idei wolności w cywilizacji europejskiej. Zrobił on zwrot o 180 stopni, przyjmując kierunek na Chiny.

Dzisiaj wolność obywatelska — dziejowy wykwit cywilizacji europejskiej — przestała pociągać ludy Afryki, z innych prastarych tradycji się wywodzące. Mówi się, że dla biednych i nieoświeconych nie ma ona praktycznego znaczenia, jest abstrakcją i fikcją. Instytucje europejskie — parlament, pluralizm partii i wolne wybory nie są już dziś uważane za odpowiednie dla Afryki. Natomiast słowa jak „kolektyw”, „totalizm”, „socjalizm” czy „komunizm” nie są straszakiem, nie grożą utratą jakiegokolwiek wartości czy godności ludzkiej — w tym stopniu co w Europie. Współczesny Afrykanin uważa raczej, że przyszłość Afryki tkwi w masach, w dobraniu się do nich, w wydobyciu z prymitywu i włączeniu ich w ruch postępu. W tym widzi on źródło przyszłej siły. Dlatego fascynuje go proces przemiany dokonanej w Rosji czy w Chinach i tam widzi analogie dla siebie. Urasta wielkość Lenina, także dyktatorów Chin, także marksizmu — nie w znaczeniu absolutnego materializmu i walki klas, bo tego w Afryce nie ma, ale w znaczeniu programu siły wydobytej przez uświadomienie „proletariatu”.

Dzisiaj w Afryce uważa się Stany Zjednoczone za przedstawiciela świata zachodniego. Bogactwo Ameryki, jej mocarstwo, jej pozycja polityczna, jej potęga militarna i techniczna — wszystko to jest dostrzegane, ale kultura amerykańska jest nieszanowana i odrzucana jako nieodpowiadająca potrzebom ludów Afryki. Ustrój amerykański utożsamiany jest z bogaceniem się ludzi wybranych, a nie z wciąganiem szerokich mas w ruch postępu.

Afryka szuka samodzielnie własnych stosownych form, przyjmując we wszystkich krajach ideologię tzw. socjalizmu afrykańskiego. W każdym kraju to pojęcie jest interpretowane na własny sposób. Gdy w Nairobi zapytałem Afrykanina będącego tam na wysokim stanowisku, jaka różnica jest między socjalizmem Kenii a socjalizmem Tanzanii otrzymałem odpowiedź: „U nas jest socjalizm kapitalistyczny, w Tanzanii socjalizm ludowy”. Rozbieżności i dowolność interpretacji w tej dziedzinie są więc znaczne, ale samo słowo „socjalizm” wyraźnie fascynuje i wszędzie się powtarza. W gruncie rzeczy sprowadza się ono do

pojęcia rządów autokratycznych, monopartyjnych w imię głoszonego dobra szerokich mas — i tutaj jest punkt styczny z Rosją, z marksizmem. Obniżenie się autorytetu ideologii demokratycznej Zachodu w oczach Afryki zbliżyło ją do bloku sowieckiego i Chin.

Czy więc Afryka jest podatnym polem infiltracji Rosji Sowieckiej? Można przytoczyć wiele przykładów na to, że Afrykanie potrafili penetracji takiej skutecznie się przeciwstawić. Religia muzumłańska, wciąż bardzo żywa, jest poważną zaporą. Wszyscy Afrykanie z natury są religijni. Taką zaporą jest także rosnąca świadomość polityczna, która potrafi dostrzec w Rosji Sowieckiej nowego białego imperialistę czy kolonistę, który nie to że pomaga w rewolucji społecznej, lecz sięga po władzę. Skutecznie wyparto wpływy sowieckie z Kongo (Zaire), z Egiptu, z Sudanu, Kenii, a nawet Sekuturu potrafił je ukrocić. Ten stosunkowo łatwo zdobyty sukces mógł uspić czujność polityków afrykańskich, robiąc wrażenie, że można zawsze w odpowiedniej chwili pozbyć się niepożądanego infiltracji sowieckiej. Dlatego w przypadku Angoli niektórzy politycy na pierwszym planie stawiają bez wahania rozprawę z największym wrogiem — Południową Afryką i gotowi są czasowo przejść ponad zasadą nie wiązania się z żadnym z mocarstw. W swoim pojęciu wybrali zło mniejsze. To co jest doświadczeniem Europy, że Rosjanie raz zakorzenieni nie dadzą się wykorzenić — nie może być przekazane Afrykanom wyłącznie samą perswazją. Nkrumah dumnie mówi: „Wolno nam uczyć się na własnych błędach”.

Wydaje się, że na ostatniej konferencji styczniowej oceniano sytuację trzeźwo z różnych punktów widzenia. Być może że uczestnicy konferencji byli przekonani, że poczucie jedności i integralności Afryki jest dziś tak utwierdzone, że nie podważy go koniunkturalne odstępstwo od jednej z trzech kardynalnych zasad. Poza tym radykalny socjalizm i rewolucja społeczna nie są w Afryce niepopularne i pomoce w tej dziedzinie są już przyjmowane nie tylko od Rosji. Penetracja, przede wszystkim ideologiczna, Chin wzrasta. Paradoksalnie nie jest uważana za tak niebezpieczną jak rosyjska i na tyle jest zręczniejsza, że nie stwarza problemu kolizji z zasadą politycznego niezależniania się.

Argumentem za uznaniem pomocy rosyjskiej mogło być także to, że pomoc Zachodu (amerykańska) dla utworzenia alternatywnego rządu Angoli, docierająca przy współdziałaniu z Afryką Południową, narusza nie jedną ale dwie kardynalne zasady jedności afrykańskiej — łamie zasadę nie wiązania się z obcym mocarstwem, a ponadto godzi także w postulat wyzwolenia czarnych Afryki Południowej, a to wydaje się być najbliższe Afrykanom. Tak to tłumaczył po konferencji Nyerere zapewniając, że Afryka nie ulegnie komunizmowi.

Widziane z Brukseli

Cuba, no! Angola, no! Rossia, si!

Motto: „Może pójdziemy na ryby?
Nie mogę, bo idę na ryby.
Szkoda, bo moglibyśmy pójść na ryby”.

Miejsce akcji: Kreml, Moskwa, sala posiedzeń Rady Ministrów ZSSR, długa, prostokątna, ponura...

Czas akcji: 21 stycznia 1976, godz. 11-ta czasu moskiewskiego.

Przez salę biegnie długi, prostokątny stół, na nim zielone sukno i butelki Pepsi-cola produkcji ZSSR.

Przez wysokie drzwi z lewej strony wchodzi Breżniew z Kissingerem w towarzystwie Gromyki, doradców i tłumaczy. Przez takie same drzwi, z prawej strony, wchodzi grupka dziennikarzy amerykańskich. „Macie pięć minut czasu”, uprzedzono ich przed wpuszczeniem na salę. Pstrykają flaszki, zapalają się jupitery telewizji. Pada pierwsze pytanie.

Dziennikarz: — Panie sekretarzu generalny, czy będzie mowa o Angoli?

Breżniew: — Angola mnie nie interesuje, to nie mój kraj.

Kissinger: — Na pewno będzie mowa o Angoli.

Gromyko: — Porządek dzienny ustalony będzie wspólnie.

Kissinger: — O Angoli będzie na pewno mowa.

Breżniew: — Niech Pan, Panie Kissinger porozmawia o Angoli z pańskim doradcą Sonnenfeldem, na pewno się zgodzicie, nie słyszałem abyście się kiedykolwiek w czymkolwiek różnili.

Dziennikarz: — W jakim stanie są stosunki sowiecko-amerykańskie?

Breżniew: — Trudno mi to ocenić, to zależy od miłych rzeczy jakie p. Kissinger ma mi do powiedzenia.

Kissinger: — Mam nadzieję, że po rosyjsku brzmiało to zdanie bardziej sympatycznie niż w angielskim tłumaczeniu...

Po czym dziennikarzy wyrzucono za drzwi. Te z prawej strony. Za drzwiami czekał urzędnik Departamentu Stanu, który wręczył dziennikarzom poufną instrukcję na czas pobytu w Moskwie. Zawierała ona pięć punktów: 1) Wszystkie telefony są na podsłuchu; 2) wszystkie pomieszczenia wyposażone są w aparaturę podsłuchową i wszystkie rozmowy są nagrywane; 3) wszyscy wasi szoferzy znają angielski i codziennie składają raport; 4) Wszystkie bagaże pozostawione w hotelu zostaną dokładnie zbadane przez KGB; 5) wszystkie świstki wyrzucone do kosza zostaną starannie poskładane i odczytane...

Breżniew wystąpił w garniturze koloru stalowego aż z czte-

rema orderami w obu klapach marynarki. Miał rację. Nie co do orderów, bo na tym się nie znam (może ktoś wie, dlaczego raz ma dwa ordery, raz — trzy, a tym razem miał cztery gwiazdy, może chciał zaimponować Kissingerowi), ale co do Angoli.

W kilka godzin po odlocie Kissingera ogłoszono w Moskwie coś w rodzaju komunikatu, w którym nie ma ani słowa o Angoli. W tekście angielskim jest tylko sformułowanie, że poza dyskusją na temat SALT czyli nuklearnej równowagi strategicznej, „odbyła się wymiana poglądów na temat niektórych innych pilnych zagadnień międzynarodowych”. Przez kilka godzin Amerykanie triumfalnie tłumaczyli, że słowa „innych pilnych” to właśnie Angola i że Breżniew musiał ulec. Triumf trwał krótko. W chwili kiedy Kissinger lądował w Brukseli, dokąd przybył prosto z Moskwy, otrzymał tekst rosyjski tego samego komunikatu. Otóż agencja TASS i *Prawda* po prostu wyrzuciły słowo „pilnych” odbierając w ten sposób Kissingerowi ostatnie złudzenia co do bardziej sympatycznego brzmienia pewnych słów po rosyjsku niż po angielsku. Razem z kilkuset dziennikarzami poleciałem i ja w słołę i błoto na atlantyckie przedmieście Brukseli na 15-minutową (dosłownie) konferencję prasową sekretarza Stanu, aby usłyszeć tylko kilka ogólników i grubiaństw, brzmiających niesympatycznie po francusku, angielsku i rosyjsku także. Tak jakby to prasa była winna, że poza Sonnenfeldem nikt rzeczywiście nie chciał się z Kissingerem w Moskwie zgodzić.

Pierwsza prawdziwa kolonia

A teraz bądźmy poważni. O Angoli była naturalnie mowa. Jeżeli jednak rozpoczęła się ona od „dialogu głuchych” zacytowanego na wstępie, to dlatego, że Breżniew jest po prostu skrepowany taktycznie i, żeby się tak wyrazić, ideologicznie. Taktycznie, bo to jeszcze nie był moment na poważną rozmowę o Angoli. Ideologicznie, bo w chwili kiedy zabrakło tych głupich 80 milionów ton do bilansu zbożowego, trudno wytłumaczyć zwykłym ludziom sowieckim, że akurat Angola, czarne terytorium odległe o kilkanaście tysięcy kilometrów od Omska, Mińska czy Bracka, musiało się nagle znaleźć na zielonym suknie Kremla. Jak przekonać obywateli stojących w ogonku za chlebem czy mięsem, że muszą dzielić żywność a może i los z Luandą? Gdzie to w ogóle leży i co to jest?

Angola, dwa razy większa od Francji, to ostatnia kolonia portugalska i pierwsza, być może, kolonia sowiecka w Afryce. To jednak co się tam dzieje nie jest ani nowe ani obce, to po prostu takie, w innej nieco (na razie) skali, połączenie Biafry i Wietnamu. Broń pochodzi z USA, ZSSR, Francji i Chin, korpus ekspedycyjny z Kuby, Zairu i Afryki Południowej, okrucieństwo jest trybalne i bratobójcze, no i towarzyszy temu ogromna mobilizacja ludzkich sumień i dyplomatycznych kombinacji.

Jest tylko mała, ale interesująca różnica. Otóż, choć w Wiet-

namie zaangażowane były kolosalne siły, Wietnam nigdy nie zagrażał pokojowi świata, ani właściwie *détente*. Nawet wprost przeciwnie. Np. w 1972 roku, kiedy samolot typu Boeing 707 z Nixonem lądował w Moskwie, samoloty typu Boeing 52 bombardowały Hanoi i minowały port w Haifongu, niszcząc przy okazji okręty i zabijając marynarzy sowieckich. Nie przeszkodziło to jednak szampanowi i uściskom. Breżniew i Nixon polubili się od pierwszego wejrzenia właściwie dozwonnie (przynajmniej jeżeli chodzi o Nixona). Natomiast mimo, że Kissinger był właściwie lubiany na Czerwonym Placu, to z powodu jego niezdrowego zainteresowania Angolą, potraktowano go tym razem, bardzo zimno. W rezultacie stosunki amerykańsko-sowieckie są gorsze a nie lepsze po tej dziesiątej jubileuszowej podróży sekretarza stanu do Moskwy.

Według niektórych obserwatorów, aluzja Breżniewa do spółki Kissinger-Sonnefeld miała zabarwienie także polityczne. Mogła to bowiem być krytyka niezdrowych i nieprawidłowych proporcji narodowościowych w kierownictwie amerykańskiej polityki zagranicznej. Szczery gniew Breżniewa zaszedł tak daleko, iż zerwał on prawie z ręki Sonnenfelda złoty zegarek z takąż bransoletą, wpychając mu w zamian kieszonkowy czasomierz typu „Pobieda”, na 14 kamieniach. Na próżno Sonnenfeld wołał, że to prezent od teściowej i że nie będzie mógł się w domu bez zegarka pokazać. Breżniew był nieubłagany. Wymienił tylko „Pobiedę” na szwedzki zegarek stalowy, a złotą „Omegę” obiecał oddać kiedy podpisany zostanie układ SALT II. Jest w tym zegarkowym incydencie coś nostalgicznego i atawistycznego, co przypomina dawne „czasy...”. A może spróbować znowu? Kiedyś dziając będąc zbieraliśmy sreberka z czekolady Suchard na zabawki dla małych szczęśliwych murzyniłek, którym tylko zabawek brakło. Może dziś, za całą fabrykę zegarków ze złota udałoby się wykupić Angolę? Państwo się gniewają, znowu mi Stefan Karaibski zarzuci, że kpię z poważnych rzeczy. A tymczasem...

Ginekolog u władzy

500 lat trwała portugalska obecność, znaczy się kolonizacja, w Angoli. Terytorium, 14 razy większe od metropolii, odkrył żeglarz portugalski Diego Cao jeszcze w roku 1482, ale kiedy 10 listopada 1975 roku jego następcą admirał Leone Cardoso, ostatni wysoki komisarz Portugalii związał sztandar w forcie San Miguel nad zatoką Luandy, okazało się, że nie starczyło Portugalczykom czasu na wypracowanie jakiejś rozumnej formuły dekolonizacji. W chwili więc gdy Cardoso milczkiem, z flagą pod pachą, uchodził z Luandy, ustała co prawda wojna kolonialna, ale wzbuchała natychmiast znacznie bardziej krwawa wojna o panowanie i kontrolę nad stolicą.

Do wrót pałacu władzy zapukały bowiem aż trzy ugrupowania, wszystkie ludowe, wszystkie demokratyczne, wszystkie pa-

triotyczne i wszystkie niepodległościowe. Różnica była niewielka: kolor sztandaru czyli ideologii, kolor — co za tym idzie — banknotów.

Pierwszy ruch nosi inicjały MPLA, szerzej mówiąc Ludowy Ruch Wyzwolenia Angoli. Jest to odłam o najdłuższym stażu. Powstał jeszcze w 1956 roku, zorganizowany przez młodych marksizujących wychowanków rozmaitych szkół kolonialnych i uniwersytetów europejskich przy pomocy niektórych abiturientów uniwersytetu im. Lumumby w Moskwie. Miał więc od początku poparcie ZSSR i miał zdolnego przywódcę. Dr Agostinho Neto, ginekolog z zawodu, poeta i polityk z zamiłowaniem, zjechał do słownie cały świat szukając poparcia dla niepodległości Angoli i dla siebie samego. Kiedy, 25 kwietnia 1974, upadł w Lizbonie faszyzm, MPLA jawiła się światu jako główna siła w Angoli, a Neto jako główny kandydat do władzy.

W 1962 roku zrodził się drugi ruch niepodległościowy w Angoli. FNLA się wabi, Narodowy Front Wyzwolenia Angoli, ma bazę trybalną, opiera się o szczerp Bakongo (nie znacie? to trudno). Szefem bakongistów jest Roberto Holden, nosiciel hasła liberalno-demokratycznych, co mu zjednało poparcie USA, przeciwnik ZSSR, co mu zjednało sympatię Chin, no i coś w rodzaju szwagra prezydenta Zairu, Mobutu, co mu pozwoliło szykować wojnę w Kinszasie, pod okiem instruktorów północno-koreańskich (już opuścili Zair), w warunkach względnego spokoju wojskowego i materialnego. Ciemne okulary Holdena nadają mu wygląd zwolennika raczej mafii niż maoizmu, nie przeszkodziły mu jednak w zdobyciu zaufania pewnej części światowych rezerw megatonowych.

Ponieważ jednak, jak już wspomnieliśmy, Holden uprzywilejował szczerp Bakongo (już znacie) jeden z jego oficerów, niejaki Jonas Sawimbi, zerwał z szefem w 1964 roku i założył własne UNITA, czyli Narodowe Zjednoczenie dla Całkowitego Wyzwolenia Angoli, dając w ten sposób do zrozumienia, że ruchy konkurencyjne mają na celu tylko niecałkowite wyzwolenie kraju. Sawimbi („Bóg jest w niebie, Sawimbi w Angoli” głosi hasło w jego stolicy), oparł się jednak także na jednym tylko szczepie Owimbundus co daje mu siłę wyłącznie regionalną w pobliżu granic Afryki Południowej i zapewniło rzadką w stosunku do czarnych sympatię i poparcie wojskowe białej republiki apartheidu. Sawimbi także zjechał cały świat, i to przeważnie własnym odrzutowcem, ale szczególnie sympatię znalazł w pałacu Elizejskim w Paryżu. Może to jego liberalizm się tam spodobał, a może po prostu był to ostatni ruch angolski jeszcze do wzięcia...

Otóż, streszczając, można powiedzieć, że wojna o stolicę była straszna, bez pardonu, jeńca nie brano. Po 10 miesiącach Luanda była w ruinie, tysiące zabitych ściełiło ulice, gospodarka cofnęła się do XIX wieku, 400.000 „czarnych stóp” czyli portugalskich kolonów opuściło miasto i okolice. MPLA odniosła triumf, pozbyła się konkurentów ze stolicy. Na ogromnym trupie Luandy

dr Neto zatknął swój sztandar i proklamował się jedynym prezydentem Angoli. Nie mógł jednak zająć się odbudową zniszczonego kraju. Albowiem wraz ze zwycięstwem w Luandzie, wybuchła wojna domowa...

Domowa, to za skromnie. Kogóż tam nie ma!

Dziwni cywile z cygarami i karabinami

Kraj ciągnący się od rzeki Kongo do granic pustyni Kalahari mógłby być rajem na ziemi, stać jedną z największych potęg afrykańskich gdyby nie... Gdyby nie co? A może gdyby nie kto? A może jedno i drugie?

Oficjalnie ruch dr. Neto rozpoczął działania wojenne jeszcze w 1961 roku, faktycznie jednak dopiero w 1966 roku z dżungli angolskiej padają pierwsze strzały z rosyjskich Kalasznikowów i pojawiają się murzyńscy *gerilleros* ubrani w „panterki”, czyli mundury zdjęte z zabitych żołnierzy portugalskich. Ale to była faza amatorska, przygotowawcza niejako.

Angola, trzeba to w tym miejscu z żalem powiedzieć, stanowi mistrzowską wprost operację sowiecką. Jest to największa i najbardziej precyzyjnie opracowana akcja Moskwy na kontynencie afrykańskim, a może i poza Europą w ogóle; ogłasza wyjście Moskwy z okresu jej afrykańskich nieporadności i tragikomedii. Jest to pierwsza akcja tej miary prowadzona z Moskwy z taką precyzją na tak wielką odległość od jej granic lądowych, oznacza niewątpliwą zmianę założeń strategii sowieckiej. Mówiąc w skrócie, znaczy ona przejście od imperializmu kontynentalnego do imperializmu globalnego, światowego.

11 listopada 1975 roku Angola ogłasza niepodległość. Następnego dnia ZSSR uznaje rząd dr. Neto, jedyny prawowity rząd republiki. Luanda ogłasza, że „w ramach dwustronnych stosunków międzypaństwowych ZSSR udzielił Angoli dodatkowej pomocy”. Dodatkowa czy nie, wszystko jedno, w każdym razie, już w czasie uroczystej defilady niepodległościowej przez zgłiszcza Luandy przejechały sowieckie wozy pancerne, nie mówiąc już o broni ręcznej i maszynowej, katiuszach i moździerzach. Do niepodległego już portu wpływają okręty wysłane z ZSSR jeszcze przed proklamowaniem republiki, na niepodległych lotniskach lądują samoloty ze sprzętem i doradcami.

Kissinger się gniewa, to jasne. „Stany Zjednoczone, ogłasza, nie pozostaną obojętne wobec sowieckiego zaangażowania tak daleko od ich terytorium i obcego ich tradycyjnym interesom”. Ale Kissinger się myli. Po pierwsze, Ameryka pozostanie obojętna. Kongres USA, zapatrzony w własny pępek i sparaliżowany szokiem wietnamskim odmawia wszelkich środków na jakąkolwiek rozsądną i skuteczną kontrakcję w Angoli, a Biały Dom, który już jest w roku wyborczym, ale który się jeszcze nie podniósł z dna po Watergate, nie jest w stanie Kongresowi się przeciwstawić. Po drugie, Angola nie jest daleko od ZSSR i nie

jest obca jej tradycyjnym interesom. Po to aby to udowodnić Moskwa przeprowadziła bardzo precyzyjną i skomplikowaną operację. Podwójną. Część pierwsza była wojskowa: logistyczna i ludzka. Część druga polityczna: ideologiczna i dyplomatyczna.

Ludzie i sprzęt prosto z nieba

W kilka dni po proklamowaniu przez dr. Neto jego republiki zjechał do Luandy ambasador Afanasenko na czele ogromnego sztabu „dyplomatycznego”. Za nim zaczęły lądować na wszystkich dostępnych lotniskach Antonow 12 i 22, te same które uratowały Egipt i Syrię w wojnie kipurowej 1973 roku. Prawdziwy most powietrzny ponad Bułgarią, Jugosławią, Algierem przewozi do Konga, do Brazzaville ogromny sprzęt wojskowy. Na lotnisku Maya Maya pod Brazzaville technicy sowieccy montują sprzęt i wysyłają natychmiast na front do Angoli. Nadchodzą już nie tylko Kalasznikow i podobny drobiazg, ale czołgi T-54, artyleria, SAM'y, a nawet MIG-21, no i cały radar do kierowania ruchem powietrznym.

Niektórzy się dziwią, kto będzie z tego strzelać, to to obsługuwać, skoro na miejscu w Angoli jest tylko kilkuset techników sowieckich, a ludzie dr. Neto, choć już marksiści to jeszcze nie fachowcy od wojskowej elektroniki. Na odpowiedź nie czekali długo... Razem ze sprzętem z Rosji, nadlatywała obsługa. Z Kuby.

Pierwsi Kubańczycy przybyli do Angoli jeszcze przed proklamowaniem republiki. Po cichu, w nocy 25 czerwca 1975 roku, zjawili się w Luandzie 50 *compañeros cubanos*. Pierwsi instruktorzy, ale nie od uprawy trzciny cukrowej. W sierpniu u dr. Neto zjawiała się prawdziwa, na wysokim szczeblu, delegacja z Hawany. „Doniesiono nam, powiadają, iż potrzebujecie tu wykwalifikowanych i bezinteresownych doradców. Mamy takich na zbyciu, mogą być nawet czarni, dla nich to będzie niejako powrót do źródła, 500 lat temu ich przodkowie stąd mniej więcej zostali wywiezieni. Mówią po hiszpańsku, dogadacie się łatwo”.

Jesienią 1975 coraz częściej spotkać można na ulicach Luandy dziwnych cywilów z karabinami Kalasznikow. Młodzi, brodaci, o rozmaitych kolorach skóry, mówią po portugalsku bardzo źle, z wyraźnym hiszpańskim akcentem, palą grube cygara i zamiast afrykańskich epopei opowiadają *bezprizornym* z Luandy historię Che Guevary, zamiast tam-tamów z dżungli wybijają rytm cza-cza-cza z Sierra Maestra.

25 września 1975 statek kubański „Vietnam heroico” przeładowuje dyskretnie na redzie na statek angolski „Lunda Luanda” 120 wojskowych, 20 wozów pancernych i 30 ciężarówek. W październiku już się nikt nie krępuje. Okrętami i samolotami suną żołnierze z Kuby i sprzęt z ZSSR. Wyścig między sprzętem a ludźmi staje się tak ostry, że w listopadzie stare „Britanie” i Ił-18 zostają zastąpione nowoczesnymi Ił-62. Most powietrzny z Ha-

wany idzie szybciej, no i może teraz pomijać coraz bardziej krepujące międzylądowania na Barbados i Azorach.

Kiedy londyński *Times* eksploduje bombę: „Kubańczycy lądują w Angoli” jest już za późno. Brodaczę są już na froncie, na niektórych odcinkach walczą prawie sami, ale zwyciężają, ratują Neto od klęski i przechodzą do ofensywy. W chwili kiedy mam przykrość pisania tych słów, Kubańczyków jest na Kubie ok. 14.000 i właściwie całkowite zwycięstwo dr. Neto wydaje się już tylko kwestią czasu. Przy pomocy ok. 200 milionów dolarów w sprzecie ZSSR dysponuje w Angoli prawdziwym, kubańskim korpusem ekspedycyjnym. Operacją, pod kontrolą doradców z Moskwy, dowodzi dwóch braci, generałowie Zenen i Julio Casas Regeuro, obaj wiceministrowie kubańskich sił zbrojnych. W grudniu 1975 Fidel Castro ogłasza światu: „Jesteśmy dumni z naszej obecności w Angoli i w wielu innych miejscach na świecie. Jest to najwyższy przykład rewolucyjnego heroizmu i poświęcenia. Z naszej internacjonalistycznej misji nie zrezygnujemy nawet za cenę definitywnego pogorszenia stosunków z USA. Najpierw wobec nas Amerykanie chcieli zastosować blokadę ekonomiczną. Teraz wobec Angoli stosują blokadę ideologiczną. My się na to nie zgadzamy!”.

Nie wiadomo czy Fidel mógł się zgodzić lub nie, albowiem choć kosztowna, jest to operacja dla Fidela przymusowa. Kuba bowiem płaci w ten sposób swój dług wobec Moskwy. Według niekompletnych obliczeń Moskwa zainwestowała w Kubę ponad 6 miliardów dolarów i ciągle jeszcze inwestuje. Jedynym prawdziwym sposobem zwrotu tych miliardów nie jest jednak cukier czy nikiel a krew, są ofiary kubańskie tam, gdzie ze zrozumiałych względów Rosjanie nie mogą personalnie ginąć. Angola to właśnie takie miejsce. Moskwa bowiem wie, że jeden maleńki oddział na froncie angolskim mógłby przełamać paraliż nawet amerykańskiego Kongresu i wywołać ostrą reakcję USA. To zresztą nic nowego. Taka właśnie operacja odbyła się w 1973 roku na Golanie, gdzie tuż przed wojną kipurową znalazła się brygada pancerna z Kuby na sowieckich czołgach naturalnie, taka sama miała też odbyć się w Portugalii. Castro zaproponował mianowicie swą absolutnie braterską pomoc gen. Carvalho, kiedy ów odwiedził Hawanę na chwilę przed listopadowym nieudanym puczem w Lizbonie, no i przed własną niełaską.

Dług, długiem, ale Castro ma także swój interes. Jest to mianowicie dla niego okazja wykazania, że duch rewolucji nie zginął wraz z ciałem Che Geuvary i że dźwierz on wysoko sztandar „*Cuba si, yanki no!*”. Ponieważ, powiada Castro, nie możemy eksportować rewolucji do Ameryki łacińskiej, bo nie jest to zgodne z polityką Rosji w tym rejonie, no i nie ma szans na tym kontynencie, eksportujemy ją gdzie indziej. Np. do Afryki. „Czyż bowiem, wołał Fidel, nie jesteśmy także narodem afroamerykańskim a nie tylko łacińsko-amerykańskim?”. Słusznie. Z hasłem Che Guevary na ustach: „Dwa, trzy Wietnamy, coraz więcej Wietnamów...” Kubańczycy umierają teraz w Angoli oraz

szykują się do „heroizmu i poświęcenia” w kilkunastu innych krajach, gdzie Rosjanie wolą się osobiście nie pokazywać.

Afrykańska Syberia

Tyle byłoby o logistyce. A teraz o strategii.

Angola, to dla ZSSR operacja kosztowna, ale opłacalna. Interes jak na dłoni. Proszę spojrzeć na mapę (kiedy, a *propos Kultura* znacznie drukować mapy?). Flota sowiecka jest już na Oceanie Indyjskim, gdzie będą się niedługo dziać na pewno bardzo ciekawe rzeczy. Zamiast startować z Władywostoku czy Odesy opływać całą Afrykę, dziś wystarczy skok przez Suez i już jesteśmy na miejscu. Różnica, bagatelka, jakieś 10.000 mil. Dzięki bazom w Somali, Syrii, Iraku, Rosja obsadziła już wybrzeża Zatoki Perskiej, „heroizm i poświęcenie” w Dofarze uzupełnią obraz.

Gdyby „akcja Angola” się udała, to Rosja uzyskałaby nareszcie mocny punkt oparcia na południowym Atlantyku, pierwszą bazę na południe od równika, uzyskałaby głęboki port i wygodne lotniska. Po co? Śmieszne pytanie.

Rosja miałaby w najbliższym zasięgu radaru, rakiet, nie mówiąc już o flocie i samolotach, miałaby więc pod kontrolą szlak, którym idzie 70 % nafty dla krajów Paktu Atlantycznego i 60 % złota południowo-afrykańskiego. Kontrolowany z Kuby i z Angoli, Atlantyk przestaje być niebezpieczny.

Następnie, Angola to taka afrykańska Syberia. Nie, jeszcze nie w sensie gułagu, ale z powodu bogactw naturalnych. Diamenty, miedź, cynk, fosfaty, nikiel, no i nafta w Kabindzie, nikt nie wie ile. Do tego Angola jest (albo była do niedawna) czwartym producentem kawy, nie wspominając o cukrze, tytoniu. Jeżeli nawet nikt w Rosji nie snuje na razie planów kolonizacji zasobów naturalnych Angoli, to w każdym razie warto przeszkodzić, aby nie wpadły one w cudze ręce.

Po trzecie wreszcie, jest to pierwsza w ogóle naprawdę udana operacja ideologiczna z szansami sukcesu w konkurencji z Chińczykami na terenie trzeciego świata. Jak dotąd Rosjanie popełniali same błędy. Po krótkim pobycie wszędzie udawało im się ujawnić swe prawdziwe oblicze: białego kolonizatora dbającego wyłącznie o swe imperialne interesy, pełnego pogardy dla czarnych tubylców. Chińczycy natomiast ciężko w Afryce pracowali, żyjąc życiem tych, których gnębi głód. W Angoli Rosjanie, dzięki pośrednictwu Kubańczyków, przeciwstawiają się Afryce Południowej, która symbolizuje rasizm i białe panowanie, podczas gdy Chińczycy skompromitowali się popierając UNITA u boku, jak się po niewczasie okazało właśnie Afryki Południowej. Pewnie, Chińczycy się szybko wycofali z tego towarzystwa, ale już było za późno. Fidel grzmiał na temat „odrażającego związku imperializmu, rasizmu i maoizmu”, Moskwa już wołała „patrzcie z kim się Mao sprzymierzył”. Chiny oczywiście podjęły kontrofensywę.

Dla Pekinu Kubańczycy — to najemnicy, a Moskwa to kolonializm, ale już było za późno. Monopol Mao na ideowe dziewictwo w Afryce został nadwerężony.

Jedźmy dorsze...

No i co Pan na to? Co na to wolny świat?

A no nic, albo niewiele. Najpierw odfajkujmy Europę Zachodnią, bo to najłatwiej. Nic jej to nie obchodzi. Kiedy Moskwa zjawiła się w Portugalii Europa Zachodnia jeszcze zareagowała, głównie zresztą po amerykańskich alarmach, bo Portugalia to jednak prawie u nas w domu, a przede wszystkim, bo lubimy urlopy, „*Avril au Portugal*” i te rzeczy...

Ale Angola? Kto wie gdzie to leży, normalny Europejczyk, syty i ślepy, nie wie w ogóle o co chodzi. My tu, panie, mamy wojnę o dorsze między Wielką (!) Brytanią a Islandią, wojnę o wino między Francją a Włochami, rozdierając nas ceny pietruszek, nadwyżki wołowiny, mleka w proszku i masła, problem dnia (przez tydzień nie schodził z czołówek) to nie obecność kubańsko-sowiecka w Afryce a nieobecność frytów na rynku w Brukseli. Pewnie, niektórzy niepoprawni podżegacze dostrzegli już sowieckie SAM'y i kubańskich „doradców” na Saharze zachodniej, dzięki którym już został zestrzelony marokański Phantom, ale to jeszcze za daleko jak na wyobraźnię zachodnioeuropejską. Patrzymy na to w telewizji zanim się rozpocznie transmisja meczu lub durny *show*, ale co nas obchodzi to morze piasku. Niech się mordują, giną zawsze inni.

No, a Stany Zjednoczone. Nic nie mogą właściwie zrobić. Mogłyby może, ale potajemnie nie mogą, bo CIA jest dziś mniej tajemnicza niż romanse Agaty Christie (Panie, świeć nad jej duszą). Jawnie zaś Kongres nie pozwala. Kissingerowi w końcu nie pozostało nic innego, niż uznać swą klęskę w Angoli. „Po raz pierwszy”, powiedział Kissinger, „Stany Zjednoczone nie zareagowały na operację wojskową ZSSR poza jego orbitą”. Ale, przestrzegł on: „Angola nie może stać się precedensem. Podobnej akcji nie będziemy tolerować w przyszłości”.

Tylko pozornie brzmi to śmiesznie i tylko *Le Monde* starał się wykpić amerykańskie przestrogi. Rosjanie, nie naiwniacy, wiedzą, że USA, nawet osłabione, rozhisteryzowane, rozdierające publicznie swe rany i piorące publicznie wszystkie swe brudy, to ogromna potęga. Psychologicznie biorąc, dla zakneblowanej i skazanej na milczenie Rosji, taka publiczna katarsis to nawet oznaka siły a nie słabości.

Kreml wie, że nie powinien przeciągać struny. Dlatego, atakując Kissingera za rzucanie oszczerzych oskarżeń, Kreml zawsze dodaje, że nie rozumie o co tu właściwie chodzi, bo „nie ma przecież w Angoli ani jednego żołnierza sowieckiego”.

Angola, w tym kontekście, ma dla Rosji podwójną wartość.

Po pierwsze jest to najpoważniejszy od kryzysu kubańskiego test amerykańskiej zdolności odporu politycznego i wojskowego. Po drugie, jest to właściwie wszystko co Kreml ma do zaoferowania Amerykanom i jest to główny środek presji na Stany Zjednoczone w innych dziedzinach.

W roku 1962, jak pamiętamy zapewne, Chruszczow zainstalował rakiety na Kubie, o 110 km. od Florydy i czekał co z tego wyniknie. Wynikła awantura. Kennedy, młody, prężny (i jak jeszcze) odważny i mądry prezydent USA zablokował wyspę, zagroził kontrolą okrętów sowieckich, ogłosił alarm w bazach USA na globie. No i Chruszczow się cofnął. Próba się nie udała. Było to za daleko od lądowych granic ZSSR, a Moskwa nie miała jeszcze wtedy środków realizacji takiej ekspansji.

W roku 1975 i 1976 sytuacja jest całkowicie odmienna. Breżniew usadowił się w Angoli i gdzie indziej nie tylko dlatego, że prezydent USA nie jest dziś ani młody, ani prężny, ani odważny ani mądry (może zresztą jest, ja nie wiem), a dlatego, że Kreml ma nareszcie odpowiednie środki do dyspozycji. ZSSR ma ogromny przemysł zbrojeniowy, który mu pozwala zaopatrywać w broń wszystkich klientów i to bez osłabiania swej własnej siły obronnej, a nawet wprost przeciwnie. Ma on bowiem z tego tytułu ogromne *avoir'y* na świecie, których używa w celach politycznej perswazji, np. na Kubie, Somali itp. Dzięki temu ma właśnie do dyspozycji korpus ekspedycyjny, np. kubański (jutro może być syryjski czy somalijski), który mu pozwala lądować w wielu miejscach na globie bez ryzyka wejścia w bezpośredni kontakt, oko w oko, z Amerykanami. No i w końcu ma ogromną flotę wojenną i ogromne lotnictwo dalekiego zasięgu, co pozwala Breżniewowi na szybką interwencję wszędzie właściwie na świecie. Ma, mówiąc w skrócie, równowagę atomową i przewagę klasyczną, ma środki materialne niezbędne dla przejścia z fazy imperializmu kontynentalnego do fazy imperializmu globalnego, światowego. To znaczy, ma środki realizacji nowej polityki Kremla.

Ziemia niczyja czyli nasza

Nowej? Przypatrzmy się bliżej tej polityce. Niektórzy istotnie się dziwią. Skąd do Rosji taka ofensywa i taka przebiegła polityka?

Nieporozumienie dotyczy samego pojęcia *détente*. Dla Rosji *détente* zawsze trwała tylko dotąd dopóki Zachód nie zapomniał o poprzednim napięciu. Dla Rosji, odprężenie nigdy nie oznaczało zamrożenia sytuacji, a wprost przeciwnie oznaczało możliwość destabilizacji równowagi sił, oczywiście na własną korzyść. Jasne, destabilizować należy tylko wtedy, kiedy nie niesie to ryzyka konfrontacji wprost z USA. Angola to właśnie idealny przykład takiego rozumowania: ponieważ było to w pewnym sensie terytorium niczyje, to skoro mamy już środki, niech będzie nasze.

Jeżeli operacja się uda, szepcą sobie na Kremlu, to czysty

zysk. Nareszcie prawdziwe imperium... To prawda, że to już kosztuje Rosję jakieś 200 milionów dolarów. Ale, jeżeli się uda, to się kosztą zwrócić.

No, a jeżeli się nie uda? No to nic, kupić nie kupić, potargować można. Nawet niesławny odwrót z Kuby per saldo się opłaca. W zamian za wycofanie rakiet, Kennedy obiecał i tego dotrzymał, że nie zaatakuję Kuby, co pozwoliło na umocnienie pierwszego ustroju typu sowieckiego i pierwszej bazy ZSSR na zachodniej półkuli.

No, a co można zarobić na Angoli? Różne rzeczy. Kreml w istocie gotów jest do częściowego naturalnie (nigdy wszak nie oddaje się wszystkiego) wycofania z Angoli, tym bardziej, że nie stać go na utrzymanie afrykańskiej Kuby. Gotów jest do ustępstw, pod warunkiem, że uzyska za to koncesje USA w innych dziedzinach, np. handlowych i kredytowych (zboże, zboże, a dewiz zaczyna brakować) albo, co jeszcze ważniejsze, w negocjacjach SALT II, Rosji bowiem jest coraz trudniej utrzymać tempo obecnej pogoni za nuklearnym postępem amerykańskich zbrojeń.

Angola stanowi więc dla Rosjan argument ogromnej wagi w negocjacjach na zupełnie inne tematy. Jest to transakcja poważna. Jeżeli w styczniu Kissinger tej transakcji jeszcze nie podpisał to dlatego, że warunki dobiecia (słowo na miejscu) interesu jeszcze nie dojrzały. Może, powiadali sobie Rosjanie, trzeba podesłać jeszcze kilka tysięcy Kubańczyków, do Angoli albo i gdzie indziej; np. do Zairu, może potrzebne są jeszcze jakieś inne tzw. konflikty lokalne, czyli krwawe wojny, gdzie Amerykanie i Rosjanie zabijają się nawzajem przelewając cudzą krew. Wszystko jest gotowe: sprzęt, ludzie, argumentacja polityczna, napisane są już nawet wstępniaki *Prawdy*. Potrzebne jest tylko terytorium. Kto następny? Może Dżibuti? Może Sahara? A może Europa? A dlaczego np. nie Jugosławia w dniu śmierci Tito?

Potem podpiszemy kolejny układ o odprężeniu i prawach człowieka i spokojnie będzie można powiedzieć, że Murzyn zrobił swoje, że Kubańczyk może odejść i że Rosjanin może zostać...

BRUKSELCZYK

Pisane 7 lutego 1976 r.

BRUKSELCZYK NARESZCIE W BRUKSELI

Brukselczyk z *Kultury* ujawnił się nareszcie w Brukseli. Leopold Unger wygłosił 24. I. br. odczyt w Społecznym Klubie dyskusyjnym w Brukseli. Mimo nudnego tematu (znowu Helsinki) przybyły na odczyt rekordowe tłumy słuchaczy i dyskutantów, jakieś 60 osób, według precyzyjnych obliczeń, i to niezależnie od przynależności narodowej i pochodzenia społecznego.

Rozczarowanie było względne, niewielu tylko żałowało. Większość mianowicie uznała, że Brukselczyk tak mówi jak pisze i tak wygląda jak go sobie czytelnik *Kultury* wyobraża.

Brukselczyk zadaje sobie tylko pytanie, czy jest to komplement czy też

stwierdzenie smutnego faktu. W tym zwątpieniu pociesza go jedynie nowe zaproszenie a przede wszystkim fakt, że gospodarze Klubu zdecydowani są nie cofać się przed żadnym poświęceniem. Obiecali mianowicie, po następnym odczytzie, nakarmić Brukselczyka prawdziwymi pierogami z kartofli i serem, na jakie czeka on bezskutecznie, od czasu opuszczenia Lwowa w 1939 roku.

(Było to drugie posiedzenie Klubu. Pierwsze poświęcone było wyjazdom do Polski — zagajała H. Chorążyna).

Korespondencja z Rzymu

Watykańska „Ostpolitik” na progu 1976

Watykański organ, *Osservatore Romano*, o dziwo stał się dziś ciekawą gazetą. Przyznaję szczerze: rzadko do niej zaglądałem, tak samo różni tutejsi duchowni, zwłaszcza z Europy Wschodniej, zrażeni panującą tam autocenzurą, dopiero dziś sięgają po tę lekturę. Nagle, w styczniu br., pojawiły się w niej informacje o dysydentach w ZSSR, o prześladowaniach wierzących. Dwie szpalty poświęcono sprawozdaniu z sensacyjnej i bezprecedensowej debaty, w której włoska telewizja była zmuszona sprostować, ocenzurowany uprzednio, wywiad z Andriejem Siniawskim. W ślad za oświadczeniem stałej rady włoskiego episkopatu przeciw tutejszej modzie na marksizm, organ watykański publikuje bez przerwy rozprawę na ten temat i cytuje głosy biskupów z różnych krajów. Papież, odrzucając sowiecką interpretację układów w Helsinkach, w przemówieniu do korpusu dyplomatycznego oświadczył wręcz, że „podstawowe wolności i prawa człowieka nie są sprawą wewnętrzną danego państwa”. Po raz pierwszy od wielu lat Stolica Apostolska zdecydowanie zareplikowała na raczej umiarkowane sformułowanie zarzut dziennika *Izwestia*, którego korespondent, Vadim Ardatowski, wytknął wikariuszowi rzymskiemu, kardynałowi Poletti, i radzie głównej episkopatu „ingerencję we włoską politykę”. *Osservatore della domenica*, tygodnik watykański, stwierdza m.in.: „jeśli komuniści są konsekwentni, to nie mają prawa oburzać się, iż inni są również konsekwentni w sprawach własnej wiary... zawsze podkreślaliśmy zjawisko ideologicznej, konsekwentnej antyreligijności, jaka w różnych sytuacjach inspirowała wszystkie rządy sprawowane przez komunistów. Ponadto występuje zakłamanie zachodnich partii komunistycznych, kiedy proklamując swą demokratyczność podkreślają że — jak twierdził Lenin — „moralność jest podporządkowana interesom walki klas prowadzonej przez proletariatus”.

Cóż jednak nowego w kontrowersyjnej watykańskiej „Ostpoli-

tik"? Jej sternik, mons. Casaroli, twierdzi (słusznie) że nie ma ona alternatywy, a na niedawnym obiedzie (*off the record*) w klubie prasy zagranicznej oświadczył, że *summa summarum* jej dotychczasowe wyniki są pozytywne (co podlega dyskusji). Bilans nie musi zresztą wyglądać różowo skoro — jak mi wiadomo — zespół opracowujący materiały służące do negocjacji z państwami komunistycznymi otrzymał nowe wskazówki i bierze dziś pod uwagę okoliczności, w których lepiej czasowo pozbawić wiernych biskupa niż ryzykować wzmoczenie ingerencji poszczególnych reżymów w nominację biskupów i kierowanie diecezjami. Ta nowa orientacja znalazła już nawet wyraz w b. interesującym studium, opublikowanym w listopadzie ub. roku w piśmie *Etudes*, organie francuskich jezuitów. To dobrze udokumentowane studium było inspirowane (a raczej zamówione) przez kompetentną osobę z Sekretariatu Stanu. Nie jest też rzeczą przypadku, że przed paroma dniami ten sam tekst został zamieszczony, w trzech odcinkach, przez dziennik *Il Popolo*, organ Demokracji Chrześcijańskiej.

Studium to pt. „L'Ostpolitik du Vatican” przyznaje, że jest „mnóstwo przeszkód wszelkiego rodzaju”, zwłaszcza w dziedzinie odbudowy hierarchii, duszpasterstwa i nauczania religii, że kluczowe dla „Ostpolitik” rozmowy z Moskwą nie przyniosły dotąd żadnego rezultatu i nawet skromny postulat mianowania biskupa dla Białorusi, gdzie żyje przeszło 200 tysięcy Polaków, od dawna napotyka ze strony władz sowieckich na *fin de non recevoir*. Studium podkreśla jednak, że nie można kwestionować głównego celu „otwarcia na Wschód” tj. zapewnienia „przynajmniej minimalnych” warunków działalności Kościoła i przyczynienia się tym samym do „złagodzenia napięcia”. Nie po raz pierwszy w ciągu dziejów Stolica Apostolska — czytamy — „zmuszona jest rokować z prześladowcami religii”, co pociąga za sobą nieuniknione ryzyko i konieczność wystrzegania się „wpadnięcia w zastawioną przez reżymy komunistyczne pułapkę strategii politycznej”. Studium stwierdza dalej, że Stolica Apostolska nigdy nie pójdzie na kompromis z doktryną marksistowską (czego się obawia wiele osób), zaznaczając że „Ostpolitik” nie miałaby racji bytu, gdyby Stolica Apostolska nie miała do czynienia w Europie Wschodniej z państwami totalitarnymi, nie respektującymi wolności sumienia, programowo dyskryminującymi wierzących lub wręcz dławiącymi katolicyzm (wymieniając Litwę jako przykład). Stąd konieczność rokowań „poufnych, uporzeczywych i długofalowych” w klimacie niezakończonych konfliktami między Kościołem i Państwem. Utrzymuje się ponadto, że negocjacje ze Wschodem „są sprzeczne z krucjatą antykomunistyczną, podjętą w Portugalii”. Stanowi to odwrócenie związku przyczyn ze skutkiem. Jak bowiem wiadomo zajścia antykomunistyczne w Portugalii w ub. roku (przed nieudanym puczem listopadowym) wywołane zostały totalitarnymi zapędami partii komunistycznej i jej satelitów w armii, monopolizującymi związki zawodowe, lokalną administrację i prasę. Nie można również zgodzić się z bezkrytyczną

nadzieją, że „uznanie wolności religijnej” przez komunistów sprzyjać będzie „rozwojowi demokracji socjalistycznej” i „konsolidacji pokoju”. Nie chodzi tu wyłącznie o „wolności religijne” i nie można na tym poprzestać, a rozważania nad rzekomą „demokracją socjalistyczną” lepiej pozostawić ekspertom i ludziom stamtąd. „Ani ultimatum, ani kapitulacja” wobec reżymów komunistycznych — konkluduje studium, apelując do komunistycznych władców o poszanowanie wymogów religijnych i ogólnonarodowych, a do wiernych o niepodważanie zaufania do wysiłków Kościoła zmierzającego do normalizacji stosunków „za wszelką cenę” i „rozwiązania sporów z przywódcami komunistycznymi Europy Wschodniej”.

Kwestionujemy zasadę i praktyczną przydatność aspiracji do regulowania sporów „za wszelką cenę”. Jest to sprzeczne *notabene* z poprzednimi twierdzeniami na temat limitów „częściowych układów”, zmierzających do stworzenia „przynajmniej minimalnych” warunków bytu Kościoła i wiernych. Omawiane studium zawiera więc niewątpliwie sprzeczności, prawdy niedopowiedziane lub przemilczane, ale jednak równocześnie pośrednie uznanie, że prawdziwą alternatywę „Ostpolitik” nie stanowi jakaś inna, hipotetyczna polityka, ale inna metoda, zgodna z „potęgą duchową”, jaką reprezentuje Rzymski Kościół Katolicki. Jeszcze rok temu nie byłoby do pomyślenia by obrońcy watykańskiej *Ostpolitik* dopuścili tę oczywistą prawdę. Zastanawiając się nad jej ogólnym bilansem i perspektywami u progu 1976 roku nie sposób pominąć wniosków, jakie nasuwa opis sytuacji panującej we wchodzących w jej zakres krajach. Oto krótki jej zarys.

Węgry

W centrum zainteresowania Stolicy Apostolskiej znajduje się kwestia dalszych postępów tzw. normalizacji, szczególnie zaś obsadzenia dwóch wakujących diecezji: stolicy prymasowskiej w Esztergom i Győr, zarządzanych przez administratorów apostołskich (pozostałe 10 diecezji — w tym dwie obrządku greckokatolickiego — mają mianowanych ordynariuszy w 1969, 1971 i 1974 r.). Większość biskupów rezydencjonalnych i sufraganów wywodzi się z Ruchu Pokoju Księży, po dziś dzień utrzymującego ścisłe kontakty z PAX-em i nie cieszącego się w związku z tym zaufaniem społeczeństwa. Na ten stan rzeczy Watykan nie może poradzić. Reżym Kadara nie ma większych kłopotów z unikaniem konfliktów z Kościołem i dąży do zachowania *status quo*; dozując koncesje i ignorując biskupów, woli w spornych sprawach bezpośrednio rozmowy z dyplomacją watykańską. Podczas niedawnego pobytu w Rzymie, po wizycie u Papieża, premier Węgier uczynił nawet aluzję do nawiązania stosunków dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską. Episkopat węgierski, trwożliwy i pozbawiony wybitnych indywidualności, nie posiada określonej

koncepcji odnośnie misji i zadań Kościoła w nowych warunkach (długotrwały azyl kard. Mindszenty w ambasadzie USA przyniósł niewątpliwie istotne szkody — choć może jeszcze za wcześnie na wydanie definitywnego sądu o tej kontrowersyjnej postaci). Trudno się dziwić, że w wytworzonej sytuacji w postawie biskupów święci triumf konformizm i powszechne są oportunistyczne deklaracje lojalności niektórych członków episkopatu wobec „socjalistycznego Państwa”.

Do wakującego* po zgonie kard. Mindszenty stanowiska prymasowskiego (i związanego z tym kapelusza kardynalskiego) pretendował bp Cserhati, ambitny i dobrze przez reżym widziany sekretarz konferencji episkopalnej (przewodniczącym jest abp Ijjas z Kalocsa, który w tym roku kończy 75 lat i prawdopodobnie poda się do dymisji). W wypowiedzi zamieszczonej w listopadzie ub. roku w piśmie *Vigilia* (wychwalanym przez prasę paxowską) operuje frazesami na temat „pluralizmu we współżyciu Kościoła i Państwa”, nawołuje do pogłębienia „trwającego od 30 lat dialogu, w którym marksiści są wartościowymi i rozumnymi partnerami”, do uznania „pozytywnej roli Kościoła w realizacji nowego humanizmu w socjalistycznej rzeczywistości” (!). W tym samym piśmie, kilka miesięcy przedtem, zamieścił bp Cserhati wyjątkowo nieuczciwy artykuł (rozpowszechniony na Zachodzie za pośrednictwem austriackiej agencji Kathpresse), w którym trudności, na jakie napotykał Kościół na Węgrzech bezpośrednio po wojnie, przypisuje „pogłoskom na temat okrucieństw popełnianych przez ZSSR” — przechodząc do porządku dziennego nad zsyłką do Rosji setek tysięcy obywateli węgierskich. Wyzwoleniu kraju przez Armię Czerwoną przypisuje położenie kresu ustrojowi feudalnemu i uwłaszczenie chłopów. Mija się z prawdą. Ponad pół miliona chłopów (na około 1,5 miliona) „uwłaszczonych” straciło po kilku latach ziemię w ramach przymusowej kolektywizacji i dzisiaj posiada (w najlepszym razie) tylko działkę przyzagrodową. Dalej daje wyraz optymizmowi, stwierdzając: „Człowiek pragnie wyzwolić się od niepewności i przymusu... Państwo socjalistyczne służy postępowi i dobrobytowi człowieka i dlatego wierni uważają 'klimat duchowy naszego kraju' za zdrowy”.

W zakończeniu artykułu b. kandydat na Prymasa przytacza bez komentarza oficjalną tezę: „Społeczeństwo winno być wyzwolone spod wpływu religii; stąd rozdział Kościoła i Państwa, co w zasadzie uznaje również sam Kościół” i dodaje: „w ciągu 30 lat Państwo obdarza Kościół coraz większym zaufaniem”. „Zaufanie” to polega na systematycznej kontroli (od nominacji proboszczów do naprawy budynków) Urzędu do spraw kościelnych i jego lokalnych agend. Lekcje religii — na które rząd wyraził zgodę dopiero półtora roku temu — napotykają na ingerencję administracji państwowej. Wszystko praktycznie zależy od „widzimisiej”

* 12 lutego br. ogłoszono Mgr Laszlo Lekai arcybiskupem Ezergonu i prymasem Węgier.

lokalnych instancji partyjnych. W tej sytuacji ostatnia, styczniowa wizyta w Budapeszcie negocjatora watykańskiego, mons. Poggi, miała jedynie charakter rozpoznawczy. Jak się wydaje, Stolicy Apostolskiej zależy przede wszystkim na przeforsowaniu nominacji biskupa dla duszpasterstwa emigracyjnego, spośród duchownych przebywających na uchodźstwie, który — podobnie jak w przypadku Polski — wszedłby w skład episkopatu węgierskiego.

Czechosłowacja: prześladowanie „diabelskie”

„Istnieje dziś prześladowanie, które mamy prawo nazwać diabelskim... Wrogowie chrześcijaństwa tolerują jedynie szczątki kościelnych struktur. Kościół bywa okaleczony i zniewolony w celu nadużywania go jako sojusznika w walce z Bogiem, oszukiwania wiernych i doprowadzania do rozpaczyny męczenników... Wierni spoza żelaznej kurtyny domagają się nie biskupów kompromisowych, przywiązanych do reżymu złotymi łańcuchami, lecz apostołów, oczyszczonych w ogniu doświadczeń, którzy głosić będą Ewangelię przykładem własnego życia... Próba polepszenia sytuacji Kościoła przy pomocy środków politycznych prowadzi wielu ludzi do niedoceniań środków nadprzyrodzonych, do duchowej rozterki”. Ten długi cytat z przemówienia Ojca Werfrieda van Straaten, dyrektora międzynarodowego ośrodka p.n. „Pomoc dla Kościoła Cierpiącego”, pasuje najściślej do sytuacji czechosłowackiej, gdzie uciemiężanie Kościoła jest szczególnie uporczywe. „Prześladowanie: czas próby i wciąż trwającego odkupienia” — pisze bp Hnilice S.J. w biuletynie słowackiego stowarzyszenia katolickiego „Pro Fratibus” („za naszych braci prześladowanych — za naszych braci ateistów” — brzmi motto tego stowarzyszenia, działającego w Rzymie, współpracującego stale z włoskim ośrodkiem jezuitów „Russia Christiana”, który wydaje różne publikacje i opracowania dokumentarne). W biuletynie numerze tego biuletynu zamieszczono opis smutnej historii zakonnice ze Sterlic koło Brna — jednego z setek przykładów opresji, bezwzględnej i wyjątkowo przewrotnej. Po uzyskaniu wszelkich niezbędnych zezwoleń, zakonnice te, dzięki darom zagranicznym, zaczęły w 1970 roku budowę nowej siedziby o 45 izbach. Mimo, że siostry przystąpiły do spółdzielni mieszkaniowej (inaczej bowiem nie byłoby mowy o zezwoleniu) i pokryły w całości koszt budowy, po upływie dwóch lat ukończony niemal budynek opieczętowano. Niszczą przez trzy lata. Na jesieni ub. roku zakonnice wykluczono ze spółdzielni, budynek wartości 7 milionów koron skonfiskowano i przydzielono... komitetowi dzielnicowemu. Protesty zakonnice nie odniosły żadnego skutku. Miejscowy funkcjonariusz partii oświadczył wprost, że ustawy o wolności religii i równouprawnienie gwarantowane przez Konstytucję nie mają w tym wypadku zastosowania.

W Czechosłowacji nie tylko nie widać żadnych prześladowań

zmiany na lepsze, ale przeciwnie nastąpiło nawet zaostrenie walki z religią.

Przeszło dwa lata temu Stolicy Apostolskiej udało się obsadzić 5 diecezji (na 12) biskupami w większości skompromitowanymi przynależnością do organizacji satelickiej „Pacem in terris”. Stolica Apostolska woli obecnie przeczekać, a raczej odwlec dalsze nominacje, niż pozwolić narzucić sobie kandydatów wygodnych partii i przez nią manipulowanych.

Rumunia: przewlekła agonia

Katolicy są tolerowani w Rumunii jako „Kościół mniejszości narodowych” (ok. 1,3 miliona Węgrów i Niemców). W 1965 i 1971 roku rząd wyraził zgodę na mianowanie dwóch biskupów. Paweł VI przyjął w maju 1973 roku prezydenta N. Ceausescu. Na początku ub. roku mons. Poggi udał się do Bukaresztu, ale nic z tej wizyty nie wynikło. Dwie diecezje (w tym bukareszteńska) pozostają nadal nieobsadzone. Rumuńscy grekokatolicy (unicy), których liczba — według statystyk z wczesnych lat powojennych — wynosi ok. 2-ch milionów, po pseudo-synodzie w Cluj (1948 r.), zostali przymusowo wchłonięci przez Autokefaliczną Cerkiew Prawosławną. W następnych latach przeszli ciężkie prześladowania i dziś usiłują przetrwać w podziemiu. Partia rumuńska — autonomiczna w polityce zagranicznej i super-stalinowska na wewnątrz — zmierza do utrzymania na odcinku kościelnym *status quo*, co w praktyce oznacza dążenie do stopniowej eksterminacji katolicyzmu. Dyskryminacja dotyczy wszelkich środków i form działania, które mogłyby się przyczynić do przetrwania Kościoła, nie mówiąc już o jego swobodnej ekspansji. Oto kilka przykładów. Pewien proboszcz we wrześniu ub. roku wywiesił na bramie kościoła tekst Deklaracji Praw Człowieka ONZ, by poinformować wiernych, że mogą bez obawy spełniać praktyki religijne. Zmuszono go do usunięcia tego tekstu, a na uwagę, że przecież wolność religii jest oficjalnie zagwarantowana, usłyszał odpowiedź: „Obwieszczenie ustaw i układow międzynarodowych należy do zadań Państwa, a nie Kościoła”. Tylko najbardziej uświadomieni katolicy ośmielają się posyłać dzieci na naukę religii (raz w tygodniu w godzinach pozaszkolnych). W lekcjach tych nie wolno uczestniczyć dzieciom nauczycieli, urzędników państwowych i członków partii. Wykładowcy nie mogą posługiwać się pomocami szkolnymi, jak podręczniki, ryciny, tablice. Dzieciom nie wolno robić notatek, a wykładowcom nie wolno pytać uczniów czy dobrze zrozumieli wykład. Poza lekcjami religii duchownym nie wolno informować kandydatów do katechizacji, sakramentów lub służenia do mszy św. Kościół katolicki nie posiada prasy i nie otrzymuje pozwoleń na druk książek. 60 % księży przekroczyło 50 lat, otrzymują oni niewielką pensję, ale nie otrzymują emerytur. Zakony zostały zniesione, kontroluje się jednak wciąż, czy przypadkiem ich członkowie nie współżyją w nielegalnych skupiskach. Każdy obywatel jest obowiązany do

składania policji raportu na piśmie w 24 godziny po rozmowie ze spotkanym cudzoziemcem. To zarządzenie jest szczególnie ściśle przestrzegane w stosunku do duchownych.

Ukraina: Patriarchat jest faktycznie uznawany

Russia Christiana i katolicki dziennik *Avvenire* podały szczegóły barbarzyńskiego mordu dokonanego przez KGB na osobie grekokatolickiego duchownego z Drohobycza, Mychajło Łuckija (wiadomość tę, która doszła tutaj we wrześniu ub. roku podałem w *Kulturze* nr 11/338). Łuckij był trzykrotnie upominany za katechizację i udzielanie sakramentów, co jest traktowane jako działalność nielegalna. Na odprawianie nabożeństw potrzebne jest specjalne zezwolenie, udzielane tylko wówczas, gdy nieliczni duchowni odprawiają je w obrządku łańcimskim (grekokatolicki, czyli unicki, został — przypominam — zlikwidowany po pseudo-synodzie w 1945 roku i przymusowo wchłonięty przez Cerkiew Prawosławną). Łuckij kontynuował swoje obowiązki duszpasterskie mimo świadomości niebezpieczeństwa. 30 stycznia ub. roku zjawił się u niego dwóch cywilnych funkcjonariuszy KGB pod pretekstem wezwania do obłożnie chorego. Łuckija powieszono w pobliskim lesie, pozorując samobójstwo: włożono mu do kieszeni kartkę, w której przyznaje, że popełnia samobójstwo pod wpływem lektury Biblii. Nikt w to oczywiście nie uwierzył.

Coraz częściej dochodzące, wiarygodne informacje o prześladowaniach katolików w ZSSR i równoczesne ożywienie religijne prawosławia i innych wyznań chrześcijańskich oraz rozgłos, jaki prasa światowa nadała sprawie ks. Łuckija, przyczyniły się zapewne do pewnych oznak bardziej pozytywnego stanowiska Stolicy Apostolskiej w odniesieniu do postulatów Katolickiego Kościoła Ukraińskiego. Tymczasem chodzi o różne gesty życzliwości, ale gesty mają w praktyce watykańskiej zazwyczaj głębszy sens. W „Świętej wieczerzy”, wigilii Bożego Narodzenia, obchodzonej przez katolików ukraińskich według kalendarza juliańskiego (6 stycznia), uczestniczyło w tym roku dwóch monsignorów z Kurii Rzymskiej: kanclerz Kongregacji do spraw kanonizacji i przedstawiciel Sekretariatu Stanu. Gościem kardynała Slipyja był również mons. Paolis Jatulis, wicerektor kolegium litewskiego w Rzymie, autor wielu prac z zakresu problematyki i dziejów Unii. Polonię rzymską reprezentował, tak jak w ub. roku, O. Feliks Bednarski O.P., profesor uniwersytetu „Angelicum”, oraz wasz korespondent. W przemówieniu innego gościa watykańskiego, młodego wykładowcy papieskiego uniwersytetu „Urbaniana” („Pro Fide”), zabrzmiały tym razem nowe i mocne akcenty w odniesieniu do żywotności i wkładu Ukraińskiego Kościoła Katolickiego do ogólnego dziedzictwa Kościoła Powszechnego (sprawdzian zmian, jakie w ostatnich miesiącach zaszły w watykańskiej strategii wobec komunizmu). O. Bednarski, zwracając

się do czcigodnego Patriarchy, dał wyraz przekonaniu o konieczności kontynuowania starań o dalszy postęp na drodze do lepszego wzajemnego zrozumienia i współpracy polsko-ukraińskiej, podkreślając że stanowisko to reprezentuje m.in. zespół *Kultury*. Również i w nastawieniu szerokich kręgów ukraińskiej diaspory (zwłaszcza wśród katolików) zachodzi ewolucja, przełamująca obsesyjne często rozdrapywanie gojących się ran i stare urazy. Właśnie Kościół katolicki, jego hierarchia i duchowni, wydają się najbardziej powołani (i jeśli chodzi o stronę ukraińską — są tego świadomi) do doprowadzenia do decydującego przełomu w stosunkach polsko-ukraińskich. Członkowie ukraińskiej katolickiej elity kulturalnej, zgrupowani wokół lokalnych stowarzyszeń „Za Patriarchat” (zrzeszonych w światowej federacji) nie uważają się na ogół ani za „banderowców”, ani za „melnykowców”. Spory w łonie emigracji ukraińskiej pomiędzy różnymi tradycyjnymi odłamami nacjonalistycznymi, epigonami Bandery, Konowalca czy Melnyka, nie znajdują odbicia w stosunku duchownych i świeckich katolików wobec hierarchii kościelnej i znakomita ich większość uznaje kardynała Sliipyja jako Patriarchę, zwłaszcza od czasu zeszłorocznej lipcowej pielgrzymki do Wiecznego Miasta, kiedy tę godność uroczyście potwierdzono. Nie należy więc przykładać do kontrowersji wewnątrzkościelnych (za lub przeciw Patriarchatowi) miary ocen sporów politycznych (już dziś *nota-bene* coraz bardziej wygasających). Ignorowanie tego faktu wywołuje nieporozumienia. Na przykład niedawno doszło w Anglii do manifestacji Ukraińców (ze zrywaniem nabożeństw włącznie) przeciwko miejscowemu biskupowi a na rzecz kardynała Sliipyja. Ponieważ większość tamtejszych Ukraińców — słusznie czy niesłusznie — uchodzi za znajdujących się pod wpływem „banderowców”, niektórzy zrozumieli tę akcję przeciwko biskupowi jako poparcie kardynała Sliipyja przez skrajnych nacjonalistów. Trzeba tę rzecz wyjaśnić. Biskup Horniak (Rusin z Jugosławii, nazywany przez wiernych „Rusnakiem”), mianowany bez konsultacji ze Sliipyjem i Synodem ukraińskim, należy do garstki lojalistów nie tyle w stosunku do Stolicy Apostolskiej ile do Kongregacji dla Kościołów Wschodnich. Tylko on jeden z hierarchii ukraińskiej zajął publicznie negatywne stanowisko wobec patriarchatu. Ignorując postawę znakomitej większości wiernych i duchowieństwa, ogłosił list przeciwko patriarchatowi ukraińskiemu, określając tę godność jako „samozwańczę” i zobowiązując duchownych do zastosowania się do jego stanowiska (dwóch nieposłusznych zwolnił nawet z funkcji duszpasterskich). Biskup nie miał racji, a jego list wywołał powszechnie wzburzenie. Biskup się przeliczył — nie przewidział jakoby tak ostrej reakcji wiernych. Kardynał Sliipyj odpowiedział na ten wyskok biskupa zwracając się do duchowieństwa i wiernych bez wdawania się w polemikę z biskupem. List Kardynała, w oparciu o argumentację prawną i motywację opartą na faktach, wyjaśnił co stanowi istotę patriarchalnego ustroju ukraińskiego Kościoła greckokatolickiego, związanej unią z Rzymem.

Definitywne ustanowienie Patriarchatu uniemożliwiają nie względy katoniczne, moralne czy duszpasterskie lecz czysto polityczne — obawa o niedrażnienie Moskwy. Taki był sens listu kard. Sliipyja, który przyczynił się do uspokojenia wzburzonej opinii publicznej. Miarodajna gazeta angielska *Catholic Herald* nasświetliła tę sprawę bardzo obiektywnie i zgodnie z oceną miarodajnych przedstawicieli ukraińskich sfer kościelnych w Rzymie. „Możecie modlić się za waszego Patriarchę” — stwierdził ostatnio nawet abp Brini, uważany od lat za zatwardziałego przeciwnika patriarchatu ukraińskiego. Dowodzi to, że Kongregacja dla Kościołów Wschodnich, w której stanowisko sekretarza od dawna piastuje Brini, uznaje prawowitość urzędu i godności patriarchy w ramach liturgii, aczkolwiek wciąż zaprzecza jego kanonicznej słuszności i dlatego przeciwstawia się używaniu tego tytułu w oficjalnych dokumentach kościelnych. Jeszcze rok temu Brini nie byłby skłonny do ustępstw, jakie czyni dziś, prawdopodobnie pod wrażeniem oświadczeń złożonych tejże Kongregacji przez bp. Praszko z Australii (por. „Kronika ukraińska” — *Kultura* nr 12/339), a może też — jak mi powiedział pewien świątły jezuita — „poczuł że wieje inny wiatr” (*tira oggi un'altra aria*).

Należy na zakończenie sprecyzować, że praktycznie jedyną, lecz zwartą, opozycję przeciwko patriarchatowi stanowią ukraińscy Bazylianie (bp Horniak należy właśnie do tego zakonu), starający się przestrzegać ugodowej linii w stosunku do Watykanu, tzn. praktycznie biorąc do Kongregacji dla Kościołów Wschodnich. Odnosi się wrażenie, że stają się tym samym narzędziem dywersji służącej interesom Moskwy. Byłby to ciężki i być może niesłuszny zarzut i dlatego wypada zainteresować stronę inkryminowaną — rzymską centralę bazylianów — w myśl zasady *audiat et altera pars* (zamierzam to uczynić w najbliższym czasie). Wracając do bazylianów — tutejsi znawcy wschodniej problematyki kościelnej twierdzą, iż rozbieżności między nimi a hierarchią ukraińską popierającą kard. Sliipyja, wynikają z faktu, że bazylianie są zbyt „rzymscy”, tj. dążą do zbliżenia — za wszelką cenę — z Kościołem rzymskokatolickim. W praktyce tendencja ta polega na zacieraniu granic pomiędzy obrządkiem łacińskim a bizantyjskim. W konsekwencji może to więc grozić Kościołowi ukraińskiemu sprowadzeniem do wymiarów szcztątkowych, tak jak to miało miejsce w przypadku Kościołów wschodnich na Bliskim Wschodzie. Trudno się dziwić, że bazylianie mają niewiele zwolenników wśród duchowieństwa i świeckich kręgów narodu ukraińskiego.

Litwa: martyrologia trwa

Legenda ludowa głosi, że na górze świętych krzyży, w pobliżu Siauliai*, na miejscu tysięcy krzyży niszczonej przez czas

* Po polsku — Szawle — pojezierze żmudzkie.

wciąż wyrastają nowe. Mimo nieustannych represji i strat w ludziach opór rośnie i na miejsce ofiar prześladowań pojawiają się nowi bojownicy. Kościołowi odmawia się zezwoleń na druk książek do nabożeństwa czy katechizmów, a jednocześnie podczas kampanii ateistycznej, w pierwszym semestrze ub. roku, rozdano za darmo w Wilnie i Kownie dwa miliony egzemplarzy broszur antyreligijnych i pół miliona egzemplarzy tzw. „Podręcznika młodego ateisty”. Nie ustają aresztowania, procesy, deportacje do łagrow, a nawet mordy kapturowe.

A oto opis jednego z licznych procesów przeciwko wydawcom i kolporterom *Kroniki*. Bohaterem jest tym razem młoda kobieta, Nijolė Sadunaitė, skazana w czerwcu ub roku przez Sąd Najwyższy w Wilnie na 3 lata łagru i 3 lata zesłania. Sąd w tym samym składzie 12 grudnia ub. roku skazał rosyjskiego biologa, Siergieja Kowaliowa, przyjaciela Sacharowa i członka moskiewskiej sekcji Amnesty International, obrońcę katolików litewskich, na 7 lat łagru i 3 lata zesłania. Taki sam mechanizm procesowy był zastosowany w sprawie młodej kobiety, oskarżonej o przepisywanie na maszynie i kolportowanie *Kroniki*. Podobnie jak Kowaliow, po odmowie dopuszczenia wybranego adwokata, odrzuciła obrońcę z urzędu. W pierwszym dniu rozprawy oświadczyła m.in.: „Ponieważ to nie ja jestem winna, lecz wy, którzy łamiecie podstawowe prawa człowieka, zagwarantowane przez naszą Konstytucję i Powszechną Deklarację Praw Człowieka, którzy upowszechniacie kłamstwo, przymoc i po oszkalowaniu i skazaniu niewinnych torturujecie ich w łagrach i więzieniach psychiatrycznych — nie odpowiem na żadne pytanie sądu, tak jak to uczyniłam w śledztwie, protestując w ten sposób przeciwko temu procesowi”. W ostatnim słowie oskarżona powiedziała: „Dzięki Bogu nie wszyscy ludzie ugięli się. Nie posiadamy w społeczeństwie poparcia ilościowego, ale jakoś jest po naszej stronie... Przypaść mi w udziale los godny pozazdrosczenia i chwalebny: nie tylko walka w obronie praw człowieka i sprawiedliwości, ale nawet skazanie za tę przewinę. Przykro jedynie, że tak mało mogłam dać z siebie. Z radością jednak podążę w niewolę za wolność innych ludzi i gotowa jestem oddać za nich życie”. Wyrok skazujący na łagier i zesłanie zawierał również postanowienie o konfiskacie maszyny do pisania. Natychmiast po wyroku skazaną wywieziono do łagru w Mordwińskiej *obłasti*.

Ten sam numer *Kroniki* zawiera również pismo biskupa Stefanovicusa, administratora apostolskiego w Wilnie, przebywającego od kilku lat na wygnaniu w Żagarach, do Rady Ministrów S. R. Litewskiej, domagający się przerwania długotrwałego milczenia na temat powodów usunięcia go z zarządzania diecezją i protestujący przeciwko jaskrawemu pogwałceniu praw ludzkich i religijnych. Ostatni numer *Kroniki* zawiera, jak zwykle, wiele danych dotyczących rusyfikacji szkolnictwa i metod zwalczania katechizacji młodzieży oraz wiadomości z poszczególnych diecezji.

Co na to Stolica Apostolska? Podobno wzmogły się ostatnio przygotowania do normalizacji administracji kościelnej na Litwie. Archidiecezja wileńska i trzy diecezje, Tyłża, Wyłkowyszki i Koszedary oraz *prelatura nullius* w Kłajpedzie, są nieobsadzone. Dwaj biskupi, pozbawieni praw (*impediti*) i wydaleniem ze swych siedzib, przebywają na wygnaniu (wspomniany wyżej bp Stepanovicus i bp Sładkevicius z Koszedar). Jedyne dwie stolice diecezjalne mają biskupów-ordynariuszy: Kowno, gdzie 90-letni bp Labukas posiada biskupa-sufragana, oraz Poniewież. Nadeszły w tych dniach z Wilna wieści o mającej jakoby wkrótce nastąpić wizycie mons. Casaroli. Pogłoska ta wywołała duży niepokój. Katolicy litewscy obawiają się aby władze nie „wykołowały” Casarolię, narzucając własnych kandydatów na wakujące stanowiska kościelne. Władze państwowe rzekomo byłyby skłonne uczynić koncesję na rzecz Watykanu, zezwalając na dożywotni wyjazd na Zachód dwóch biskupów pozbawionych diecezji. Trudno w tej chwili sprawdzić czy i w jakim stopniu te wieści odpowiadają aktualnej rzeczywistości watykańskiej.

Polska: „*un caso specifico*”

Różne miarodajne opinie przedstawiciele Stolicy Apostolskiej wyłączają Polskę (określaną jako przykład nietypowy — „*un caso specifico*”) z analizy cieni „Ostpolitik”, ponieważ sytuacja Kościoła w naszym kraju jest diametralnie różna od sytuacji w innych „demoludach”. Nie oznacza to oczywiście, że w PRL są same blaski — cieni jest jednak bez porównania mniej — przede wszystkim dzięki spistości episkopatu i solidnym strukturom kościelnym. Nie udało się dotąd reżymowi narzucić własnych kandydatów na biskupów. Przebieg uciążliwych zmagania o obsadzenie metropolitalnej stolicy wrocławskiej dowodzi najlepiej, że przy zgranych wysiłkach Stolicy Apostolskiej i miejscowej hierarchii kościelnej można uczynić zadość zasadzie „biskupi wybierają biskupów”. Reżym warszawski przez niemal dwa lata stosował grę na zwłokę, odrzucał jedno „terno” po drugim (trzech kandydatów przedstawionych do aprobaty, czego w zasadzie Watykan nie uznaje, ale milcząco tolerował), próbował forsować kandydatury nie wysuwane przez episkopat. W końcu ustąpił, licząc się zarówno z ewentualnością mianowania przez Watykan administratora apostolskiego (co sygnalizowałem rok temu, a co równałoby się nawrotowi do prowizorium, stanowiąc prezent dla „rewanżystów” niemieckich), oraz ze zbliżającym się terminem VII Zjazdu PZPR, co wymagało zakończenia wojny nerwów, przynajmniej na tym odcinku. Zgoda na nominację bp. Henryka Gulbinowicza, dotychczasowego administratora apostolskiego w Białymstoku, nastąpiła na początku listopada ub. roku. Ogłoszono tę decyzję dekretem papieskim dopiero po upływie dwóch miesięcy — 7 stycznia bież. roku. Do stanowiska metropolity wrocławskiego przywiązana jest godność kardynalska, ale nie wia-

domo czy nowy arcybiskup otrzyma ją na najbliższym, czy też na następnym Konsystorzu.

Istnieje też inna interpretacja nominacji bp. Gulbinowicza — będąca dla wszystkich kompletnym zaskoczeniem. W kościelnych kołach litewskich w Rzymie (oraz w pewnych gabinetach zagranicznych, interesujących się „kuchnią” watykańskiej *Ostpolitik*) panuje pogląd, że nominacja ta jest wynikiem przetargu: za załatwienie tej sprawy Watykan miałby zobowiązać się do uregulowania statusu diecezji wschodnich, tj. do położenia kresu dotychczasowego stanowi prowizorium organizacji kościelnej na terenach przygranicznych PRL. Chodzi tu o skrawki archidiecezji wileńskiej, diecezji pińskiej i archidiecezji lwowskiej, zarządzanych dotąd przez administratorów apostołskich w Białymstoku, Drohiczynie i Lubaczowie. W kołach litewskich twierdzi się ponadto, że Moskwa wywarła nacisk na Warszawę, aby pozbyć się bp. Gulbinowicza i doprowadzić do likwidacji administracji apostołskiej z siedzibą w Białymstoku. Pierwsza wersja nie wydaje się prawdopodobna i przecenia rolę Watykanu w rozstrzygnięciu sprawy nominacji ordynariusza we Wrocławiu. Determinujący wpływ na tę nominację miał polski episkopat, a nie Stolica Apostolska. Drugiej wersji nie można co prawda odmówić pewnych cech prawdopodobieństwa, wykluczając jednak rzekomo planowane przez Moskwę konsekwencje. Sprawa uregulowania statusu części diecezji wschodnich, położonych na obszarze PRL, nie jest prosta i wymaga negocjacji z Moskwą w celu równoczesnego utworzenia nowych diecezji, względnie określenia nowych granic diecezji istniejących na zachodnich granicach ZSSR wraz z nominacją biskupów ordynariuszy. Moskwa odrzucała dotąd nie tylko wszelką myśl o rokowaniach zmierzających do tego celu, ale również watykańskie postulaty, dotyczące odsadzenia wakujących diecezji na Litwie i mianowania biskupa dla Białorusi. W Warszawie dobrze wiadomo, że zachodzi *iunctim* pomiędzy kwestią zniesienia prowizorycznej administracji kościelnej na terenach wschodnich a sprawą uregulowania struktur kościelnych na zachodnich rubieżach ZSSR. Nic nie wskazuje na to, by Moskwa wykazywała skłonność do zmiany stanowiska.

Po rozwiązaniu węzła wrocławskiego dalsze zasadnicze kwestie, wymagające rozwiązania — ustalenie nowych form mianowania ordynariuszy, prasa katolicka i dostęp do mass-media, status wyższych uczelni katolickich, katechizacja i duszpasterstwo pozaszkolne itp. — będą omawiane zapewne dopiero w marcu lub kwietniu br.



Osservatore Romano i Radio Watykan nadały duży rozgłos zarówno „Memoriałowi 59-ciu” jak i komunikatowi Rady Głównej episkopatu polskiego z 9 stycznia bież. roku, ujawniającemu skierowanie memorandum do sejmowej komisji nadzwyczajnej, przygotowującej projekt ustawy o zmianie Konstytucji. Pierwsze uwagi krytyczne na temat „tez przedjazdowych” anonsujących

poprawki do Konstytucji, episkopat przedłożył władzom PRL już w listopadzie ub. roku. Dziennik watykański i radio pokreśliły, że twarde stanowisko biskupów polskich w tej materii „zmierza do obrony nie tylko zakresu autonomii Kościoła, ale również i instytucji społecznych oraz osób nie należących do partii komunistycznej i nie identyfikujących się z jej stanowiskiem”. Szczególny rezonans miały również w Wiecznym Mieście trzy kolejne kazania Prymasa Polski w kościele Św. Krzyża w Warszawie (11, 18 i 25 stycznia br.), poświęcone „zabezpieczeniu prawa do wolności Kościoła i Narodu w zapowiedzianej rewizji Konstytucji PRL”. *Osservatore Romano* zamieścił obszernie fragmenty tych wystąpień.

Oprócz dwóch memorandumów episkopatu i wystąpień Prymasa, należy odnotować kazania wygłoszone w katedrze na Wawelu przez kardynała Wojtyłę, które w tych dniach były również cytowane przez prasę i radio Watykanu.

Możliwie wyczerpujące zaznajomienie się z pozycją episkopatu w sprawie zmian Konstytucji jest nie tylko pożądane, ale i konieczne. Analogie merytoryczne tego stanowiska (nie tylko w czasie) z licznymi inicjatywami krajowych środowisk intelektualnych i społecznych nie ulegają wątpliwości. W świetle tych faktów dziwić się należy pewnym nieprzemysłanym i nieodpowiedzialnym wystąpieniom, nielicznym co prawda, organów prasy emigracyjnej (jak np. *Narodowiec* z 20. I. br.) insynuującym iż „Memoriał 59-ciu” stanowi inicjatywę popieraną przez partię.

Niezależnie od tego jaką ostateczną postać przybiorą projektowane zmiany Konstytucji — wystąpienia episkopatu polskiego warunkować będą dalszy przebieg rozmów między Kościołem i Państwem oraz między Stolicą Apostolską a władzami PRL. Losy watykańskiej *Ostpolitik* ważą się dziś na odcinku polskim (od jej osiągnięć lub niepowodzeń zależeć będzie wciąż wyglądana istotna poprawa gdzie indziej).

Dominik MORAWSKI

Pisane 1-3 lutego 1976 r.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

W połowie lutego, w chwili kiedy piszę ten przegląd, prasa sowiecka świętuje zwycięstwo — zwycięstwo w Angoli. Pół roku minęło od podpisania w Helsinkach dokumentu gwarantującego sowiecką hegemonię w Europie, a polityka „odprężenia” wydała swoje pierwsze owoce. Ofensywa komunistów w Portugalii nie dała rezultatu, natomiast w byłej kolonii portugalskiej wyniki są oczywiste. Związek Sowiecki pokazał Amerykanom jak należy prowadzić wojnę z dala od swego terytorium: bez jednego dnia przerwy płynął do Angoli potok broni sowieckiej, jednocześnie przybywali instruktorzy i Kubańczycy, którzy tym razem stali się mięsem armatnim Moskwy. Jednocześnie — w tym samym czasie — Moskwa prowadziła bezwstydną akcję dyplomatyczną przeciwko „południowoamerykańskim najemnikom” i ich „chińskim pomocnikom”. Interwencja sowiecka była i jest nadal przedstawiana jako akcja humanitarna, jako wypełnienie Karty Narodów Zjednoczonych.

„Wiadomo całemu światu — oświadczył komentator *Prawdy* (1. 2. br.), że Związek Sowiecki nie szuka w Angoli ekonomicznych, wojskowych czy innych korzyści. Ani jeden sowiecki człowiek nie walczy z bronią w ręku na ziemi Angoli”. Ta formuła „ani jeden sowiecki człowiek nie walczy z bronią w ręku na terytorium Angoli” została spreparowana według znakomitej recepty Lenina: formalnie prawdziwa — w rzeczywistości kpiny.

Wszystko to, co Kissinger uznał w odpowiedzi za możliwe, wielokrotnie zostało powiedziane w 1939 roku przez angielskich i francuskich dyplomatów, z założonymi rękami obserwujących akcję Hitlera. „Po raz pierwszy — oświadczył Kissinger — Związek Sowiecki prowadzi działania wojenne z wielkiej odległości, w celu narzucenia wybranego przez siebie reżymu. Po raz pierwszy Stany Zjednoczone nie zareagowały na działania wojenne Związku Sowieckiego poza sferą jego wpływów”. I jedyne, co uznał za możliwe powiedzieć Kissinger, to nieśmiało: „Rząd Sta-

nów Zjednoczonych uważa za swój obowiązek wyraźnie przestrzec Związek Sowiecki i Kubę, że Angola nie będzie precedensem i tego rodzaju działania nie będą w przyszłości dopuszczalne”.

Prawda odpowiedziała na to twardo i zdecydowanie: „Nasz kraj i Kubę oskarżacie o 'ekspansję' — p. Kissinger oświadcza, że rzekomo ma ona miejsce tam, gdzie ani ZSSR, ani Kuba 'nie mają żadnych historycznych interesów'. Jeśli idzie o ekspansję — jest to nieprawda, jeśli zaś mówi się o prawach historycznych, to istnieją one nie w tym aspekcie, o którym myśli Sekretarz Stanu USA, a w aspekcie całkowitego i konsekwentnego poparcia przez Związek Sowiecki walki narodów o wolność i niepodległość”.

Komentarze są tu zbyt liczne: gdzie zaczyna się walka narodów — tam Związek Sowiecki już zawczasu ma „prawa historyczne”.

Zwycięstwo Związku Sowieckiego w Angoli zmusiło do zastanowienia się nawet najbardziej zaangażowanych stronników *détente*. Z ciekawym przyznaniem wystąpił wpływowy w amerykańskich kołach rządowych dziennikarz, Wiktor Zorza. „Wczoraj myślałem — pisze — że należy pomagać 'gołębiom' w Kremle... Jestem jednym z tych, którzy przez wiele lat twierdzili, że strategiczne i wojenne siły Związku Sowieckiego są niczym innym jak usprawiedliwioną reakcją na przewagę amerykańską... Jestem jednym z tych, którzy twierdzili, że USA powinny iść na ustępstwa w czasie pertraktacji z ZSSR w sprawie zbrojeń”. Wiktor Zorza pouczał kierowników polityki zagranicznej państw zachodnich, opierając się na teorii walki „gołębi” z „jastrzębami”, istniejącej na Kremlu, walki której ślady znajdował w sowieckiej prasie. Łatwo sobie przedstawić homeryczny śmiech, którym w Moskwie przyjmowane są te wszystkie historie o kremlewskich „gołębiach” i „jastrzębiach”, systematycznie pojawiające się w zachodniej prasie. „Specjalistom”, dla których Związek Sowiecki jest takim samym krajem jak — powiedzmy — Francja czy Stany Zjednoczone, z tą jedynie różnicą, że jest w nim większy porządek — Moskwa chętnie podrzuca materiał. Na przestrzeni ostatnich trzech miesięcy pisano w *Izwiestiach*, że ZSSR gotów jest zgodzić się na rząd koalicyjny w Angoli, a w *Prawdzie* — że ZSSR nie wyraża zgody na rząd koalicyjny. A potem odwrotnie: w *Prawdzie* — za, a w *Izwiestiach* — przeciw. Komentatorzy zachodni i kierownicy polityki zagranicznej kurczowo chwytali się nadziei na zwycięstwo „gołębi”. Zresztą w swym ekspiacyjnym artykule Wiktor Zorza wzdycha na zakończenie: „Być może Zachód powinien być pójsć na duże ustępstwa wobec Breżniewa, po jego pierwszym spotkaniu się w Nixonem...”. Być może... Wtedy niewątpliwie wszystko potoczyłoby się znacznie szybciej.

Trudno oczywiście przewidzieć jak potoczą się wypadki w Angoli po zakończeniu wojny. Ale pewne pojęcie o przyszłości daje korespondencja z LRK, zamieszczona w sowieckim dwutygodniku młodzieżowym *Smienna* (nr 10/1975). LRK łatwo rozszyfrować — Ludowa Republika Kongo. Prasa zachodnia normalnie dodaje: Kongo — Brazzaville. Korespondencja z LRK jest tym ciekawa,

że gdyby nie fotografie, na których mieszkańcy Ludowej Republiki Kongo mają zbyt ciemny kolor skóry, to można by pomyśleć, że jest mowa o okręgu rizańskim, albo o Polskiej Republice Ludowej. Korespondenta *Smieny* spotyka sekretarz KC-ZKMS, co oznacza KC Związku Kongoleskiej Młodzieży Socjalistycznej i cytuje mu słowa przewodniczącego KC KPP (tj. Kongoleskiej Partii Pracy), który jest jednocześnie prezydentem LRK, a który podkreśla, że „nie ma socjalizmu afrykańskiego ani kongoleskiego. Jest tylko jeden socjalizm — naukowy, marksistowsko-leninowski”. Pierwszy sekretarz komitetu obwodowego partii oświadczył, że Związek Kongoleskiej młodzieży Socjalistycznej jest „rezerwą partii, kuźnią kadr”. Jego głównym zadaniem jest: „wychowanie młodzieży w duchu marksizmu-leninizmu, patriotyzmu i proletariackiego internacjonalizmu”. Rozpoczyna się uspołdzielnianie gospodarki rolnej, państwo kieruje maszyny rolnicze przede wszystkim do spółdzielni. Armia, która ma sowieckie tropikalne umundurowanie „jest oczyszczana z antypartyjnego elementu i opozycjonistów”. Słowa te są tak znajome, działalność tak normalna, że czytelnicy *Smieny* nie mają wątpliwości, że LRK to „nasz kraj”. Korespondent co prawda bardzo otwarcie wyjaśnia, że niektóre sprawy w LRK „nie wyglądają tak samo, jak u nas”. Obserwował on tańce młodzieży kongoleskiej: „Tańiec trwa nie 3-4 minuty, jak u nas, ale 15 minut, a nawet dłużej i dlatego przed zaproszeniem damy do tańca trzeba obliczyć swoje możliwości i ściśle ocenić kondycję sportową”. Krótko mówiąc: przedstawiciele młodzieży sowieckiej przekonali się, że w Kongo nie są oni tancerzami... Trzeba będzie trenować i w tej dziedzinie. Biorąc pod uwagę nasze sukcesy w innych dziedzinach, można mieć nadzieję...



Niedawno przeczytałem w *Miesięczniku literackim* dyskusję o współczesnej prozie sowieckiej, w której brali udział: Andrzej Drawicz i René Sliwowski — a pismo reprezentował Edward Pawlak. Dyskusja wywołuje dziwne wrażenie: dwóch specjalistów mówi o współczesnej literaturze sowieckiej, możliwe że nie mówią wszystkiego i nie zawsze tak, jakby chcieli (takie odniosłem wrażenie), a Edward Pawlak, reprezentujący rzecz jasna nie tylko pismo, ale i coś jeszcze, niezmiernie się boi, by Drawicz i Sliwowski nie powiedzieli czegoś, co mogłoby zaszkodzić pismu i jemu — Pawlakowi. Byłoby niewątpliwie ciekawe porozmawiać z uczestnikami tej dyskusji, ale zapewne byłoby im trudno odpowiadać. A. Drawicz całkowicie słusznie zaznaczył, że główną tematyką literatury sowieckiej jest tematyka wojenna i dodał, że „30-lecie zwycięstwa wywołało ogromną falę batalistycznych utworów”. Fala ta przecież zalała sowiecką literaturę już grubo przed jubileuszem. Krytyk sowiecki, Ju. Andriejew, pisze w książce „Nasza żyzn — nasza literatura (1974)”: „Setki i setki współczesnych utworów o wojnie i śmierci to niekończąca się i ros-

nąca groźna manifestacja w obronie pokoju”. Przytaczam ten cytat, aby pokazać że polscy literaturoznawcy muszą jeszcze długo się uczyć, by do końca opanować sowiecką dialektykę i pisać „literatura wojenna — groźna manifestacja w obronie pokoju”.

Polski i sowiecki literaturoznawca zgodzili się co do jednego: wojna jest głównym tematem literatury sowieckiej. Powstaje jednak pytanie — jakiej literatury wojennej? Wysoko ceniąc wiedzę i zawodową rzetelność A. Drawicza pozwolę sobie jednak powiedzieć, że popełnia on przy analizie literatury sowieckiej poważny błąd metodologiczny: szuka w niej wybitnych utworów. Dlatego też wymienia „Dzienniki wojenne” K. Simonowa, które były publikowane w podupadłym miesięczniku *Družba Narodow*, dlatego wymienia, oficjalnie uznaną za najlepszą powieść roku, „Bierreg” Ju. Bondarewa — uczciwie dodając: „Wybitna nie jako całość, ale we fragmentach” — wspomina scenę boju artylerii, którą Bondarew w swoich poprzednich książkach opisał już co najmniej dziesięć razy. Błąd metodologiczny A. Drawicza polega na tym, że szuka wybitniejszych utworów sowieckiej literatury wojennej, a należy szukać najważniejszych. Mnie osobiście wydaje się ważną tą tendencją współczesnej sowieckiej literatury wojennej, które głównymi bohaterami są wywiadowcy — współpracownicy SMIERSZU. Równie ważny wydaje mi się nie tylko bohater, ale i teren jego działalności i jego wrogość. W ostatnich latach teren działalności sowieckich wywiadowców przesunął się w okolice Zachodniej Ukrainy i Polski. A. Drawicz cytuje powieść Bogomołowa „W Awgustie 44-go...” (o której pisałem w swoim czasie), oceniając ją jako „odważną” i nie wyjaśniając co to znaczy. Ale powieść Bogomołowa to tylko przykład całego potoku książek na temat wywiadowców, prowadzących walkę w latach 1941-45 przede wszystkim z nacjonalistami ukraińskimi. Wystarczy wymienić książki Lwa Konstantinowa „Udar mieczom” i „Schwatka s nienawistiu” gdzie „sowiecka czekistka”, Maria Szewczuk, „przenika do samego legowiska burżuazyjnych najemników, krwawych przywódców ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego”. W powieści „Schwatka s nienawistiu” zwraca uwagę tematyka książki tj. werbunek prowadzony przez pułkownika MGB, „byłego setnika byłej UPA, Bój-Tura” tłumaczony przez autora jako linia „walki o człowieka”. Przemiana Bój-Tura w agenta MGB przedstawiona jest jako jego przemiana w „człowieka”.

W nr. 1 z 1976 miesięcznika *Mołodaja Gwardija* opublikowano „Zapiski armijskiego czekista” N. Biełousowa. Pismo przedstawia autora: „W latach wojny przeszedł on drogę od starszego 'opera' do naczelnika oddziału w kierownictwie SMIERSZ-u. Czytując tę charakterystykę trudno pozbyć się myśli, że jest niemożliwe wyobrazić sobie rosyjskie przedrewolucyjne pismo, w którym mówiono by o autorze: „Przeszedł drogę od starszego żandarma do naczelnika dyrekcji żandarmerii”. Michaił Artemiewicz Biełousow, obecnie generał-major KGB w stanie spoczynku, rozpoczyna swoje notatki bardzo prosto: „Batalionowy komisarz

Sienko po raz nie wiem który przeczytał raport. Nie może być wątpliwości, że i ksiądz Fyd i nauczyciel Bućko aktywnie zajmują się szpiegostwem". Akcja — jak to podkreśla autor — toczy się „w jednej z nowych prowincji sowieckiej Ukrainy". Dalej opowiada były „oper" jak czekiści walczyli z ukraińskimi nacjonalistami, a jednocześnie z niejakim oficerem sowieckim, Goldinym, który zaprzedał się niemieckiemu wywiadowi ponieważ był Żydem.

Przez 15 tygodni w 1975 roku (numery 37-52) tygodnik *Ogoniok* (nakład 2.030.000) publikował powieść Juliana Siemienowa pt. „Tretia karta". Nie wiem czy w literaturze sowieckiej istnieje bohater, który choć w przybliżeniu mógłby współzawodniczyć ze sławą Sztirlic — Maksyma Isajewa, nieuchwytnego wywiadowcy, bohatera pół tuzina powieści, wydanych w milionowych nakładach, pokazanych na ekranach kin i telewizji. W nowej powieści „Tretia karta" — Sztirlic — wysoko postawiony współpracownik Gestapo, pomocnik Schellenberga, udaje się do Polski, do Lwowa, celem śledzenia ukraińskich nacjonalistów. W powieści występują Bandera, Melnyk, Szuchewycz, Oberländer. Zadaniem autora jest wykazanie, że ukraińskiego nacjonalizmu nie było i być nie mogło, że istnieli jedynie agenci niemieccy. Do nich zalicza Ju. Siemienow również i głowę Kościoła greckokatolickiego, Metropolitę Szeptyckiego.

Znaczenie tej literatury polega — jak mi się wydaje — na tym, że oddaje aktualne troski partii i rządu. Jeśli dziś dziesiątki i setki książek demaskują nacjonalizm ukraiński, to nie jest to rzeczą przypadku.

Naczelnik Akademii MWD ZSSR, generał-lejtnant Siergiej Kryłow, oskarżył sowieckie środki masowego przekazu o demoralizację młodzieży sowieckiej, tłumacząc jej przestępczość tym, że „stale, przy pomocy środków masowego przekazu, pokazujemy naszej młodzieży egzotyczne obrazy życia bogaczy, „piękne" życie wielkopańskich próżniaków za granicą, gdzie stroje, wspaniałe samochody, wille, imponujące sceny polowań, jachty i inne atrybuty próżniaczego i pustego życia do tego stopnia oślepiają niedojrzałą świadomość подростка, że czasami przyjmuje to za rzeczywiste życie" — *Smienna* nr 15/1975. A więc winę ponoszą zachodnie filmy i literatura oraz „sowiecka masowa informacja, która je popularyzuje". To wyjaśnienie znakomicie pasuje do poziomu umysłowego i stanowiska naczelnika Akademii MWD. A. Sacharow podaje bardziej przekonujące wyjaśnienie przyczyn demoralizacji sowieckiej młodzieży i sowieckiego społeczeństwa. „Niedawno — pisze A. Sacharow — dużą grupę studentów-abiturientów rozlicznych WUZ-ów (ma się rozumieć komsomolców...) zwołano do Leningradu na miesiąc czasu. Karmiono ich i pojono obficie w najlepszych restauracjach, dostarczano wszelkich rozrywek a wszystko to bezpłatnie. W sumie czuli się jak pączki w maśle. A potem ich zapytano: chcielibyście zawsze tak żyć? To wstępujcie do WPSZ (Wyższa Szkoła Partyjna), tam naj-

mniej uzdolniony zostanie jako minimum — drugim sekretarzem rajkomu".

W końcu ub. roku *Litieraturnaja gazeta* zamieściła w dwóch numerach (47 i 48) sprawozdanie sądowe „Lekcja". Mówi się w nim o tym, jak grupa 15-letnich dziewcząt, wzorowych uczennic „w czarnych fartuszkach z białymi kołnierzykami" (jak wypada sowieckim uczennicom-komsomółkom) w bestialski sposób poabiła swoją koleżankę, tak że trzeba było ją przewieźć do szpitala. Zdarzenie to niewątpliwie nie byłoby tematem tak obszernego szkicu, gdyby nie fakt, że miało miejsce w jednym z powstałych w ostatnich latach „naukowych miasteczek", gdzie mieszkają naukowcy, twórcy rewolucji naukowo-technicznej, i gdyby nie to, że uczennice i uczniowie obserwujący pobicie koleżanki z zainteresowaniem i zupełnie biernie, byli uczniami elitarnej szkoły matematycznej, gdzie w 7-mym roku życia zaczynają dzieci naukę algebry i języków obcych, a w 14-tym wyższej matematyki. Gdyby wreszcie te uczennice nie były córkami ludzi, żyjących według sowieckich kryteriów nie tylko w dobrobycie, ale w zbytku.

Naturalnie, możliwe — że wychowanki elitarnej szkoły poabiły swoją koleżankę pod wpływem zachodnich filmów. Nie ma jednak wątpliwości, że znacznie lepiej znały bohaterów sowieckich powieści kryminalnych. Niewątpliwie też dlatego brakuje im — jak wyraża się autor szkicu — „wzmocnionej dozy witaminy 'M' (Moralności)". Ale skąd wziąć tę witaminę jeśli wychowawcy, przywódcy kraju, kierownicy frontu ideologicznego, sami marzą wyłącznie o jednym: o pieniądzach, o rzeczach, o dobrach materialnych. W trzech numerach *Prawdy* (z 30. 1. br., 1. 2. br. i 4. 2. br.) zamieszczona jest kolejna, smaczna historia detektywna — opowiadanie o czeskim kapitanie Czechowiczu, który tym razem nazywa się Paweł Minarzik. Był już i sowiecki kapitan Czechowicz. Ciekawe, że wszyscy oni są do siebie podobni jak bliźniacy: wszyscy pracują w Monachium 7 lat, wszyscy są kapitanami, wszyscy wszystko wiedzą i niczego z sensem nie mogą opowiedzieć. Tym razem kapitan Czechowicz — onże kapitan Minarzik — zjawił się dlatego, by zdemaskować list Aleksandra Dubczeka do Federalnego Zgromadzenia Czechosłowacji. Wszystkie te „demaskacje" są do tego stopnia szyte białymi nićmi, że nie zasługują nawet na najmniejszą wzmiankę. Za to zwraca uwagę niepohamowana tęsknota autora artykułów za zachodnią walutą, za pieniędzmi, za samochodami. Jest takie rosyjskie przysłowie: „teściowa kurwa synowej nie wierzy". W artykułach dziennikarza *Prawdy* wyczuwa się gotowość zrobienia wszystkiego, pod warunkiem że mu za to zapłacą.

Proces, który miał miejsce w Moskwie w styczniu br., to jeszcze jedno świadectwo sprzedajności i cynizmu, które stały się „ludzkiem" obliczem komunizmu. Sądono Andrieja Sokołowa, lat 48, zastępcę naczelnika II-go oddziału Gławlitu, tj. sowieckiej cenzury, zawiadującego cenzurą literatury zagranicznej przychodzącej do Moskwy z Zachodu. Sądono przypadkowo, ponieważ w innych oddziałach Gławlitu, gdzie przychodziły płyty, parasolki,

szale, itp. zaczęto tak kraść, że to wreszcie zwróciło uwagę władz wyższych; wyjaśniło się, że Andriej Sokołow w okresie 15-tu lat konfiskował przychodzące z Zachodu wydawnictwa i sprzedawał je następnie na czarnym rynku.

Z polecenia Kosygina wydano za niedbalstwo szefa Gławlitu, tow. Sokontikowa, za to, że nie dopatrywał się złodziei. Możliwe zresztą, że jednym okiem ich widział, a drugie przyrmykał — otrzymując swoją „dolę”.

Adam KRUCZEK

Kronika czeska i słowacka

WYDAWNICTWO „PETLICE”

Pragnieniem każdego pisarza jest, by jego dzieło dotarło do czytelnika. Co ma jednak robić, jeśli instytucje wydawnicze znajdują się w ręku czy pod przemożnym wpływem władców, i oni decydują o jego ukazaniu się. Truizmem jest twierdzić że tego rodzaju polityka — wyrażając się łagodnie — nie sprzyja rozwojowi kultury. Co wtedy? Wtedy niekiedy dochodzi do głosu inicjatywa społeczna, w Związku Sowieckim, na przykład, w postaci „samizdatów”, która istniejący stan faktyczny stara się naprawić. Również w Czechosłowacji ma miejsce „nieoficjalna” akcja wydawnicza, znana pod nazwą „Petlice”.

Od roku 1973 pisarze czescy i słowaccy, pozbawieni możności wydawania swych utworów wskutek odmowy ze strony władz, dzieła swe wydają w postaci maszynopisów, przeważnie zbroszurowanych, w formacie A5, częstokroć z ilustracjami lub opracowaniem graficznym. Inicjatorzy akcji odrzucają nazwę „samizdat”, motywując swe stanowisko brakiem anonimowości. Każdy bowiem egzemplarz jest przez autora podpisany i wyposażony w klauzulę, w myśl której dalsze rozmnażanie dzieła bez zgody autora jest niedozwolone. Cały system jest dość prosty. Autor otrzymuje termin, w którym zgłasza dzieło do wydania. Jest to istotne dla określenia daty powstania dzieła. Następuje potem proces przepisywania, oprawiania i opracowywania graficznego. Ilość egzemplarzy jest ściśle ograniczona, przy czym każdy zamawiający (autora nie wyłączając) płaci określoną cenę — za papier i koszty oprawy (według cennika obowiązującego w instytucjach państwowych).

Organizatorzy akcji twierdzą, iż jakakolwiek „polityka wydawnicza” nie istnieje. Jedynym kryterium kwalifikującym dzieło do wydania jest jego wartość. Odrzucając są jednak teksty mogące wywołać konflikt z prawem. Organizatorzy akcji pragną tego za wszelką cenę uniknąć, jednakże warto tu zauważyć, iż ich ocena dokonywana jest na ślepo, bowiem nie zawsze intencje władców da się wydedukować. Owa chęć nienarażania się władzom znalazła wyraz m.in. w odmowie na wydanie tych dzieł poza granicami kraju.

Niedawno LISTY opublikowały listę 50 utworów, które ujrzały światło dzienne nakładem „Petlice”. Przyjrzyjmy się nieco tej liście. Zawiera ona

34 nazwisk. Przeważają utwory literatury pięknej — proza, poezja, dramaturgia. Ale są też studia filozoficzne (np. Jan Patoczka: „Przyczynki do filozofii dziejów”) wreszcie opis podróży (M. Zikmund — J. Hanzelka: „Cejlon — raj bez aniołów”, t. I-II, z mapami, fotografiami, w ozdobnej okładce).

Jacy autorzy są tu reprezentowani? Z braku miejsca ograniczmy się do najbardziej znanych. Spotykamy tam więc Ludwika Vaculika (powieść „Morczata” — morskie świnki), Ivana Klimę z kilkoma powieściami oraz sztukami teatralnymi. Dramaturgię reprezentują ponadto Pavel Kohout, Bohumil Hrabal, Vaclav Havel i inni.

Nie wiemy jak się potoczą dalsze losy tej inicjatywy — jak dotąd nie odnotowano żadnej reakcji ze strony władz. Ważne jest przecież, że ostatnia inicjatywa pisarzy Czechosłowacji stanowi silne uderzenie w szanse zamordystów — niezależnie od tego, czy ma ona miejsce w Pradze czy gdziekolwiek indziej.

Stefan MICHNIK

Kronika litewska

Z „KRONIKI LITEWSKIEGO KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO”, Nr 19

Do Centralnego Komitetu Litewskiej Partii Komunistycznej.

Ten list nie będzie dla was wielką niespodzianką. Jestem pisarzem, tłumaczem i badaczem literatury. W te dziedziny włożyłem niemało trudu. Sądzę, że służyłem niezgorzej mojej ojczyźnie i narodowi i że zapracowałem na chleb, który w ciągu mego życia zjadłem. Dokołałem jednak znacznie mniej niż mógłbym, choć nie ze swojej winy.

Mój ojciec Antanas Venclova był przekonany komunistą. Szanowałem go i nadal szanuję go jako człowieka. Od niego to nauczyłem się i ja, że trzeba być wiernym wobec własnych zasad. Ale już w młodości, obserwując życie i biorąc w nim udział, ukształtowałem sobie system poglądów inny niż miał mój ojciec, a późniejsze doświadczenia tylko mnie w nim utwierdziły. Ani dla mego ojca ani dla nikogo nie było to tajemnicą.

Komunistyczna ideologia jest mi obca i moim zdaniem w znacznej mierze błędna. Jej absolutne panowanie przyniosło naszemu krajowi wiele nieszczęścia. Utrudnienia w uzyskiwaniu informacji i represje dotyczące tych, którzy myślą inaczej wpędzają społeczeństwo w stagnację i cały kraj w zacołanie. Zagroza to nie tylko kulturze. Na dalszą metę może się to stać niebezpieczne i dla państwa, które takimi metodami ma się rzekomo umocnić. Niczego tutaj zmienić nie mogę. Nie mógłbym nawet gdybym miał tyle władzy ile wy macie. Ale co mogę i co powinienem, to otwarcie powiedzieć co myślę. To już jest coś.

Do swoich poglądów doszedłem dawno i samodzielnie. Przez wiele lat nie napisałem ani nie powiedziałem ani jednego słowa, które by im przeciwyło. Patrzę na komunistyczną ideologię poważnie i dlatego nie chcę me-

chanicznie czy obłudnie powtarzać jej hasła. Odrzucając je, mogę jedynie sięgnąć na siebie dyskryminację, której w moim życiu sporo doznałem.

Zabroniona mi jest w moim kraju jakakolwiek szersza, publiczna działalność, literacka, naukowa, kulturalna. Każdy humanista, i nie tylko humanista, w Związku Sowieckim musi ciągle składać dowody swojej lojalności wobec panującej ideologii. Jest to łatwe dla oportunistów i karierowiczów. Nie jest to trudne dla ludzi szczerze przekonanych o słuszności marksizmu (choć niektórzy z nich mogą to uważać za uciążliwą i poniżającą procedurę). Dla mnie jest to niemożliwe.

Niestety nie mogę pisać „do szuflady”. Szukam kontaktu z publicznością i będę go szukać we wszelkich okolicznościach. W żadnym innym zawodzie, poza dziedziną literatury i kultury, nie umiałbym i nie chciałbym pracować. Jednakże możliwości pracy w zakresie kultury są dla mnie z roku na rok coraz węższe i sama moja egzystencja w kraju staje pod znakiem zapytania, tracąc uzasadnienie.

Wszystko co tu napisałem odnosi się też do mojej żony, która również jest pracownikiem kultury (reżyserem teatralnym).

Proszę aby na podstawie Ogólnej Deklaracji Praw Człowieka oraz obowiązujących praw pozwolono mi wyjechać i mieszkać za granicą. Przykład mego przyjaciela Jonasa Jurašasa i innych przyjaciół wskazuje, że nie jest to niemożliwe. Ponieważ moja żona jest Żydówką, moglibyśmy ewentualnie pojechać do Izraela. Ta decyzja jest ostateczna. Proszę również o niestosowanie żadnej dyskryminacji wobec tych członków mojej rodziny, których poglądy różnią się od moich i którzy pozostają na Litwie.

Tomas VENCLOVA

11 maja 1975

Umieszczając poniższe materiały, wyjaśniamy, że Tomas Venclova jest uważany za najwybitniejszego litewskiego poetę młodego pokolenia. Wiersz Venclova „Rozmowa w ziemi” w przekładzie Miłosza drukowaliśmy w nr 5/308 *Kultury*. Jego ojciec, Antanas Venclova, poeta i prozaik, należał do najbardziej honorowanych pisarzy partyjnych Sowieckiej Litwy i sprawował wiele godności, m.in. był wielokrotnym deputatem do Rady Najwyższej ZSSR.

Z „KRONIKI LITEWSKIEGO KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO” Nr 20

DO:

ZACHODNIO-EUROPEJSKICH I SOWIECKICH INTELEKTUALISTÓW:
H. BÖLLA, G. GRASSA, L. KOŁAKOWSKIEGO, E. JONESCO, A. SI-
NIAWSKIEGO, A. SOŁŻENICYNIA, I A. SACHAROWA.

Naród litewski znów poniósł bolesną stratę: utalentowany poeta i uczonego Mindaugas Tamonis zginął pod kołami pociągu 5 listopada br. Raz jeszcze tajemnicza ręka KGB zniszczyła szlachetnego i twórczego człowieka w pełni sił, w wieku lat 35.

W roku ubiegłym Mindaugas Tamonis, kierownik laboratorium chemicznego przy Instytucie Konserwacji Zabytków i kandydat doktorski w technologii, złożył publiczne oświadczenie w którym gorąco protestował przeciwko uciskowi narodu litewskiego i żądał dla niego elementarnych praw. Z powodu swego odważnego protestu M. Tamonis został uwięziony w szpitalu

psychiatrycznym miasta Wilna, ulica Vasara Nr 5 i przetrzymany tam przez pięć miesięcy.

Dnia 25 czerwca bieżącego roku M. Tamonis zwrócił się listownie do Centralnego Komitetu Litewskiej Partii Komunistycznej, ostrzegając przed niebezpieczeństwem neo-stalinizmu i protestując przeciwko dławieniu litewskiej kultury. Dnia 27 czerwca ponownie został zamknięty w szpitalu psychiatrycznym. Matka jego, nie mogąc znieść myśli o cierpieniach syna, umarła na atak serca dnia 29 czerwca.

Miesiąc później M. Tamonis został zwolniony ze szpitala ale ostatnio tj. przed 5 listopada, otrzymał nowe wezwanie do stawienia się w szpitalu, dokąd jednak się nie udał.

Podczas całego okresu po swoim drugim pobycie w szpitalu M. Tamonis podlegał ostracyzmowi i był prześladowany na różne sposoby.

Jego rodzina, żona i dwoje dzieci, pozostaje bez środków do życia; naród stracił bezinteresownie działającego patriotę, utalentowanego poetę i uczonego. Kilkadziesiąt linijek słów prawdy kosztowało M. Tamonisa życie.

Również innych Litwinów spotkał podobny los. Dnia 5 listopada 1969 r. wyczerpany ciągłą walką o prawo pozostania uczciwym artystą i Litwinem, utalentowany grafik Arunas Tarabilda doznał szoku i umarł. Artysta ten, również 35-letni, był swego czasu przesłuchiwany i następnie, kiedy powołano go do służby wojskowej, wcielony do jednostki czołgów, gdzie, jak się zdaje, został poddany radiacji. Tak skończyła się jego wybitna działalność artystyczna, którą poświęcił Litwie.

W jesieni 1970 roku utalentowany badacz Dr J. Kazlauskas, profesor języka litewskiego na uniwersytecie wileńskim, zginął w zagadkowych okolicznościach. Ten postępowy i niezwykle czynny badacz również naraził się rządowi swoimi śmiałymi teoriami w zakresie studiów bałtyckich.

Moglibyśmy przedstawić dodatkowe fakty podobnego rodzaju.

Usta najbardziej utalentowanych i twórczych ludzi, którzy nie zerwali więzi z swoim narodem, są dzisiaj na Litwie zamknięte. Milczenie jest ceną, jaką płaci się żeby żyć. Ci natomiast, którzy odważą się przemówić i szukają jakiegokolwiek jutra dla swego narodu, narażają się na poważne niebezpieczeństwo; nie ich życia bywa nagle przecięta.

Kształtowanie się i dojrzewanie twórczych i wynalazczych osobowości o szlachetnych dążeniach jest niezwykle trudne w warunkach ucisku i konformizmu. Toteż znikanie ich grozi narodowi niebytem. Fizyczne ludobójstwo nie jest już możliwe w obecnych warunkach. Zastąpione zostało przez podstępne, perfidne i stałe niszczenie najbardziej twórczych indywidualności w narodzie litewskim...

Drodzy przyjaciele Litwy! Wasze dzieła, które znamionuje talent i duch humanizmu są znane również na Litwie. Wasze ideały spotkały się z żarliwym przyjęciem w sercach wielu Litwinów. Wasze nazwiska są wymawiane tutaj z szacunkiem i miłością.

Prosimy was: pomóżcie nam w świętej walce o wolność Litwy, o jaśniejsze jutro, o elementarne ludzkie prawa.

Prosimy was abyście zaprotestowali przeciwko krzywdom jakie nam są wyrządzane, przeciwko gnębieniu i podstępemu niszczeniu naszej inteligencji, przeciwko tragicznemu losowi M. Tamonisa i innych intelektualistów.

LITWINI

Pest-scriptum od redakcji „Kroniki”. List nasz podaje szereg bolesnych wydarzeń. Ręka KGB sięga daleko i dlatego nie zdziwimy się jeżeli usłyszemy znów, że ten czy ów intelektualista, który odważył się powiedzieć prawdę, zginął „w wypadku”. Nikogo nie zdziwiłoby, gdyby Tomas Venclova, syn Antanasa Venclovy, o którym pisaliśmy w „Kronice Litewskiego Kościoła” był na podobny los narażony.

Sprawy i troski

Raptularz londyński

Eksperci mówią, że wymieramy. Możliwe. Nie to jednak jest najgorsze. Znacznie gorsze jest to, że — mówiąc łagodnie — dziecinniejemy. Dziecinnieć można w sposób szkodliwy lub nieszkodliwy.

Pamiętamy „polską wizytę w Londynie niemieckiego posta Czaji w ub. roku. Pamiętamy, bo nie pozwalają nam o niej zapomnieć protesty tzw. „obozu narodowego”, które rozlegają się bez przerwy po dziś dzień. Mówią niektórzy, że gdyby dr Czaja nie istniał, to trzeba by go wymyślić, żeby *Mysł Polska* miała o czym pisać. Otóż gdyby w czasie tamtej wizyty nasz „rząd” traktował siebie poważnie, to do rozmów ze zwykłym posłem (do parlamentu) wydelegowałby jakiegoś trzeciego podsekretarza stanu w swoim MSZ. Tymczasem do rozmów pchali się wszyscy — prezydent, premier, wicepremier, ministrowie, nawet marszałek sejmu.

Ostatnio historia powtórzyła się. W polskim Londynie zrobił się duży szum w związku z protestami inteligencji polskiej przeciw ograniczeniu wolności w kraju i nasi staruszkowie za żadną cenę nie chcieli dopuścić żeby ktoś ich ubiegł w akcji solidaryzowania się z krajem. W tym pośpiechu wyrzucili ministra spraw krajowych — osobę istniejącą w tym właśnie celu — i wysmażyli apel, w którym m.in. czytamy:

„Rodacy! ...Według informacji posiadanych przez Rząd R.P. w Londynie reżym warszawski ma zamiar wprowadzić w Polsce sowieckie formy ustrojowe. Zmiany te mają iść w kierunku przekształcenia Polski w jedną z republik sowieckich... Bijemy na alarm. Wzywamy wszystkich rodaków do masowej akcji protestacyjnej i potępienia zamiarów reżymu komunistycznego w Polsce...”.

Zdanie o zamierzonym przekształceniu Polski w sowiecką republikę nie ma żadnego poparcia w faktach i jest sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Dalej, gdyby brać nasz rząd na serio, tzn.

za to, za co on się sam podaje, za jedyną legalną władzę narodu polskiego, to apel ten ma charakter wezwania narodu do rewolucji. Oczywiście rząd odpowie z rozbajającym uśmiechem, że nikt go w ten sposób nie bierze, nawet on sam. Typowa rozmowa z wariatem, pijakiem, dziada z obrazem.

Nawiasem mówiąc, poddani rządowi na terenie Wysp Brytyjskich nie znają przytoczonego powyżej tekstu apelu, albowiem *Dziennik Polski* po prostu ocenzurował odnośny komunikat Polskiej Agencji Telegraficznej (wysłany pocztą listową drugiej klasy). Tekst po ocenzurowaniu jest nawet nieco lepszy, ale rodzi się zasadnicza obiekcja: od kiedy to podaje się cudzy tekst, nie informując o dokonanych w nim zmianach?

Dziennik naraził się rządowi i w inny sposób, mianowicie przez opublikowanie apelu Federacji Ruchów Demokratycznych — ciała konkurencyjnego w stosunku do rządu — przed apelem rządowym.

Do przeprowadzenia akcji solidaryzującej się z protestami krajowymi powstało w Londynie ciało społeczne o tzw. szerokim wachlarzu organizacyjnym. Przy jego tworzeniu niemal nie doszło do rozbitcia chłopsko-robotniczego sojuszu, będącego podstawą naszego rządu. Mianowicie delegat Stronnictwa Ludowego zaprotestował przeciwko włączeniu do ciała przedstawiciela rządowej PPS. Konsekwencje tego protestu, gdyby się udał, są niemożliwe do przewidzenia. W ostatecznym jednak efekcie protest nie został przyjęty.

Trzeba tu czym prędzej nadmienić, że „szeroki wachlarz” organizacji skupionych dla celów wsparcia protestów krajowych, nie obejmuje broń Boże obozu narodowego, gdzie obowiązuje doktryna Dargasa. Została ona przedstawiona na zjeździe Stronnictwa Narodowego w Wielkiej Brytanii w dniu 15 listopada 1975 roku. Oto odnośny tekst:

„...na Zachodzie zaczynają się ukazywać w różnych krajach nowe emigracyjne pisemka. Ich wspólną cechą jest tendencja podjudzania kraju i wywoływania w nim zamieszek. Z jednej strony koncentrują się one na atakowaniu na najniższym poziomie Stronnictwa Narodowego i naszych działaczy. Wreszcie propaguje się w tych kołach koncepcje związania losów narodu polskiego z Ukraińcami, Białorusinami, a ostatnio także z dysydentami w Rosji”.

Doktryna ta nie ma uniwersalnej akceptacji w szeregach S.N. Wielu członków uważa, że tak długo, jak w krajach bloku sowieckiego jedyną praktyczną alternatywą koncepcji wiązania się z dysydentami pozostaje koncepcja wiązania się z urzędem bezpieczeństwa, nie należy zbyt ostro odcinać się od dysydentów. Próba sił ścierających się ugrupowań nastąpi na „światowym” zjeździe Stronnictwa, który przewidziany jest na maj.

Wróćmy jeszcze do sprawy solidaryzowania się z krajem. Było okolicznością wyjątkowo pomyślną, że masowy (600 osób) wiec dla zademonstrowania tej solidarności zwołany został przez Zwią-

zek Studentów w Anglii i że jako główny mówca wystąpił L. Kołakowski. Okolicznością niekorzystną było dokooptowanie starych emigrantów do prezydium wiecu. Nie chodzi nawet o to, że główny mówca starszego pokolenia mówił trzy razy za długo i częściowo nie na temat, ale o to, że zaprzepaszczo szanse zademonstrowania czegoś może nawet ważniejszego, niż solidarność ze społeczeństwem w kraju, a mianowicie trwałości emigracji jako struktury opozycyjnej do władz komunistycznych. Strajk szkolny za cara Mikołaja to niewątpliwie chlubna karta w historii Polski, ale dla konkretnych potrzeb tej manifestacji lepiej było użyć bojowników strajku studenckiego z 1968 roku. Przydzielenie *wszystkich* ról wiecu grupie studenckiej i grupie nowych emigrantów dałoby manifestacji nowy wymiar, niespotykany na wszystkich dotychczasowych demonstracjach emigracyjnych. Z tego względu byłoby też lepiej, aby Związek Pisarzy ograniczył się do wysłania akcesu na ręce prezydium, a nie delegował swego przedstawiciela do stołu prezydalnego.

Przychodzimy do ostatniej pozycji na liście. Wkrótce po wojnie, gdy byliśmy jeszcze piękni pięćdziesięcioletni, powstał w Londynie Instytut Badania Zagadnień Krajowych, który zgodnie z praktyką owych czasów wypełniony został po brzegi ludźmi niekoniecznie zainteresowanymi badaniami naukowymi, ale za to legitymującymi się nienaganną postawą emigracyjną. Prace Instytutu prowadzone były przez drobną garstkę, ale na walne zebrania przychodził tłum *outsider'ów* pilnujących linii i klucza partyjnego. Z czasem prace ustały, zaprzestano nawet walnych zebrań. Instytut praktycznie przestał istnieć. Ale na fikcyjnej fasadzie emigracji widnieje ciągle jego szyld, ktoś do dzisiaj występuje jako jego prezes. A tymczasem potrzeba zajmowania się sprawami krajowymi nie zanikła. Wprost przeciwnie, dla młodego pokolenia studia te są jedynym tematem budzącym zainteresowanie. Są nowe grupy emigracyjne, dla których temat ten jest znacznie bliższy, niż dla starych. Jeżeli jakaś instytucja emigracyjna miałaby w tej chwili szansę rozwoju, to właśnie Instytut. Ale starzy nie folgują. „Bo to, panie, tyle rzeczy społecznych na głowie — to organizować zjazd byłych mieszkańców ziemi pińskiej, to znów rocznik ziemi mińskiej, nie mówiąc już o gali z okazji święta pułkowego pułku dzieci Ozorkowa i ciągle, jak na złość przypadających pogrzebach. Badania krajowe muszą trochę poczekać”.

Można jeszcze zgodzić się, że niejednemu trudno zrezygnować z „najwyższych stanowisk państwowych”, ale czy tu rzeczywiście byłoby aż takim poświęceniem przyznanie, że ślepiemy, głuchniemy, paraliż nas unieruchamia i wobec tego nie możemy już prowadzić działalności i prosimy młodszych żeby się nią zajęli?

Robienie zarzutów pod adresem emigracyjnego *establishment'u* nie jest rzeczą nową. Niewątpliwym *novum* jest natomiast próba oceny tego *establishment'u* przez Koło Oficerów Dyplomowanych na Obczyźnie. Koło to poświęciło temu zagadnieniu cały rok, wysłuchało opinii różnych filarów, wreszcie wy-

ciągnęło własne wnioski. Wnioski te, które właśnie ukazały się w formie broszury* są uderzające w swej prostocie, a jednocześnie — uwzględniając, że pochodzą ze środowiska, które jest tradycyjnie podporą wszelkich *establishment'ów* — miążdzące. Jako punkt wyjścia autorzy pracy przyjmują tezę, że „obecny układ sztucznie utrzymywany przez najstarsze pokolenie nie może być nadal pożyteczny, gdyż:

- nadal utrzymuje poważny rozłam wśród ugrupowań politycznych samej emigracji;
- znajduje coraz mniejsze zrozumienie wśród nadchodzącego młodego pokolenia;
- wydaje się być groteskowym dla ludzi w Kraju;
- staje się uciążliwy dla sprawy polskiej na terenie polityki międzynarodowej”.

W konkluzji autorzy dochodzą do wniosku, że kierownictwo emigracyjne powinno zająć się sporządzeniem swego testamentu politycznego i przekazać następnemu pokoleniu nowe formy organizacyjne, oparte o wymogi realizmu politycznego. Nic ująć, nic dodać. Zobaczmy co z tego wyniknie.

P. EMIGRANT

P.S. Uważny czytelnik przypomina, że komisja Rady Narodowej powołana do „zbudowania całokształtu budynków zakupionych z funduszy rządowych” ciągle jeszcze nie ogłosiła swego raportu. Prosi on Komisję o uwzględnienie następujących obiektów:

1. Dom PPS pod 96, Earls Court Road — wszyscy trzej powiernicy umarli, czy prawdą jest, że dom przeszedł na własność rodzin powierników?
2. Dom Związkowy Rzemieślników i Robotników na Bolton Gardens.
3. Dom rządowy w okolicy Eaton Square, pozostający swego czasu pod zarządem p. Günthera.

P. E.

* Koło Oficerów Dyplomowanych na Obczyźnie, Polska Racja Stanu, Garby Publications, Londyn, 1975.

Straty kultury polskiej

Stanisław Kot (1885-1975)

Kot umierał dwukrotnie. Kiedy w styczniu 1964 roku po parutygodniowej nieobecności wróciłem do domu, zastałem list i depeszę z jednobrzmiącymi prośbami o wspomnienia o nim. Przez telefon dowiedziałem się, iż leży nieprzytomny i sparaliżowany po masywnym udarze. Zgon — mówiono mi — to sprawa najbliższych dni. Przeżył jeszcze bez mała dwanaście lat.

Przeżył te lata, przenoszony z łóżka na fotel i z powrotem, na oddziale geriatycznym szpitala w Edgware pod Londynem. Ze świadomością bywało rozmaicie. Mając w domu obłożną chorobę, przez długi czas nie mogłem go odwiedzić. Wybrałem się do Londynu dopiero na przełomie 1967 i 1968 roku. Poznał mnie, ucieszył się, rozserdecznił, wypytywał o ludzi, w szczególności o najwybitniejszego ze swoich uczniów, Barycza. W pewnym momencie przeszedł koło nas posługacz szpitalny. „To Wyszyński” — szepnął do mnie tajemniczo, wskazując nań palcem. „Jaki Wyszyński?” — spytałem zaskoczony „Wyszyński” — dostałem w odpowiedzi. W tym momencie kontakt nasz się urwał i mimo że siedziałem przy nim w szpitalu jeszcze z godzinę, już się nie nawiązał. Kot zamknął się w świecie swoich urojeń. Najczęstszym tematem tych majaczeń z owych lat były konferencje z Sikorskim. Najwyraźniej okres wojennego ministrowania w Londynie uważał za szczytowy w swoim życiu i uciekał wien przed ponurą, beznadziejną rzeczywistością szpitalną. Kiedy w parę lat później odwiedziłem go znowu, już mnie nie rozpoznał.

Obie jego córki zmarły jeszcze przed tą chorobą, żona w rok po ataku. Śmierci ich nie przyjął do wiadomości i raz po raz wyrażał zdziwienie, że nie ma ich koło niego. Jak dziecko bezbronny, jak dziecko łaknął ciepła. Znalazł je u osoby spoza rodziny, która przez całe tych dwanaście lat otaczała go serdeczną, wzruszająco troskliwą opieką.

Przed chorobą nie robił wrażenie człowieka religijnego, choć,

jak się parę razy miałem okazję przekonać, był przywiązany do katolickiego rytuału. W chorobie wróciła chłopska, korna wiara.

Na parę lat przed chorobą zabrał się do spisywania pamiętników. Świetnie, z humorem opowiadał o wydarzeniach ze swego bogatego życia. Miał wycucie charakterystycznego, ewokującego przeszłość szczegółu. Znakomicie ożywiała te opowiadania bogata modulacja głosu. W ogóle opowiadał dużo lepiej niż pisał. Nie mogę odżałować, iż nie spisałem na gorąco opowiadania o tym, jak we wrześniu 1914 roku wybrał się z Żeromskim z Krakowa autem szlakiem pierwszej kadrowej na spotkanie Legionów. Żeromski był podniecony, rozentuzjzmowany Piłsudskim i Legionami. Nie mógł doczekać się momentu spotkania z polskim żołnierzem. Przekroczyli kordon, ale potem przysły jakieś trudności administracyjne i wóz się psuł. Trzeba było wracać. W drodze powrotnej narastała w Żeromskim niechęć do Legionów i Piłsudskiego, która nie opuściła go już aż do śmierci.

Pierwsze strony pamiętników, opowiadające o dzieciństwie na wsi, wywinęły się spod pióra gładko. Ale szybko okazało się, że pisanie idzie oporem. Nadaremnie namawiałem go, aby pamiętniki dyktował, obiecując dostarczenie dyktafonu. Kiedy doszedł do późniejszych klas gimnazjum rzeszowskiego, oświadczył, że nie może pisać dalej, zanim nie skonfrontuje swoich wspomnień z książką o tym środowisku (powieścią?) Bunikiewicza, o którą, jak na złość, było bardzo trudno. Zaczął przeprowadzać badania nad ruchem młodzieżowym początku wieku. Pamięć, nigdyś imponująco sprawna, zaciniała mu się już wtedy. Drażniło go to, bał się jej potknąć i bez oparcia o niełatwą w Paryżu czy Londynie dokumentację nie chciał pamiętników ciągnąć dalej. Ostatecznie spisał tylko, drukowane potem w *Zeszytach Historycznych* z 1967 i 1968 r., rozdziały obejmujące dzieciństwo oraz lata gimnazjalne*.

Nie łatwo jest pisać o twórczości naukowej Kota. Z dwóch względów. Jeden z nich jest natury technicznej, tym niemniej wcale istotny. Obfity jego dorobek naukowy jest wyjątkowo rozproszony. Oto np. jedna z przedwojennych rozpraw o związkach Macieja Flacicha (Flacius Illiricus) z reformacją polską ukazała się po serbsku w księdze ku czci chorwackiego historyka, Sziszicia. Nie ma jej wersji polskiej. Inna, już powojenna, pojawiła się po holendersku w Bredzie. A i z polskimi czasem niewiele lepiej. Nie łatwo dziś dotrzeć do cennej rozprawy, tym cenniejszej, że przynoszącej antologię tekstów poetyckich, wśród których jest sporo rzeczy po raz pierwszy drukowanych z rękopisów, pt. „Urok wsi i życia ziemiańskiego w poezji staropolskiej”.

* *Zeszyty Historyczne*, Nry 11, 12, 13, 14.

Utonęła ona w *Księdze pamiątkowej*, wydanej w roku 1937 na 75-lecie *Gazety Rolniczej*.

Co gorsza, Kot nigdy się nie troszczył o zebranie swych rozpraw w tomy. I co najgorsza, brak jakiegokolwiek podsumowania jego dorobku naukowego. Zazwyczaj ocenę taką jeszcze za życia uczonego przynosi księga zbiorowa ku jego czci. Na krótko przed wybuchem wojny postanowili Kota taką księgą uczcić jego uczniowie. Był wtedy jeszcze względnie młody, liczył sobie niewiele ponad pięćdziesiąt lat, ale już miał wielki mir w nauce, długi poczet uczniów. I niedawno przedtem pozbawiony został katedry. Istniały więc dobre racje do wydania księgi. Z rękopisów do niej niektóre zawieruszyły się w czasie wojny. Ale i tego co zostało, wystarczyło na wydanie okazałego — ponad 600 stron — cennego tomu *Studiów z dziejów kultury*. Cóż z tego, gdy z chwilą kiedy tom ów drukował się w roku 1947 w Krakowie, Kot był już emigrantem w Londynie. Inicjały jego sugerowały wtajemniczonym wytłoczone czerwoną farbą pierwsze litery dwóch słów tytułu S. i K. Ale nazwiska jego nie można było w księdze wymienić, co dopiero mówić o drukowaniu napisanego dla tej księgi studium o nim szczególnie do tego zadania wykwalifikowanego Aleksandra Brücknera, które też po dziś dzień zalega w rękopisie. Mowy też nie było o wydrukowaniu tam bibliografii jego prac. Pierwszą taką bibliografią, nie pozbawioną luk, przyniósł dopiero w roku 1964 drugi tom *Słownika współczesnych pisarzy polskich*.

Jest jeszcze i trudność druga, natury bardziej zasadniczej. Oto twórczość naukowa Kota jest bardzo różnostronna. Kilka książek i sporo rozpraw zaliczyć możemy do historii wychowania. Dwie książki i długa lista rozpraw — złożyłyby się one na dwa, trzy pękate tomy — to studia z dziejów reformacji w Polsce, najowocniejszy dział twórczości naukowej Kota. Książka o Polsce w literaturze politycznej Zachodu czy rozprawa o Olszaryńskim należą do studiów z dziedziny historii doktryn politycznych. Kilka rozpraw to po prostu studia z dziejów literatury. Ale są i prace, których zaszufladkowanie do tradycyjnych dziedzin nauki nie byłoby rzeczą łatwą, takie jak np. rozprawa o stosunku Polski Złotego Wieku do kultur Zachodu, albo inna, która zajmowała się „międzynarodowymi wyzwickami i pochwałami”, opiniami narodów o obcych, wyrażonych w różnych wierszach, epigramatach, porzekadłach. Najprościej byłoby chyba powiedzieć, że należą one do historii kultury *tout court*. Kot był w Krakowie profesorem stworzonej dlań katedry historii kultury polskiej. Słyszało się na ten temat zrzedne uwagi: cóż to znaczy „historyk kultury”? Przecież każdy historyk, czy to życia politycznego, czy literatury, czy sztuki, czy języka, jest

historykiem pewnej dziedziny kultury. Święta prawda. Ale kłopot polegał na tym, że Kot był uczonym o tak rozległej skali zainteresowań, iż w żadnej z tych tradycyjnych rubryk się nie mieścił. Można go tylko określić jako historyka kultury, *faute de mieux*. Ta różnorodność zainteresowań to wielki urok jego dorobku naukowego. Ale czyni też rzeczą szczególnie trudną krytyczne zorientowanie się w nim.

Podobnie jak starszy odeń o dziesięć lat Bujak czy rówieśnik jego Pigoń, Kot należał do tego pokolenia historyków, synów chłopskich, dla których przebicie się przez szkołę średnią i uniwersytet było jeszcze heroicznym, najeżonym trudnościami osiągnięciem. Jest rzeczą znamioną, że choć na ogół autobiografie uczonych nie należą u nas do częstych zjawisk — kultywowała je przedwojenna *Nauka Polska* — i Bujak zostawił po sobie szkic autobiograficzny, i Pigoń opisał swą młodość w znakomitej książce *Z Komborni w świat*, i Kot zaczął pod koniec życia spisywać swe wspomnienia. A równocześnie uczeni ci mieli już świadomość, że przejmują opiekę nad polską tradycją kulturalną w imieniu swej klasy, i świadomości tej w twórczości swej dawali wyraz. Nadawało to ich pracy naukowej pewien wspólny styl i odcisnęło się wyraźnie na jej tematyce. Bujak napisał monografię swej rodzinnej wsi, Maszkienic, oraz książkę poświęconą *Wsi zachodnio-galicyjskiej u schyłku XIX wieku*. Pigoń wydał antologię pisarzy ludowych; stąd też wywodzi się jego zainteresowanie twórczością Orkana. Świadomości tej dał też wyraz w swej pracy naukowej Kot.

Syn małorolnego chłopa z Rzeszowskiego, urodzony w roku 1885, miał lat pięć, kiedy to nauczył się czytać na przywiezionym przez ojca do domu egzemplarzu popularnego wydania *Pana Tadeusza*. Zwróciło to uwagę we wsi na jego niepospolite zdolności i zadecydowało o jego przyszłości. Przez gimnazjum rzeszowskie przebiegał się o własnych siłach. Rzeszów leży w połowie drogi między Krakowem a Lwowem. Kot, jak i większość jego kolegów, maturzystów rocznika 1904, wybrał za miejsce studiów uniwersyteckich Lwów. Pociągała go bujniejsza tam atmosfera polityczna. Za przedmiot studiów wybrał polonistykę. Pomagał sobie na studiach korepetycjami. Podciągał m.in. w grece i łacinie mniej odeń do studiów klasycznych uzdolnionego Ludwika Bernsteina-Namierowskiego, z czasem znakomitego historyka angielskiego, Sir Louis Namiera.

W życie polityczne wciągnął się już na ławie szkolnej. Wzywał się w nim z całą pasją swej bujnej natury na uniwersytecie, gdzie stanął na czele organizacji młodzieżowej *Płomień* i był redaktorem jej pisma. Był też czynny w pracy oświatowej. W roku 1908 założył we Lwowie Uniwersytet Ludowy im. Mic-

kiewiczza. Ale studiów naukowych przez to nie zaniedbał. Miał dar upartej, wytrwałej, żądzkiej, chciałoby się powiedzieć, pracy. I miał też, głęboko w swej naturze zakorzeniony, kult solidnej, gruntownej, wykończonych w szczegółach roboty. Mógł pogodzić jedno z drugim tym łatwiej, iż zainteresowania społeczno-polityczne w znacznej mierze, w dużo większej mierze niż oficjalny program studiów uniwersyteckich, zadecydowały o kierunku jego badań naukowych. Toteż po pięciu latach studiów miał już doktorat.

Jego niezwykle zdolności szybko zwróciły na niego uwagę. Liczył sobie lat wszystkich dwadzieścia cztery, nie miał jeszcze publikacji naukowych, kiedy Stanisław Estreicher zaproponował mu napisanie kilku rozdziałów z historii wychowania dla jednego z planowanych tomów redagowanej przezeń a wydawanej przez Akademię *Encyklopedii Polskiej*. W roku 1910 przeniósł się do Krakowa, znęcony atmosferą naukową miasta. Przez dwa lata uczył tam w szkołach średnich. Dwa następne spędził na pracy badawczej w zachodnio-europejskich bibliotekach, kładąc w ten sposób podwaliny pod swoją wspaniałą znajomość europejskich zbiorów rękopiśmiennych i starodruków, którą nikt z polskich historyków nie mógł się z nim mierzyć.

W swoich zainteresowaniach naukowych od początku okazał dużą samodzielność. Nie można powiedzieć, aby nawet w swych naukowych prymycjach szedł w ślady któregoś ze swoich lwowskich profesorów. Sam sobie znalazł tematykę swych prac, a zasięg ich określił szeroko, z rozmachem. Obejmowała ona staropolskie szkolnictwo i teorie pedagogiczne, staropolskie teorie polityczne oraz reformację. O takim wyborze w pewnej mierze zadecydowało wycucie ważnych a zaniedbanych w nauce dzieł dawnej kultury, w pewnej — osobiste skłonności człowieka, pasjonującego się zagadnieniami ideologicznymi, żywo reagującego na zjawiska bieżącego życia politycznego. Okresami, w których sobie upodobał, były czasy zygmunto-wskie (te nade wszystko) oraz stanisławowskie, a więc okresy reform, dużego fermentu ideologicznego, a także racjonalizmu i klasycyzmu.

Zaczął jako historyk szkolnictwa. W roku 1910 ogłosił dwie rozprawy z dziejów szkół i myśli wychowawczej Polski XVI wieku. W dwa lata później pojawiło się duże jego dzieło *Szkolnictwo parafialne w Małopolsce XVI-XVIII w.* Syn chłopski, mocno chłopskości swej świadom, starał się w nim odpowiedzieć na pytanie, co też dawna Rzplita szlachecka zrobiła dla wykształcenia swych warstw upośledzonych, mieszczan i chłopów. Zagadnienie to miało swe szersze implikacje historyczne. Jak to Kot w książce swej pisał:

„*Losy szkolnictwa, z którego lud w Polsce w mieście i na wsi mógł korzystać w ostatnich dwóch stuleciach niepodległego bytu Rzeczypospolitej, tym bardziej zaciekawiają, o ile w stopniu oświecenia czy ciemnoty powszechnej chciałoby się doszukiwać niejakiego objaśnienia bierności politycznej, kulturalnej i wszelkiej innej milionów ludności, pozostającej pod rządami uprzywilejowanego stanu szlacheckiego*”.

Książka przyniosła bogaty materiał archiwalny, zaczerpnięty przede wszystkim z protokołów wizytacji biskupich diecezji krakowskiej. Ale nie ograniczała się do niego. Dała wyrazisty obraz szkolnictwa ludowego i jego historię od czasów humanizmu do lat poprzedzających powstanie Komisji Edukacji Narodowej. Wy-zyskana tu literatura rybałtowska wzbogaciła ten obraz o barwne obyczajowe rysy.

Szkolnictwo parafialne to najpoważniejszy wkład Kota w dzieje szkolnictwa w Polsce. Ale do studiów nad historią wychowania będzie wielokrotnie wracał i później, ogłaszając rozprawy o szesnastowiecznym szkolnictwie protestanckim, Akademii Zamojskiej, reformie szkolnej Konarskiego, Komisji Edukacji Narodowej (której zarys dziejów ogłosił na stu-pięćdziesięciolecie Komisji w roku 1923), o studiach Polaków na zagranicznych uniwersytetach i wydając w roku 1929 spory tom korespondencji Szymona Mariciusa z Pilzna, pisarza pedagogicznego XVI wieku.

Ukoronowaniem tych studiów będą dwa podręczniki: jeden, na poziomie uniwersyteckim, *Historia wychowania*, wydany po raz pierwszy w roku 1924, a w dziesięć lat później ponownie w rozszerzonym, dwutomowym wydaniu, i drugi, popularniejszy, dla seminariorów nauczycielskich, *Dzieje wychowania*. Uzupełnieniem ich są dwa tomy *Źródeł do historii wychowania* (1929-30) *Historia* i *Dzieje wychowania*, które w ciągu pięciu lat doczekały się trzech wydań, to najpopularniejsze książki Kota. Świetne przez swą jasność wykładu i przejrzystą, elegancką konstrukcję stały się one tuż po wyjściu podstawowymi podręcznikami tak dla wydziałów pedagogicznych uniwersytetów, jak i dla seminariorów nauczycielskich. Zadaniem, jakie sobie Kot w nich postawił, było przedstawienie teorii i praktyki wychowania nie w oderwaniu, ale na tle prądów umysłowych, stosunków społecznych, życia gospodarczego. Rozdziały dotyczące Polski, oparte, jeśli idzie o czasy niepodległej Rzplitej, o źródłowe badania autora, przynoszą dużo nowych ujęć. Wszędzie widać staranie o właściwe utrzymanie proporcji. Oparł się tu Kot jakże częściej u badaczy pokusie wyolbrzymiania zagadnień czy ludzi, z którymi się szczególnie zżył w swej pracy badawczej. Nikt by z krótkiego, oszczędnego omówienia poglądów pedagogicznych Modrzewskiego w *Historii wychowania* nie domyślił się, że to pisarz, nad

którym Kot spędził lata pracy. Nie ma w dzisiejszej Polsce podręczników historii wychowania, które by potrafiły książki Kota zastąpić. W roku 1956 wydawało się, że będzie można wydać w kraju trzecie jej wydanie. Kot tekst książki gruntownie przerobił, uwzględniając wyniki badań ostatniego ćwierćwiecza. Ale do wydania książki nie dopuszczono.

Nie historia wychowania jednak stanowić miała główny nurt zainteresowań naukowych Kota. Zafascynowała go postać i świat myśli Frycza Modrzewskiego. Pierwsza rozprawka, jaką ogłosił, poświęcona była analizie poglądów Frycza na szkołę i wychowanie. W roku 1911 Rozprawy Akademii Umiejętności przyniosły obszernie — i znakomite — studium *Wpływ starożytności klasycznej na Andrzeja Frycza Modrzewskiego*, które wyrosło z jego lwowskiej rozprawy doktorskiej. Tytuł zdawał się zapowiadać „wpływologiczną” rozprawę z dziedziny filologii. Otóż nic podobnego. Jedną z metodologicznie najoryginalniej pomyślanych jego prac. Przynosi też ona dużo więcej niż obiecuje tytuł. Blisko połowa jej to oparta na bardzo obfitych tekstach analiza roli modelu klasycznego w myśleniu politycznym Polaków XVI wieku. Studium wydobywa na jaw względy społeczne, które kazały szlachcie utożsamiać się ze światem grecko-rzymskim: ideologia polityczna cywilizacji, opartej na niewolnictwie, dostarczała argumentów, mających uzasadniać przywileje stanowe szlachty. Rozprawa analizuje charakter i zasięg klasycznej stylizacji wystąpień statystów Złotego Wieku. Świetnie wprowadza w świat pojęć, styl życia Polski Zyguntowskiej.

Dopiero na takim tle bada Kot wpływ starożytnych teorii politycznych na Frycza. Idzie mu nie tyle o filiacje tekstów, ile o scharakteryzowanie stosunku Frycza do antycznej myśli politycznej, przede wszystkim Arystotelesa. Wyniki wypadły ciekawie. Frycz, okazało się, antycznej myśli politycznej zawdzięcza dużo, przede wszystkim podstawową aparaturę pojęciową, normy etyczne, które stosował do oceny instytucji politycznych, kult praworządności. Ale pod jednym ważnym względem energicznie przeciwstawił się pisarzom starożytnym: głosi wbrew nim hasło równości wszystkich wobec prawa.

Studium pojęte było jako fragment większej całości o Fryczu, myślicielu politycznym. „Wyświetlenie genezy — obiecywał autor — i analiza tych idei, którymi Frycz przeciwstawia się starożytnym i zakłada podwaliny polskiej myśli politycznej, będzie przedmiotem dalszych części monografii o Andrzeju Fryczu z Modrzewa”. Tych dalszych zapowiadanych części Kot już nigdy nie napisał. Dał za to świetną biografię Frycza.

Przyszło na nią dość długo czekać. Lata pierwszej wojny światowej były zupełnie stracone dla nauki. Wypełniła je bez

reszty praca na stanowisku szefa biura prasowego Naczelnego Komitetu Narodowego i redaktora organu NKN'u, *Wiadomości Polskich*. Praca ta, której poświęcił się cały, z pasją — przytrafiło mu się wtedy, jak mi opowiadał, wpadać ze zmęczenia w omdlenie — dała mu wtedy po raz pierwszy możliwość rozwinięcia działalności politycznej na szerszą, ogólnonarodową skalę i ujawniła jego talent organizacyjny, który w latach powojennych tak znakomite zastosowanie znalazł w różnych dziedzinach życia naukowego.

Andrzej Frycz Modrzewski ukazał się w roku 1919. W cztery lata później wyszło drugie wydanie książki. Opracowana ona została niezwykle gruntownie. Szczególnie wymownie uzmysławia to jej aneks. „Pokłosie bibliograficzne”. Chcąc zdać sobie sprawę z zasięgu oddziaływania dzieł Frycza, Kot postanowił zinwentaryzować ich egzemplarze z bibliotek polskich oraz obcych i zbadać dedykacje, zapiski proveniencyjne, notatki czytelników. Na bez mała trzysta egzemplarzy, o których istnieniu wiedział, udało mu się w ten sposób przebadać 263.

Późniejsze studia Kota imponować będą bogactwem odkrytego przezeń nowego rękopiśmiennego materiału. Tutaj rzecz ma się inaczej. I przed Kotem Frycz nie należał do autorów zaniedbanych w nauce polskiej. Z górą sto lat temu, w roku 1864, ukazało się studium o nim Antoniego Małeckiego, pierwsza polska monografia historyczno-literacka. Potem przyszły studia inne, głównie biograficzne. Toteż kwerenda archiwalna Kota mało miała tu już dorzucić nowych odkryć. Tym niemniej książka ta przynosi dużo nowego. Nikt przed Kotem nie pokusił się o pokazanie Frycza na tak szeroko i pewną ręką nakreślonym tle historycznym. Przebijają z niej już to, co odtąd będzie *faculté maitresse* Kota-historyka, jego wspaniałe życie się z epoką. Obrazowo ujął to kiedyś w rozmowie z autorem tych słów Nowaczyński, mówiąc, że ile razy ktoś z ludzi szesnastowiecznych kichnie, Kot zawsze potrafi powiedzieć mu „Na zdrowie”. Imponuje też przenikliwością krytyczną badacza. Świetnie panując nad materiałem, Kot umie zaskakująco dużo wyczytać z błahych, zdawałoby się wzmianek, rekonstruować wydarzenia przeszłości ze skąpych i na wpół zatartych śladów.

A przy tym wszystkim nie jest to książka ciężka w lekturze. Jest dobrze skomponowana, nigdy nie wpada w drobiazgowy przyczynkarstwo, nie traci z oczu linii przewodnich, wyraziście uzmysławia czytelnikowi etapy rozwoju duchowego Frycza i logikę tego rozwoju. „Kuchnia” badacza, materię ściśle erudycyjną, wszystko to zepchnięte zostało do przypisków. A i te zredagowane są oszczędnie.

Jest też *Andrzej Frycz Modrzewski* książką osobistą. Pisarza zrobiła z Frycza głęboko odczuwana potrzeba protestu przeciwko jaskrawej niesprawiedliwości społecznej wobec prawa, która znalazła wyraz w karze główszczyzny. Szlachcic płacił karą więzienia przez rok i sześć niedziel za zabójstwo szlachcica; za zabójstwo plebejusza mógł się wykupić tylko grzywną, i to dwunastokrotnie niższą, podczas gdy plebejusz zabójstwo szlachcica okupywał karą śmierci. Frycz uważał prawodawstwo takie za obrazę praw boskich i zwalczał je w szeregu broszur. Nuta protestu społecznego wyraźnie też dźwięczy i w jego wielkim dziele *De republica emendanda*. Dlatego właśnie był Frycz Kotowi bliski. To zabarwienie emocjonalne jest w książce dyskretne, utrzymane w ramach naukowego wykładu, ale wyczuwalne wszędzie.

Frycz Modrzewski to obok książki Kazimierza Morawskiego o Nideckim najświetniejsze studium biograficzne z dziejów kulturalnych Polski Złotego Wieku. Ponieważ zaś Frycz, powiernik Łaskich, sekretarz królewski, używany do poselstw zagranicznych, przyjaciel Uchańskiego (z czasem prymasa), człowiek bliski hetmana Tarnowskiego, polemista religijny, przez niemal że cały ciąg swego dojrzałego życia głęboko tkwił w najistotniejszych zagadnieniach, jakie nurtowały życie polskie ostatnich lat Zygmunta Starego i panowania Zygmunta Augusta, książka ta jest też doskonałym wprowadzeniem w historię kulturalną Polski ostatnich Jagiellonów.

Frycz jest dziś w kraju przedmiotem kultu. Zawdzięczamy temu kultowi jedno ważne osiągnięcie: krytyczne wydanie jego pism, tak w oryginałach łacińskich, jak i w polskim przekładzie. Zawdzięczamy mu też sporo nowych studiów, bardzo nierównej wartości. Najcenniejsze są tu prace Waldemara Voisé. Ale książka Kota pozostała po dziś dzień podstawowym, nie do zastąpienia, studium o Fryczu.

Równocześnie z książką o Fryczu wydał Kot i drugą jeszcze, *Rzeczpospolita polska w literaturze politycznej Zachodu*. Podniety do napisania tej książki były wcale nie wyłącznie erudycyjnej natury. Reakcja w latach przed pierwszą wojną światową przeciwko znanym teom szkoły historycznej krakowskiej spowodowała żywą dyskusję na temat przyczyn upadku Polski i wartości ustroju dawnej Rzplitej. Na problemy, poruszone w tej dyskusji, postanowił Kot spojrzeć z nowej perspektywy, zbadać, co też o ustroju Polski mieli do powiedzenia obcy pisarze polityczni. Zaczął od analizy relacji nuncjuszów XVI wieku, o tyle ważnych, iż na podstawie ich informacji gruntowały się opinie o Polsce szesnastowiecznych pisarzy politycznych, zamknął zaś książkę analizą dyskusji spraw polskich w publicystyce okresu rozbiorowego. Najwięcej uwagi skupił na Francuzach, szeroko,

zwłaszcza w pierwszych rozdziałach, uwzględnił Włochów oraz Niemców; literaturę polityczną angielską wyzyskał tylko ubocznie.

Powstała ta książka na marginesie zaskakująco rozległej lektury obcych pisarzy. Respekt budzi też swobodą, z jaką się autor jej porusza w swoim temacie: nie tylko referuje poglądy omawianych przez siebie autorów i pokazuje powiązania tych poglądów z okolicznościami politycznymi z czasów ich powstania, ale też nigdy nie jest więźniem swojej erudycji, wszędzie umie ograniczyć się do rzeczy istotnych. Książka jest też krótka i raczej należałoby jej zarzucić w niektórych partiach pewną szkicowość, zwłaszcza iż omawia m.in. poglądy tak znakomitych pisarzy jak Bodin, Campanella, Komenski, Leibnitz, Hume, Voltaire, Rousseau. Na temat Leibniza a Polski zapowiadał zresztą Kot osobną rozprawę, ale do napisania jej nigdy nie doszło.

Z obfitego materiału, zebranego w książce, dały się wyciągnąć wyraźne wnioski. Imponowała Zachodowi unia z Litwą. Imponowała też w XVI wieku, wieku wojen religijnych, polska tolerancja. I nie tylko imponowała:

„Droga wskazana przez Polskę stała się dla Zachodu wzorem: w walce, którą tam mniejszości różnowiercze prowadziły o uzyskanie równouprawnienia, przykład Polski służył jako argument i pierwowzór. Przez szczególniejszą ironię dziejów w wieku XVIII zwracał się do Polski z upomnieniami w sprawie dysydentów ten sam Zachód, który w okresie wojen religijnych piórem Bezy, Bauchera, Rose'a i Barclay'a oskarżał Polskę właśnie o nadmiar tolerancji”.

Powszechna natomiast w swym potępieniu była opinia o ustroju społecznym dawnej Rzplitej: „nikt nie miał odwagi chwalić i za wzór stawiać tego poniżenia, w jakim cały stan trzeci, a w szczególności włościanstwo w Polsce się znajdowało”.

Książka Kota, zwłaszcza jeśli idzie o wieki XVI i XVII, torowała nowe drogi, dotyczyła spraw, poruszanych przed nim tylko dorywczo i przypadkowo. Jakże wymownym jest fakt, że nie doczekała się ona ani jednej naukowej recenzji. W pewnej mierze zaciążył tu burzliwy rok 1919, w jakim się pojawiła. Ale w znacznej mierze zaważyła tu i nowość jej tematyki. A i później mało kto w dziedzinę tę się zapuszczał. Rolę argumentu ustroju polskiego, ponoć ważką, w publicystyce angielskiej rewolucji XVII wieku chciał opracować jeden z najzdolniejszych uczniów Kota, Marek Wajsblum. Ale pomysł ten, jak i tyle innych, zabrał ze sobą do grobu.

Obie książki od razu postawiły Kota w pierwszym rzędzie historyków polskich i otworzyły mu drogę do stworzonej dla niego w roku 1920 katedry historii kultury polskiej w Uniwer-

sytecie Jagiellońskim. Szybko potem, już w roku 1921, przyszło członkostwo Akademii Umiejętności.

Pierwsze lata powojenne były dla niego przede wszystkim latami pełnej rozmachu działalności pedagogicznej i organizacyjnej. Rozmachem tej działalności tłumaczy się też, że niektórych prac, przedstawionych wtedy w Akademii i znanych tylko ze streszczeń w jej *Sprawozdaniach*, nigdy potem nie wykończył. W uniwersytecie od razu stworzył ze swego seminarium żywy ośrodek badawczy. Był współtwórcą — i duszą — bardzo zasłużonego wydawnictwa, Krakowskiej Spółki Wydawniczej. W oparciu o to wydawnictwo stworzył w roku 1919 i redagował Bibliotekę Narodową. W roku 1921 założył czasopismo naukowe *Reformacja w Polsce*. Jego własna twórczość naukowa z tych lat to obok wspomnianych wyżej prac z historii wychowania z wielkim podreżnikiem uniwersyteckim na czele, rozprawy z dziejów reformacji.

W historii badań nad dziejami reformacji w Polsce stanowisko Kota jest przełomowe. Tak przez to co sam napisał, jak i przez to co zorganizował. Wstyd powiedzieć, ale przed pierwszą wojną światową w badaniach w tej dziedzinie prym przed Polakami wiedli obcy, Niemcy i Rosjanie, Dalton, Lubowicz, Kariejew, Wotschke, Völker i inni. Przykład Wotschkego jest tu szczególnie pouczający. Ten uczony pastor niemiecki mógł wydać tom korespondencji różnowierców polskich z teologami szwajcarskimi, ogłosić historię reformacji w Polsce i kilka dziesiątków rozpraw, nie zadawszy sobie trudu nauczenia się języka polskiego. Brak ten dotkliwie odbił się na wartości jego prac. Ostatecznie daleko nie wszystkie źródła do dziejów reformacji w Polsce pisane są po łacinie. Ale sam fakt, że w ogóle można było zaawanturować się w studia nad reformacją w Polsce, zupełnie zlekceważwszy polski dorobek naukowy w tej dziedzinie, ma swoją wymowę. Reformacja w Polsce była ruchem religijnym europejskiej doniosłości. Polska dzięki swej tolerancji stała się wielką kuźnią radykalnej myśli religijno-społecznej, szeroko oddziaływującej na świat, stąd studia nad nią przyciągają obcych uczonych, jak mało która dziedzina polskiej historii. Ale dzisiaj już poważniejsza praca nad reformacją w Polsce bez uwzględnienia dorobku nauki polskiej byłaby nie do pomyślenia. Tę rolę nauki polskiej dzisiaj w światowym dorobku studiów nad reformacją łatwo unaoczní każdemu zajrzenie do takich nowszych studiów, jak Delia Cantimoriego *Eretici italiani del Cinquecento* (1939), Amerykanina E. M. Wilbura pierwszy tom wielkiej *A History of Unitarianism* (1945), czy też książka innego amerykańskiego historyka, G. H. Williamsa, *The Radical Reformation* (1962). Wielka w tym zasługa Kota.

Kot doprowadził do stworzenia w roku 1919 w Warszawie Towarzystwa do Badań Reformacji w Polsce. Dało ono podstawy finansowe redagowanemu przezeń periodykowi, *Reformacji w Polsce*. Kiedy pierwszy jego zeszyt ukazał się w roku 1921, rozpętano przeciwko pismu nagonkę, której przewodził krakowski *Głos Narodu*, widzący w nim przejaw ofensywy antykatolickiej. Nagonka ta urwała się jak nożem uciętą z pojawieniem się zeszytu drugiego. Sprawił to profesor historii Kościoła w Uniwersytecie Jagiellońskim, ks. Jan Fijałek, *nota-bene* bardzo ciekawa indywidualność, rogata dusza, za młodu sympatyk modernizmu religijnego, który z czasem, po burzliwych przejściach, zamknął się w olbrzymiej, ale też i trochę ezoterycznej erudycji. Przesłał on redakcji pisma szkic o początkach reformacji na Żmudzi i przegląd zachodnich — łącznie z amerykańskimi — nowych publikacji źródłowych. Z czasem ogłosił on w *Reformacji* również magistralną rozprawę o wielkim hereziarsze polskim XVI wieku, Janie Łaskim.

Dziesięć tomów *Reformacji w Polsce*, jakie wyszły za redakcji Kota (tom ostatni, dziesiąty, był już w znacznej mierze złożony i odbity w momencie wybuchu wojny w roku 1939, w całości pojawił się w roku 1947) przynosi wielkie bogactwo przede wszystkim rozpraw źródłowych. Bogactwo to tym większe, że Kot, dbały o ekonomię miejsca, zmuszał autorów do streszczania się.

Tom pierwszy otwierała wstępna rozprawa Brücknera, najlepszego obok Kota znawcy reformacji, którego znakomity w żywoci przedstawienia i bogactwie treści tom szkiców *Różnowiercy polscy* (1905), jak żadna inna książka przyczynił się do rozbudzenia zainteresowania dla reformacji wśród ogółu kulturalnego i uświadomienia sobie bogactwa jej problematyki wśród badaczy. Dwa pierwsze tomy wypełnione są w znacznej mierze pracami badaczy starszego pokolenia, historyków politycznych, Kościoła, szkolnictwa, literatury. Wciągało też pismo do współpracy uczonych obcych. W tomie trzecim pojawiły się pierwsze prace uczniów Kota, i to od razu w dużej ilości, bo pięciu. Miały one odtąd dominować w piśmie.

Te dalsze tomy *Reformacji* wymownie świadczą o tym, jak żywotnym ośrodkiem naukowym było seminarium Kota. Sam będąc wzorem twardej, wyteżonej pracy, wymagał tej pracy i od drugich. Na seminarium trzeba mu było regularnie zdawać sprawozdania z postępów badań. Zmuszało to do systematyczności w pracy. Z tymi z uczniów, w których widział zdolności i zapał do wiedzy hojnie dzielił się i swymi wiadomościami, i zebranymi przez siebie materiałami. Nie pozwalał sobie w druku za to dziękować i tylko ci, co przeszli przez jego szkołę, wiedzą, jak

po wielkopańsku potrafił tu być szczodry. Prace doktorskie, które gdzie indziej pojawiałyby się w formie osobnych książek, wychodziły drukiem skomprimowane do objętości kilkudziesięciu, inna rzecz, że pakownych, stron *Reformacji w Polsce*. Wzorem tej umiejętności powiedzenia dużo w niewielu słowach są tam takie cenne prace uczniów Kota, jak Barycza monografie Krowickiego i Mączyńskiego czy Wajsbluma studium o dyteistach małopolskich.

Ta twarda opieka była tu tym potrzebniejsza, że studia nad reformacją nie miały w Polsce tradycji, która by narzucała obowiązujący poziom, a same są z natury trudne. Zmuszają do wgrzyzienia się w typy mentalności dalekie współczesnemu badaczowi, a źródła do nich są często wielojęzyczne i z reguły rozproszone. Przykładem tego, jak łatwo tu o potknięcia, mogą być dwie żenująco słabe książki, obie prace doktorskie, powstałe na seminariach wybitnych uczonych, z których żaden jednak nie mógł się mierzyć z Kotem orientacją w tym właśnie przedmiocie. Jedna z nich to studium o arianach Żanny Kormanowej, powstałe na seminarium Handlsmanna w Warszawie, a drugie to Pasierbińskiego monografia Hieronima Moskorzewskiego, ogłoszona w serii prac doktorskich Chrzanowskiego. U Kota nie do pomyslenia byłyby tego rodzaju nieporozumienia.

W *Reformacji w Polsce* zaczął ogłaszać teraz regularnie, niemal że w każdym roczniku swe rozprawy o różnowierstwie polskim. Nie były one pierwsze w jego dorobku. W roku 1912 ogłosił w *Muzeum*, zaskakujący rozmachem, syntetycznym zacięciem odczyt „Stan badań nad reformacją w Polsce i przedstawienie jej w wykładzie szkolnym”. W pewnej mierze pracą z dziedziny reformacji była też książka o Fryczu. Wreszcie w roku 1920 pod mistyfikatorskim pseudonimem „Studenta Mazura ewangelika” (lata studiów miał już dawno za sobą i nie był ani Mazurem, ani ewangelikiem) ogłosił propagandową broszurę *Polska a Mazowsze ewangelickie, okazanie prawdy historycznej*. Sprowokował ją plebiscyt na Mazurach pruskich, tak fatalnie zaniedbany z powodu wojny 1920 roku. Mazurzy pruscy są ewangelikami. Propaganda niemiecka szermowała argumentem, że dla ewangelików nie ma miejsca w polskiej tradycji, że Polska to państwo katolickie, reformacji wrogie. Zwalczając tę propagandę, Kot zobrazował w broszurze decydującą rolę Polski w sekularyzacji Prus, udział Polaków w dziejach uniwersytetu królewieckiego oraz omówił powstałą w Prusiech Wschodnich a wcale bogatą polską literaturę luterańską XVI wieku. Przedstawienie jest popularne, ale czuje się tam pewną rękę dobrego znawcy czasów i ludzi. Broszura wypadła też żywo i zasługiwałaby na wydobyście z zapomnienia.

Kota w reformacji nie interesowała problematyka teologicz-

no-filozoficzna. W studiach swych problemów tych unikał, a jeśli już przyszło mu je poruszać, robił to jak najpobieżniej. Reformacja interesowała go nade wszystko jako wielki ferment umysłowy, który wprowadził Polskę jako ważnego, aktywnego partnera w życie kulturalne Europy. Żywo interesowała go ideologia społeczna radykalnego odłamu różnowierstwa, Braci Polskich. Studiował też wpływ reformacji na dzieje szkolnictwa.

Studia jego z dziedziny reformacji mają w dużej mierze charakter studiów biograficznych. Niszczące wojny sprawiły, że w Polsce zachowało się bardzo mało archiwów prywatnych. Życiorysy ludzi szesnastego wieku trzeba z reguły zestawiać z przypadkowych danych, zacerpniętych z bardzo rozproszonych zazwyczaj źródeł, tak archiwaliów, jak i druków i rękopisów. Otóż w tej mozaikowej robocie Kot był wielkim mistrzem. Nie tylko dokopywał się licznych, przed nim nieznanych faktów biograficznych, ale też dzięki swej świetnej orientacji w epoce znakomicie potrafił materiałem tym operować, wyciągać z niego daleko idące wnioski. Erudycja walczy w tych studiach o lepsze z bystrością badacza.

Grubo jednak myliłby się ten, kto by osiągnięcia jego w studiach nad reformacją sprowadzał do ustalania danych biograficznych, pracy cennej, ale ostatecznie w nauce historii służebnej. Zza gąszcza faktów Kot dostrzegał i rozwiązywał problemy, prawie zawsze nowe, nieraz doniosłe. Tak więc, żeby to pokazać na konkretnym przykładzie, pierwszy tom *Reformacji w Polsce* przyniósł jego rozprawę „Polacy w Bazylei za Zygmunta Augusta. U źródeł polskiej myśli krytycznej XVI wieku”. W szóstym i siódmym dziesięcioleciu szesnastego wieku Bazylea była oazą względnej tolerancji religijnej. Schronili się tam uchodzący prześladowań włoscy radykałowie religijni (niektórzy z nich znaleźli potem przystań w Polsce), wśród których szczególnie głośny był Celio Secundo Curione. Osiedlił się tam także wygnaniec z Francji, humanista i teolog, Sébastien Castellion. Obaj oni walczyli o tolerancję religijną. Castellion zwalczał prześladowania heretyków. Curione zajmował się zagadnieniem, które dziś jest szczególnie doniosłością w ruchu ekumenicznym, czy istnieje zbawienie poza Kościołem. I odpowiadał na nie emfaticznym tak.

Sława ich obu dotarła do Polski. Kot naliczył się około siedemdziesięciu ich polskich uczniów. Tyle ma do powiedzenia o tych uczniach, ich wzajemnych powiązaniach, peregrynacjach, studiach na innych uniwersytetach, i tak chce skomprimować wszystkie te wiadomości, że duże partie jego rozprawy nie są ani łatwą, ani ponętną lekturą. Są stanowczo przeładowane szczegółami. A przegryźć się przez rozprawę warto, bo przynosi ona dużej wagi osiągnięcia naukowe. Ci Polacy, którzy studiowali

w Bazylei, to byli przeważnie synowie zamożnych rodzin protestanckich. Trafiali się wśród nich i magnaci. Byli to więc ludzie w życiu politycznym i kulturalnym w kraju wpływowi. Szerzyli oni po powrocie do Polski ideę tolerancji. Niektórzy z nich w latach sześćdziesiątych wrócili do katolicyzmu. Powrócili bez nacisków zewnętrznych, po prostu rozczarowani rozłamami, anarchią obozu reformacyjnego. Ale rzecz znamienna, i jako katolicy pozostali wierni zasadom tolerancji.

Rozprawa pokazuje więc, skąd do szesnastowiecznej Polski przychodziła idea tolerancji religijnej i jak się w niej rozpow szechniała. Ale to jeszcze nie wszystko. Okazuje się bowiem, że oddziaływanie było tu obustronne. Studenci polscy szerzyli w Bazylei sławę Polski jako ośrodka tolerancji. I to szerzyli skutecznie. C. S. Curione dedykuje — za zgodą króla — swe podstawowe dzieło *De amplitudine regni Dei* Zygmuntowi Augustowi. Król podziękował mu za nie darem stu dukatów. Za patrona innego znów swego dzieła wybrał Curione hetmana Jana Tarnowskiego.

Szesnastowieczna Bazylea była ważnym ośrodkiem wydawniczym. Curione był, jak byśmy dziś powiedzieli, kierownikiem literackim najwybitniejszego tam wydawnictwa, Oporyna. Prasy Oporyna zaczynają tłoczyć książki Polaków: wielki foliant *De republica emendanda* Frycza, historię Polski Kromera, polemiczną rozprawę Łaskiego.

Niewielka rozmiarami rozprawa — bez mała trzydzieści stron, prawda że nabitych drukiem — odsłania więc jakże bogatą i chlubną kartę dziejów kulturalnych Polski. Tematy innych jego rozpraw to pierwsza szkoła protestancka w Polsce, gimnazjum pinczowskie, „Hugo Grotius a Polska” — rozprawa ta, ogłoszona w trzechsetną rocznicę pojawienia się dzieła *De jure belli et pacis*, omawia zarówno związki osobiste, jak i znajomość dzieła Grotiusa w Polsce, — oddziaływanie Braci Polskich w Anglii, Erazm Otwinowski, w którym Kot widział autora anonimowego zbioru wierszy z XVI wieku, tzw. „Anonima protestanta”, co ostatnio zakwestionowano.

Reformacji też w znacznej mierze poświęcony jest zbiór tekstów źródłowych, *Humanizm i reformacja w Polsce* (1927). Z górą trzy czwarte tekstów tego tomu opracował Kot, resztę Ign. Chrzanowski. Książka przynosi obszerny — około 500 stron — wybór podstawowych źródeł do dziejów kultury polskiej w XV i XVI wieku, zebranych z często małodostępnych publikacji. Dla kogoś, kto jest trochę otrząskany z łaciną, a chciałby się zapoznać z problemami kultury staropolskiej z pierwszej ręki, na materiale owoczesnych tekstów, jest to po dziś dzień najlepsze w nie wprowadzenie.

W roku 1932 pojawiła się najobszerniejsza praca badawcza Kota z dziejów reformacji, książka pod trochę przydługim tytułem *Ideologia polityczna i społeczna Braci Polskich, zwanych arianami*. Angielski przekład uzupełnionego w szczegółach przez autora tekstu wyszedł w roku 1957 w Bostonie pod zgrabniejszym, ale i trochę za szerokim tytułem *Socinianism in Poland*. Książka ta wywinęła się z przedmowy do wydanego przez Kota osobno jednego z najciekawszych dzieł reformacyjnych, książki *O urzędzie miecza używającym* Szymona Budnego, zachwałego radykała w dziedzinie myśli religijnej i równocześnie społecznego konserwatysty, energicznie zwalczającego radykalne tendencje społeczne wśród własnych współwyznawców.

Bracia Polscy są tak fascynującym ruchem religijnym przede wszystkim dla dwóch radykalnych idej społeczno-polityczno-religijnych, które się wśród nich wykuły i dały asumpt do namiętnych polemik. Jedną z nich to przekonanie, że chrześcijaninowi nie wolno dzierżyć „urzędu miecza”, że nie wolno mu siłą przeciwstawiać się złu. Stąd wywodzi się skrajny pacyfizm niektórych spośród nich. Drugą z tych idej to zasada, iż chrześcijaninowi nie wolno korzystać z pracy rąk cudzych, że musi on na swój chleb zarabiać sam. Przemyślana do końca zasada ta oznaczała zerwanie z instytucją pańszczyzny i prowadziła w konsekwencji do zniesienia przedziałów stanowych.

Dyskusja na temat tej drugiej zasady nie toczyła się wśród Braci Polskich *in vacuo*. Konkretnymi sprawdzianami jej użyteczności społecznej i wartości moralnej były dla nich teoria i praktyka życia grupy niemieckich anabaptystów, którzy znaleźli schronienie na Morawach i stąd znani są pod nazwą „komunistów morawskich”. Bracia Polscy nawiązali z nimi kontakt, starali się poprzez swoich wysłanników eksperyment społeczny morawskich anabaptystów poznać, polemizowali z nimi i zasady ich życia poddali gruntownej krytyce. Największą zaletą książki Kota jest pokazanie uwikłania w konkretnej rzeczywistości społecznej teoretycznych dyskusji, toczących się wśród polskich radykałów religijnych, sumienne prześledzenie kontaktów polskich z niemieckim anabaptyzmem i pokazanie, jakiego typu bodźce ideowe kontakty te dały. Budny, który w polemikach tych zajął skrajnie prawicową pozycję, odegrał w nich ważną, ale bynajmniej nie dominującą rolę. Poświęcono mu też jeden na czternaście rozdziałów książki. W zakończeniu książki pokazał Kot, jak Bracia Polscy w ostatniej fazie swego rozwoju ewoluowali od radykalizmu społecznego do humanitaryzmu.

Książka Kota odwojowała nauce ważny i niezwykle ciekawy szmat dziejów kulturalnych dawnej Polski. Dość powiedzieć, że

podstawowe sprzed pierwszej wojny światowej opracowanie historii prądów społecznych protestantyzmu, Ernsta Troeltscha *Die Soziallehren der christlichen Kirchen und Gruppen* (1912) wkład myślowy Braci Polskich w ogóle przeoczyło.

W roku 1933 Kot znalazł się wśród profesorów, pozbawionych katedr za antysanacyjną działalność polityczną. Pamiętano mu przede wszystkim, iż był głównym organizatorem głośnego Protestu Brzeskiego uczonych polskich. Nie można powiedzieć, aby jego osobiście represja ta naraziła na poważniejsze przykrości. Jako emeryt pobierał około 90 procent swej pensji profesorskiej. Tyle tylko, iż spensjonowanie zostawiło mu dużo więcej wolnego czasu dla uprawiania polityki. Natomiast represja ta podcięła byt jedyne w tym rodzaju w Polsce, żywego i płodnego ośrodka pracy badawczej. Byli indywidualni uczeni, którzy niezależnie od Kota prowadzili owocne badania nad reformacją polską, żeby wymienić tylko Ludwika Chmaja i Konrada Górskiego. Nie było drugiego, który by kształcił młodych badaczy w tej dziedzinie, i to z jak świetnymi rezultatami. Prawda, Uniwersytet mógł sobie pozwolić i po spensjonowaniu go na tyle niezależności wobec reżymu, że zlecił mu dalsze prowadzenie seminarium historii kultury, ale, rzecz prosta, daleko było od takiego rozwiązania do normalnego funkcjonowania katedry. A nie wyłącznie tylko studiom nad reformacją seminarium Kota było poświęcone. Stworzył on z niego także, również płodne, centrum badań nad historią szkolnictwa w Polsce od XVI do końca XIX wieku. Prowadzono też na tym seminarium badania nad stosunkami kulturalnymi Polski z Zachodem i na krótko przed spensjonowaniem Kota zabrano się do pracy nad kartoteką źródeł do tych stosunków.

Kot był rzadkim typem uczonego, który pasję badawczą łączył z zainteresowaniami urodzonego pedagoga, umiejącego odkrywać nowe talenty naukowe i otaczać je troskliwą opieką. Wyszedł z jego seminarium spory zastęp pracowników naukowych. Żeby wymienić tylko najwybitniejszych: Henryk Barycz (długoletni asystent Kota, potem następca na katedrze w Krakowie), ks. Stanisław Bednarski (świetnie zapowiadający się uczonego, zamordowany przez hitlerowców, autor doskonałej książki o reformie szkolnictwa jezuickiego XVIII wieku oraz monografii Stanisława Warszawskiego, ciągle jeszcze czekającej na druk), Stanisław Bodniak, Jan Hulewicz (po wojnie profesor historii oświaty w Krakowie) Alodia Kawecka-Gryczowa (po śmierci Piekarskiego najwybitniejsza specjalistka w dziedzinie starodruków), Stanisław Szczotka, Marek Wajsblum, Ignacy Zarębski, Jerzy Zathej. Indywidualność profesora, nowość problematyki, atmosfera rzetelnej pracy naukowej ściągały też na jego seminarium

ludzi, którzy potem, w swej własnej pracy poświęcili się innym zupełnie zagadnieniom, jak Marię Czapską, Józefa Feldmana, Bogdana Suchodolskiego.

Kot umiał utrzymać ścisłą granicę między swoją działalnością polityczną a pracą na katedrze. Do najbliższych jego uczniów należeli i komunista Wajsblum, i jezuita ks. Bednarski. Jeśli forytował jaką grupę, to synów chłopskich z Rzeszowskiego. Był na seminarium wraz ze mną jeden z nich, który wtedy właśnie wstąpił do sanacyjnej organizacji chłopskiej, tzw. „kadzichłopów”. Kot, owszem, czasem dokuczył mu jakimś złośliwym powiedzeniem, ale mowy nie było o tym, aby go „tępił”. I uczeń ów musiał wynieść z jego seminarium nienajgorsze wspomnienie, skoro posłał potem swą rozprawkę do księgi ku jego czci. Nazwisko jego znaleźć można wśród współautorów *Studiów z dziejów kultury*.

Wkrótce po zniesieniu katedry Kot wybrał się na poszukiwania biblioteczne do nie objętej jeszcze jego kwerendą Anglii. Rezultaty tych poszukiwań ogłosił potem w dwóch pracach, w obszernej, bez mała stustronicowej rozprawie materiałowej „Anglopolonica. Angielskie źródła rękopiśmienne do dziejów stosunków kulturalnych Polski z Anglią”, ogłoszonej w 20-tym tomie *Nauki Polskiej*, oraz we wspomnianym wyżej a ogłoszonym w *Reformacji* studium „Oddziaływanie Braci Polskich w Anglii”. Kot spędził w Anglii wszystkiego parę tygodni, a jednak przywiózł stamtąd bogactwo różnorodnego materiału, przede wszystkim z XVII wieku i dotyczącego głównie angielskich powiązań Braci Polskich. Ale i do dziejów postaci tak, zdawałoby się, gruntownie przebadanych, jak Jan Łaski — książki Kuypera i Daltona, wcale liczne rozprawy — zebrał nowe dane. Trudno nie podziwiać wspaniałej bystrości badawczej i zdolności organizowania sobie pracy uczonego, który w nowym terenie mimo słabej znajomości języka zdołał w tak króciutkim czasie zebrać tak obfite plony.

Zaproszenie na wykłady w Collège de France przyniosło w rezultacie studium „Le Mouvement Antitrinitaire au XVI^e et au XVII^e siècle”, ogłoszone w serii *Humanisme et Renaissance* (skróconą polską wersję ogłosiły *Wiadomości Literackie*). Jest to jedna ze słabszych prac Kota. Pewną ręką nakreślono tu zarys dziejów polskiego radykalizmu religijnego, scharakteryzowano ideologię polityczno-społeczną Braci Polskich, pokazano ich związki z Zachodem. Ale doniosłość historyczna Braci Polskich to w wielkiej mierze ich śmiała filozoficzno-teologiczna myśl i jej bogate powiązania z siedemnastowieczną filozofią, z Descartes'em, Mersenne'em, Spinozą, Lockem, a te sprawy zostały poruszone tutaj przelotnie tylko i powierzchownie.

Inaczej ma się rzecz z dwoma jego innymi studiami syntetycznymi, które są trochę na uboczu głównego nurtu jego badań i które przez bogactwo poruszanej problematyki są ważnymi osiągnięciami naukowymi. Jedno z nich to obszerny — ponad sześćdziesiąt stron druku — referat na Zjazd naukowy im. Kochanowskiego z 1930 roku, „Polska Złotego Wieku wobec kultury zachodniej”, drugie to tekst krakowskiego odczytu „Świadomość narodowa w Polsce wieku XV-XVII”, ogłoszonego w *Kwartalniku Historycznym* z 1938 roku. Oba one, przynoszące obfity, świeży materiał faktyczny, choć bez odsyłaczy źródłowych, poruszają pewne kluczowe problemy kultury staropolskiej i rzucają na nie sporo nowego światła.

„Polska Złotego Wieku wobec kultury zachodniej” odsłania skomplikowaną dialektykę walki zamiłowania do swojskości z podatnością na obce wpływy i entuzjazmem dla kultury Zachodu. Pokazuje, jak się te sprawy przełamywały w ideologii, obyczaju, stroju. Analizuje na tle związków z Zachodem polską świadomość narodową w XVI wieku, stosunek do obcych i do własnej tradycji. Pokazuje też, jak w ostatnim ćwierćwieczu stulecia doszło — mimo nasilenia się wyjazdów za granicę — do rozluźnienia więzów z Zachodem i tłumaczy przyczyny tego zjawiska. Wykład, przejrzysty mimo bogactwa treści, ożywia zgrabnie dobrany materiał anegdotyczny.

Tematycznie bliska tej pracy jest „Świadomość narodowa w Polsce wieku XV-XVII”. Świadomość odrębności narodowej była w Polsce wykrystalizowana, głównie w związku z antagonizmem wobec Niemców, już w XV wieku. A równocześnie w XVI i XVII wieku nakładały się w świadomości ludzi na siebie różne pojęcia „narodu”: jedno łączy się ściśle z państwem, inne odpowiada prowincji, inne jeszcze — przynależności stanowej. Komplikuje zagadnienie, jak zawsze w takich sprawach, płynność terminologii. W średniowiecznej polszczyźnie słowo „naród” oznaczało „pokolenie”, „potomstwo”, potem bywało też synonimem klasy społecznej. Zachodzą też na siebie w owoczesnym użyciu znaczenia słów łacińskich *gens*, *populus*, *natio*. Szkic Kota mógł na kilkunastu stronach tylko wypunktować zagadnienia i zilustrować je wyrazistymi cytatami. Zaslugą Kota jest tu postawienie problemu i zwrócenie uwagi na trudności w jego rozwiązaniu.

Obraz przedwojennych osiągnięć Kota byłby mocno niepełny, gdyby go nie uzupełnić jego działalnością wydawniczą. Dwie w szczególności instytucje przynoszą zaszczyt polskiemu ruchowi wydawniczemu w latach bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości. Obie odznaczały się szlachetną i pełną rozmachu inicja-

tywą kulturalną. Związane są też z nimi najlepsze nasze miesięczniki okresu międzywojennego, *Przegląd Warszawski* i *Przegląd Współczesny*. Jedna z nich to warszawsko-bydgoski Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”, druga to Krakowska Spółka Wydawnicza, specjalizująca się w wydawnictwach historycznych, historyczno-literackich oraz w publikacjach tekstów literackich. Oba padły ofiarami kryzysu gospodarczego: „Biblioteka Polska” wcześniej, bo już w roku 1925, Krakowska Spółka Wydawnicza w parę lat później.

W Krakowskiej Spółce Wydawniczej Kot *magna pars fuit*. Szczególną jego tu zasługą jest zorganizowanie w roku 1919 i redagowanie aż do wojny „Biblioteki Narodowej”. Białe jej tomiki z charakterystyczną (inna rzecz, że graficznie nie najszcześliwiej rozwiązaną) okładką dobrze zapisały się w pamięci każdego, kto przeszedł przez szkołę średnią w latach międzywojennych. „Biblioteka Narodowa” bowiem od razu zdobyła sobie dominujące stanowisko w programach lektur szkolnych, w tak oczywisty sposób biła wszystkie analogiczne serie przedruków literackich i poprawnością tekstów, i poziomem opracowań. Obliczona ona była przede wszystkim na młodzież szkolną, ale jej plan wydawniczy daleko poza programy szkolne wykraczał. Wstępy w założeniu popularne, opracowane przeważnie przez najlepszych polskich specjalistów, niejednokrotnie były nowym wkładem w naukę.

Plan wydawnictwa nakreślony był z rozmachem. Trudno by wskazać drugą analogiczną serię, która by się odważyła wydawać Galla, Długosza, prozę i poezję polskiego średniowiecza, *Dzieje w koronie polskiej* Górnickiego, *Nadobną Paskwalinę* Twardowskiego, tomy tekstów źródłowych do czasów saskich i Konfederacji Barskiej, *Pamiętniki* Wybickiego, *Listy z podróży* Odyńca.

Po załamaniu się Krakowskiej Spółki Wydawniczej Biblioteka Narodowa przejęta została przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich (który też kontynuuje ją po dziś dzień pod redakcją Jana Hulewicza), ale tempo wydawania poszczególnych tomów, bardzo bystre z początku, zostało znacznie zwolnione. Mimo to z chwilą wybuchu wojny pierwsza seria „Biblioteki Narodowej” liczyła sobie już 125 pozycji. Było bowiem takich seryj dwie. Druga z nich przynosiła przekłady z literatury obcych. I jej plan odznaczał się rozmachem. Gdzież indziej można było znaleźć takie pozycje jak *Trzy poetyki klasyczne*, mowy Demostenesa, pełny tekst *Wyznań* św. Augustyna, wybór listów francuskich XVII i XVIII wieku, czy rozprawę Rousseau'a *Uwagi nad rządem Polski*. Opracowania były z reguły profesorskie. Ale nie wyłącznie. Doceniając świetne walory pióra Boya, Kot zlecił mu opracowanie aż siedmiu pozycji tej serii. Szczególnie zabiegał o drukowanie w tej serii przekładów z autorów antycznych. Trzeba jednak przyznać,

że jest to najbardziej kontrowersyjny dział całej imprezy. Sporo spośród tych tłumaczeń to przekłady „profesorskie”, sumienne, ale cóż z tego, skoro dają czytelnikowi mocno niedoskonałe wyobrażenie o wartości artystycznej tłumaczonego klasyka.

Kot starannie wyszukiwał współpracowników, zamawiał opracowania i przekłady na długie lata naprzód. Dbając o poziom naukowy, czekał nieraz latami, póki dany uczyony nie skończy swoich badań nad tym czy innym utworem. Dlatego to *Pan Tadeusz* jest jedną z dalszych pozycji serii. Pilnie wglądał w szczegóły, przedyskutowywał z autorami wstępne rozprawy, komentarze, lekcje tekstów. I oto rzecz wymowna: nazwiska jego jako redaktora darmo by szukać na okładkach tomów „Biblioteki Narodowej”.

Niektóre z tych tomów były wydarzeniami w świecie polonistycznym. Takim było wydanie *Beniowskiego*, w którym Kleiner po raz pierwszy wprowadził ład w beznadziejny, wydawałoby się, chaos fragmentów dalszych pieśni. Takim był *Pan Tadeusz* w opracowaniu Pigoń, tak dla wstępu, stanowiącego zwięzłą monografię poematu, jak i dla znakomitych w swej precyzji i obfitości informacji komentarzy. Wydanie *Pamiętek Soplicy* w opracowaniu Szweykowskiego pierwsze usunęło gruby pokost „poprawek” dziewiętnastowiecznych i przywróciło autentyczny kształt świetnego w swym bogactwie i dosadności języka Rzewuskiego.

Wydarzeniem było też wydanie przez Kota *Kazań sejmowych* Skargi (1925), jeden z dwóch tomów „Biblioteki Narodowej” w jego opracowaniu (drugim jest *Powrót posła*). Skargą interesował się Kot od dawna. Jeszcze w roku 1913 ogłosił pod pseudonimem Konstantego Stankowskiego „Pokłosie Skargowskie”, z zacięciem, werwą napisane omówienie literatury jubileuszowej z poprzedzającego roku.

Obszerna rozprawa wstępna Kota przynosiła po raz pierwszy odczytanie sensu politycznego *Kazań* i po raz pierwszy mocno osadziła je w kontekście historycznym. Dała też ich zwięzłą analizę stylistyczną, dziś zdezaktualizowaną przez gruntowną książkę Mirosława Korolki, wtedy odkrywczą.

Był też Kot jednym z najaktywniejszych członków Polskiej Akademii Umiejętności. Redagował dwie jej serie: Bibliotekę Pisarzy Polskich, przynoszącą staropolskie teksty literackie oraz Archiwum do Dziejów Literatury i Oświaty w Polsce, w której sam wydał tom korespondencji Mariciusa. W ogóle jego działalność organizacyjna w różnych dziedzinach nauki była bogata, płodna i — trudno uchwytna, bo wyprany z próżności, nie miał w sobie nic z małostkowości człowieka, dopominającego się o publiczne dowody uznania, ba, nie zależało mu na tym, aby jego praca tutaj była poświadczona publicznie.

Był np. duszą krakowskiego Zjazdu im. Kochanowskiego z roku 1930, zorganizowanego w czterechsetną rocznicę urodzin poety. W jego rękę była organizacja Zjazdu, ale oficjalnym przewodniczącym Komitetu zjazdowego był nie on, tylko prezes Akademii, Rozwadowski. Z jego też inicjatywy Zjazd skoncentrował się na systematycznym przeglądzie różnych dziedzin kultury polskiej Złotego Wieku. Najważniejszym też rezultatem naukowym Zjazdu była wydana w roku 1932 okazała księga zbiorowa, *Kultura staropolska*. Książka ta nie tylko była bogatym przeglądem naszej wiedzy o czasach zygmunto-wskich, ale w szeregu referatów odwojowywała nauce nową problematykę i dawała przykłady nowych metod badawczych. Jako redaktor tomu figuruje — „Komitet Zjazdu Naukowego im. J. Kochanowskiego”.

Bardzo też leżała Kotowi na sercu sprawa *Polskiego Słownika Biograficznego*. W roku 1929 ogłosił w *Pamiętniku Warszawskim* szkic, dyskutujący różne możliwe koncepcje takiego słownika. Ostateczne zorganizowanie pracy nad *PSB* to w pierwszym rzędzie zasługa naczelnego redaktora pięciu jego przedwojennych tomów, Władysława Konopczyńskiego. Ale Kot był nie tylko jednym z najaktywniejszych członków Komitetu Redakcyjnego, ale także i jednym z najczynniejszych współautorów. Artykuły jego z reguły przynoszą biografie oparte na nowych danych źródłowych.

Szczególnie wymownym przykładem płodnej zakulisowej działalności Kota były jego stosunki z Aleksandrem Brücknerem. Mimo iż dzieliła ich różnica wieku bez mała trzydziestu lat nikt inny z uczonych polskich nie miał tak bliskich stosunków z wielkim samotnikiem berlińskim jak właśnie Kot. Brückner od razu, w roku 1910, poznał się na wielkim potencjale młodego autora rozpraw „Andrzej Frycz z Modrzewa o wychowaniu i szkole” oraz „Szkoły lewartowskiej” i ogłosił o nich pochlebną recenzję w *Pamiętniku Literackim* (pierwszą z tych rozpraw omówił także w *Książce*). Odtąd też będzie uważnie śledził twórczość naukową Kota. W czasie wojny zbliżyła ich polityka. Kot był szefem biura prasowego NKN’u, a Brückner blisko współpracował z przedstawicielem NKN’u w Berlinie Feldmanem, pisywał do redagowanych przez Feldmana *Polnische Blätter* i ogłaszał inspirowane artykuły o sprawie polskiej w prasie niemieckiej. Zapomniana to karta działalności Brücknera.

Po wojnie stosunki te zacieśniły się, tym razem już na gruncie wyłącznie naukowym. Kot wciągnął Brücknera do współpracy w *Reformacji w Polsce* oraz w „Bibliotece Narodowej”, dla której opracował on dziewięć pozycji. W swych licznych podróżach zagranicznych zahaczał Kot zwykle o Berlin dla spotkania się z Brücknerem; bywały też umyślnie w tym celu przedsięwzięte

wypadu. Jak to wiemy z ogłoszonych w *Wiadomościach* wspomnień Józefa Frejlicha, Brückner na łożu śmierci, w maju 1939 roku, prosił, aby wszystkie pozostałe po nim rękopisy i notatki przekazać Kotowi, „bo tylko Kot — były to słowa umierającego profesora — potrafi je odpowiednio wykorzystać”.

Te bliskie stosunki wyzyskał prezes Akademii, Jan Rozwadowski, dla namówienia Brücknera do opracowania słownika etymologicznego języka polskiego. Jak i inni krakowscy językoznawcy, — wyjątkiem był tu Łoś, — nie utrzymywał on z Brücknerem stosunków. Uważał jednak, że jeśli Brückner do opracowania takiego dzieła się nie zabierze, to na słownik etymologiczny innego pióra długo przyjdzie czekać (dziś można by datę uściślić: do roku 1952, kiedy zaczął wychodzić *Słownik etymologiczny* Franciszka Sławskiego, od Brücknerowskiego dużo solidniej zrobiony, ale też po dziś dzień, po ćwierćwieczu, doprowadzony wszystkiego do litery Ł). Namówił więc Kota, aby niby to w swoim imieniu starał się Brücknera do pracy nad takim słownikiem przekonać. Kotowi misja ta się nadspodziewanie powiodła. Brückner po krótkim wahaniu do pracy tej się zapalił, wykonał ją tak szybko, jak to tylko on jeden potrafił, i już w roku 1927 jego *Słownik etymologiczny języka polskiego* pojawił się drukiem.

Dzieje kultury polskiej, swoje *magnum opus*, nazwał Brückner w jednym z listów „Dziełem Wila (Feldmana) i Kota”. Kot nie tylko namówił Brücknera na napisanie tego dzieła, ale i zajął się jego rękopisem. Nie była to opieka łatwa. Brückner był bowiem jedynym swojego rodzaju przykładem genialnego impresjonisty w nauce. Pisał od pierwszego rzutu, przeważnie z pamięci, niesłuchanie żywo, ale też i nieporządnie. Kot w sam układ materiału, sposób przedstawienia, oczywista, ingerować nie mógł, ale znalazł w książce trochę błędów faktycznych, które poprawił, i trochę ujęć, które nie widziały mu się trafne. Brückner był bardzo drażliwy. Sam poglądy swe lekko zmieniał, ale gdy kto jakiś z nich zaatakował, zaciekle upierał się przy swoim zdaniu. Kot zdecydował, że załatwić się to da tylko osobiście i wybrał się z rękopisem do Berlina. Okazał się tym razem dobrym dyplomata, bo Brückner sugerowane przezeń zmiany przyjął. Inicjatywie Kota zawdzięczają też *Dzieje kultury* zaopatrzenie ich w sto stron solidnych indeksów, tym tu potrzebniejszych, iż nigdy nie wiadomo w jakim akurat miejscu z tą czy inną wiadomością przyjdzie Brücknerowi fantazja wystrzelić.

Dzieje kultury ukazały się w roku 1931. Miała je wydać Krakowska Spółka Wydawnicza, ale ponieważ zbankrutowała, jako wydawca figuruje drukarnia Anczyca. Dla drugiego wydania Brückner dopisał tom czwarty, obejmujący wiek XIX-ty.

Wydania tego już się nie doczekał. I tu Kot zajął się przygotowaniem tomu do druku. Ukazał się on ostatecznie dopiero w roku 1946. Na karcie tytułowej znaleźć tu można informację: „Do druku przygotowali Prof. Stanisław Kot i dr Jan Hulewicz”. Na dobrą sprawę powinna ona była figurować we wszystkich czterech tomach.

Mnóstwo pracy włożył też Kot w przygotowanie do druku pięknie wydanej przez Trzaskę, Ewerta i Michalskiego tuż przed wojną dwutomowej *Encyklopedii staropolskiej* Brücknera: oto co pisze o tej jego pracy w pamiętnikach swoich dyrektor wydawnictwa, Stanisław Lam:

„Wybór właśnie jego osoby okazał się bardzo szczęśliwy, gdyż Kot w 'oszlifowanie' drogocennych kamieni autora włożył tyle umiejętności i wiedzy, a tyle także pietyzmu dla dokonań swego starszego przyjaciela, iż całej Encyklopedii wyszło to na pożytek niemały. Tu dodana data, tam jakiś szczegół, tu dopisanie jednego zdania lub usunięcie pozornej czy istotnej sprzeczności, a nawet spis haseł, które by jeszcze Brückner miał 'dorozić', wreszcie cały skorowidz rzeczowy — oto nad czym czuwał prof. Kot, poświęcając swój czas tej przystudze oddanej dziełu Brücknera i nauce. Tam gdzie tematy wykraczały poza kompetencje 'adjustratora' tekstu, zwracał się prof. Kot do innych specjalistów”.

Cała ta ogromna praca pokwitowana została w druku wzmianką petitową pod koniec tekstu „rękopis przygotował do druku prof. dr Stanisław Kot”. Na karcie tytułowej obok autora figuruje tylko Karol Estreicher, który książkę „materiałem ilustracyjnym uzupełnił”.

Lata drugiej wojny światowej były znowu latami ugorowania Kota-uczonoego, jeśli nie liczyć popularnej broszury angielskiej *Five Centuries of Polish Learning* (1941), która doczekała się przedruku aż w Bombaju, i jednego czy dwóch okolicznościowych szkiców. Ale kiedy w roku 1947 wrócił do Londynu jako emigrant, powrócił też i do pracy naukowej. Z zawieruchy wojennej zdołał ocalić część swoich notatek i przewieźć je na emigrację. Oddani uczniowie w kraju zawsze gotowi byli, nawet w trudnych latach, do kwerendy bibliotecznej. Miał rozległe kontakty w europejskim świecie naukowym i był w nim wysoce ceniony. Nie brakło mu zewnętrznych dowodów tego uznania: wybór do międzynarodowego komitetu, mającego opracować wydanie dzieł Grotiusa, członkostwo włoskiej Accademia dei Lincei, doktorat honorowy uniwersytetu oxfordzkiego z lat wojny i ba-zylejskiego, nadany mu w roku 1960, z okazji uroczystości pięć-

setlecia uniwersytetu. Miał więc szeroko otwarte przed sobą łamy europejskiej prasy naukowej.

Nie opuszczała go też pasja badań naukowych. W Paryżu regularnie przesiadywał w Bibliothèque Nationale, w Londynie — w British Museum. Gdy tylko mógł, chętnie urządzał wyprawy do różnych bibliotek i archiwów europejskich w poszukiwaniu poloniców. Ale pisał z oporami, najczęściej dopiero wtedy, gdy zmuszały go po temu bodźce zewnętrzne, zaproszenie na wykład czy do współpracy w jakimś wydawnictwie zbiorowym.

Powojenna jego bibliografia naukowa wyraża się liczbą bez mała dwudziestu pozycji. Są wśród nich prace materiałowe. Tak więc Kot ogłosił z unikatami teksty trzech nieznananych broszur reformacyjnych i poemat Cypriana Bazylaka z 1562 roku. Najokazalsza z tych prac materiałowych, której pierwszy rozdział drukowały *Harvard Slavic Studies*, dalsze *Oxford Slavonic Papers*, a ostatni, zredagowany po włosku, rzymskie *Ricerche Slavistiche*, przynosi popularne charakterystyki różnych narodowości, a w szczególności Polaków i mieszkańców poszczególnych dzielnic Polski, wynotowane z rękopisów średniowiecznych oraz XVI i XVII wieku. W znacznej mierze są to świadectwa wzajemnych niechęci narodowych, plemiennych, prowincjonalnych. W polskiej literaturze naukowej traktuje o tych sprawach żywo napisana książka Bystronia, *Megalomania narodowa*. Bogaty materiał do stosunków polsko-niemieckich przynosi też erudycyjna, ale ujęta w duchu tępej, zawziętej nienawiści do Polaków książka Kurta Lücka. Sporo poloniców, ogłoszonych *in crudo*, znaleźć można również w amerykańskim *Dictionary of International Slurs* A. A. Robacka. Zbiór Kota, wydobywający na światło dzienne obfity materiał, sięgający jeszcze w średniowiecze, daje bez porównania bogatszą perspektywę dla studiów popularnych sądów o obcych.

Ostatnia część studium, ta z *Ricerche Slavistiche*, przynosi obfity zbiór łacińskich i polskich wierszy, znalezionych przez Kota w roterdamskim rękopisie. Jest wśród nich ciekawe znalezisko, obszerny wiersz, *Descriptio gentium*, znany skąd inąd, ale bez nazwiska autora. W rękopisie roterdamskim figuruje on jako autorstwa Sarbiewskiego. Ponieważ Sarbiewski, jak to wiemy z jego *Poetyki*, charakterystykami poszczególnych narodów się interesował, autorstwo to jest prawdopodobne. Wydał też Kot z tegoż rękopisu polski przekład *Descriptio gentium*, pióra Daniela Naborowskiego, również tegoż poety barokowego.

Niektóre z tych emigracyjnych prac Kota podejmują tematykę jego przedwojennych studiów polskich, z reguły wzbogacając je o nowe dane. Pisał też przy różnych okazjach o powiązaniach z Polską takich ośrodków zachodnich jak Wenecja, Bolonia,

Strasburg, Breda. Najcenniejsze z tych nowych prac dotyczą dziejów reformacji.

Zasięgiem tematu najrozleglejszą z nich jest rozprawa francuska, ogłoszona w księdze ku czci znakomitego belgijskiego bizantynologa, Henri Grégoire'a i przynosząca zarys dziejów reformacji w Wielkim Księstwie Litewskim, opracowany przede wszystkim z punktu widzenia reformacji jako czynnika polonizacyjnego. Temat ten poruszył, ale tylko szkicowo, uczony francuski Antoine Martel, w swej na krótko przed wojną wydanej i w nikłym tylko stopniu wyzyskanej przez naukę polską książce *La langue polonaise dans les pays ruthènes*. Rozprawa skompromowała na sześćdziesięciu z górą stronach ogromny materiał faktów. Czyta się też ją jak streszczenie nigdy, niestety, nie napisanej książki. Imponuje ona ogromem wysiłku badawczego, włożonego w jej przygotowanie. Tylko specjalista zdolny jest np. ocenić, ile żmudnej pracy wejść musiało w zamieszczone w niej zestawienie nazwisk szlachty litewskiej, która studiowała na zagranicznych uniwersytetach. Czytelników *Kultury* zainteresuje może wiadomość, że wśród pierwszych zagranicznych studentów litewskich było dwóch Giedroyciów, którzy immatrykułowali się w roku 1550 w królewieckiej Albertynie.

Szczególnie cenna jest też obszerna niemiecka rozprawa Szymon Budny. *Der grösste Heretiker Litauens im 16. Jahrhundert* (1596), którą Kot opracował dla księgi ku czci H. F. Schmidta, wybitnego i ze wzorową bezstronnością traktującego polską problematykę historyka austriackiego. Budny jest fascynującą indywidualnością. Mazur (a może Rusin z pochodzenia?), który z granic Rzplitej nigdy nosa nie wychylił, a całe życie spędził w drobnych miasteczkach litewskich, w trudnych warunkach osobistych, rozwinął żywą działalność pisarską w trzech językach, po polsku, po rusku i po łacinie. Swą zuchwałą egzegezą biblijną potrafił skandalizować nawet najsakrajniejszy odłam różnowierczy, Braci Polskich. Wielki ferment wywołała wśród nich jego książka *O urządzie miecza*. Tłumaczył Biblię na język polski. Z Łoska pisał do wybitnego angielskiego reformacyjnego, Johna Foxa, i ten list jego wywołał poruszenie wśród teologów exfordskich. W Zürichu grzmiał przeciwko niemu teolog kalwiński, Josias Simler.

Pozostawił po sobie pamięć arcyheretyka. Ślady po nim zacierano, książki jego niszczone. Z jego obfitej działalności pisarskiej wiele pozycji znamy dziś tylko z tytułów. Zrekonstruowanie z okrucich wiadomości jego biografii w całym bogactwie przejawów było zadaniem szczególnie trudnym. Tylko Kota fenomenalna orientacja i w wielojęzycznej literaturze przedmiotu, i w europejskich zbiorach bibliotecznych mogła zadaniu temu

sprostac. List do Foxe'a znalazł on w oxfordzkiej Bodlejanie, inne materiały w zbiorach rękopiśmiennych Zürichu i Wolfenbüttel, a datę śmierci udało mu się ustalić na podstawie niemieckiej książki luterańskiego teologa z początku XVII wieku, na której egzemplarz natrafił w Kopenhadze. Praca ta prosi się o przekład polski jak żadna inna z obcojęzycznych rozpraw Kota.

Bogactwem nowych konstantacyj i magistralną orientacją w źródłach imponuje też rozprawa *L'influence de Michel Servet sur le mouvement antitrinitarien en Pologne et Transylvanie*, ogłoszona w książce zbiorowej, wydanej w Holandii w roku 1953, w czterechsetną rocznicę wydarzenia, które stało się wielkim skandalem reformacji: spalenia na stosie za herezję w kalwińskiej Genewie Serveta. Kot postawił tu sobie za zadanie prześledzenie dróg, jakimi docierały do Polski poglądy wielkiego hiszpańskiego radykała religijnego, prekursora polskiego antytrynitaryzmu. Zadanie to było szczególnie trudne, bo przez lata nazwisko Serveta wymawiano w świecie protestanckim ze zgrozą, stąd nawet i ci z różnowierców polskich, którzy pozostawali pod urokiem jego idei, niechętnie się do wpływów tych przyznawali i unikali wymienienia jego nazwiska. Kot wywiązał się z zadania tego świetnie. W trakcie badań udało mu się znaleźć w Stuttgarcie rękopis nieznanego dotychczas dzieła Serveta, w którym rozczytywali się polscy studenci w Tybindze. Zamierzał je osobno wydać, ale zamierzenia tego nie zdołał urzeczywistnić.

Jedyną emigracyjną pracą Kota, która doczekała się druku w kraju, było jego studium o genezie i tle historycznym przekładu Chylińskiego Biblii na język litewski. Ukazało się ono w drugim tomie krytycznego wydania *Biblii litewskiej Chylińskiego*, ogłoszonego w roku 1958 przez Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Wyszło ono w dwóch wersjach, po polsku i po angielsku, sprawy bowiem w nim poruszane, dotyczą zagadki bibliograficznej, która intrygowała erudyty różnych narodowości i ma bogatą literaturę naukową.

Dla czytelnika nie-lituanisty najciekawsze jest w jego rozprawie to, co ma ona do powiedzenia o stosunkach polsko-angielskich: o angielskich powiązaniach kalwinów litewskich i o reakcjach opinii angielskiej na wydarzenia polskie. Zahaczają te sprawy o takie osobistości jak Cromwell, Milton, Komenski, znakomity chemik Robert Boyle. I proszą się o kontynuację badań.

Ostatnią jego pracą naukową była rozprawa z 1960 roku o Jerzym Niemiryczu, twórcy ugody hadziackiej, ogłoszona po francusku w Hadze, w slawistycznej serii „Musagetes” i równocześnie po polsku w „Bibliotece Kultury”. Jest to, niestety, już starcza praca. Precyzyjna w ustalaniu faktów, imponująca nadal

bogatą kwerendą źródłową, jest ona prymitywna w analizie, niedopuszczalnie upraszcza skomplikowane zjawiska historyczne, wpada w ujęciu w schematyzm.

Jak widzimy, prace Kota z ostatniego okresu jego życia to wszystko rzeczy specjalne. Szerszy zakres miało tylko studium o reformacji na Litwie. Lat temu bez mała dwadzieścia wydało się wprawdzie, iż zdobędzie się on na większe dzieło o syntetycznym zacięciu. Nosił się z myślą napisania historii reformacji w Polsce. Dostał na nią spore stypendium z Fundacji Rockefellera. Nie starczyło mu już na tę książkę energii. Pochłonęła go praca nad wydaniem materiałów do dziejów jego ambasady w Moskwie, korespondencji z Sikorskim i *Rozmów z Kremlem*. Ale i bez tej pracy chyba nie mógłby się już zdobyć, w warunkach kiedy bieżąca polityka o lepsze walczyła u niego z zainteresowaniami naukowymi, na napisanie książki naukowej szerszego rozmachu.

Wielka to szkoda. Bo był wykwalifikowany do napisania takiego dzieła jak nikt drugi. Prawda, jego historia reformacji byłaby jednostronna. Jak już o tym była mowa, nie miał zainteresowania dla jej aspektu teologiczno-filozoficznego. Ale za to jak nikt nie dorównał mu w orientacji w jej, jakże powikłanych, dziejach zewnętrznych. Jak nikt inny znał jej powiązania z reformacją europejską i umiał ocenić jej doniosłość ogólnokulturalną, wpływy jakie wywarła na szkolnictwo, literaturę, rozwój idei polityczno-społecznych w Polsce. Wolno się obawiać, że długo nam przyjdzie teraz czekać na historyka reformacji o tak wielostronnych kompetencjach.

Jak już o tym mowa była wyżej, pamiętniki jego nie wyszły poza wstępne rozdziały. Próbkę tego, co mogłyby przynieść w dalszych partiach, znaleźć można w jego obszernym wspomnieniu pośmiertnym o Stanisławie Estreicherze, zamieszczonym w drugim tomie *Strat kultury polskiej* (1945). Z Estreicherem łączyły go stosunki wieloletnie i zażyłe mimo różnicy wieku i rozbieżności poglądów politycznych. Temat rozbudził w nim wenię pamiętnikarską. I oto powstał pod jego piórem obraz Krakowa z ostatnich lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej, ewokacja życia politycznego, uniwersyteckiego, literackiego miasta, jakże wyrazista, potoczyć się opowiedziana, a przy tym, rzecz w literaturze wspominkarskiej wcale nie częsta, ujęta w ramy zwartej, przemyślanej konstrukcji.

W zakończeniu swego eseju o Estreicherze, znakomitym w wielostronności swych zainteresowań historyku kultury, bibliografie i publicyście, pisał Kot: „Ubył — w parę miesięcy po Brücknerze — drugi wielki polihistor i humanista polski”. Z jego śmiercią odchodzi ostatni z współczesnych polihistorów polskich.

Nie danym mu było wypowiedzieć się w sposób równie pełny i wielostronny jak Brückner. Nie pozostawił po sobie tak monumentalnego dzieła jak opracowane przez Stanisława Estreichera tomy *Bibliografii*. Pozostanie natomiast jego wielką zasługą pionierskie wytyczanie nauce historii Polski nowej problematyki, zdobywanie terenów przed nim albo zupełnie zaniedbanych, albo też uprawianych tylko w sposób dorywczy i amatorski.

Jego dorobek naukowy przy wielkiej rozpiętości zagadnień, o jakich traktował, ma pewną jednolitość tematyczno-ideową. Trzy były takie osie tematyczne, wokół których skupiały się problemy, poruszane w jego pracach naukowych: tradycja walki z niesprawiedliwościami społecznymi, tradycja walki o tolerancję wyznaniową i tradycja bliskich a płodnych związków z Zachodem renesansowej Polski. Takie tradycje, których wybór podyktowała wewnętrzna potrzeba, zadecydowały tak o aurze ideowej jego prac, jak i o ich szerokich europejskich horyzontach. Był też wielkiej miary organizatorem polskiego życia kulturalnego w dwudziestolecie międzywojennym.

Wiktor WEINTRAUB

(W następnym nrze *Kultury* ukaze się esej W. A. Zbyszewskiego pt. „Ludowcy: Kot, Witos, Rataj, Tenenbaum i Mikołajczyk”).

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 257 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1958-1973)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1962-1973)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1959-1973)

Dawno zapowiadana *Bibliografia* zawartości treści „KULTURY” i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH” oraz DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA DO ROKU 1973 włącznie.

Str. 432.

Cena F. 75.

Przypominamy Czytelnikom, że Bibliografia za okres 1947-1957 opracowana przez Jana KOWALIKĄ ukazała się w roku 1959. Posiadamy ją jeszcze na składzie. Cena egz. F. 15.

Książki

O „testamencie” Gombrowicza

O „TESTAMENCIE” GOMBROWICZA*

Witold Gombrowicz miał pięćdziesiąt cztery lata kiedy przełożył *Ferdydurke* na francuski przyniósł mu rozgłos międzynarodowy. Geniusz jego spotkał się późno z uznaniem, mimo, że wcześniej rozpoczął swą literacką karierę. Wiecznie niezadowolony, choć przyznano mu wreszcie Międzynarodową Nagrodę Wydawców, choć jego sztuki miały powodzenie, poważnie chory, Gombrowicz tym usilniej pragnął stać się sławnym i ujawnić „sekrety” dzieła, które w jego pojęciu nie zostało należycie zrozumiane. Po napisaniu tego „swoistego testamentu”, pozostało mu tylko kilka miesięcy życia.

Celem jego było zaintrygować czytelnika, zaskoczyć i zadziwić — i trzeba przyznać, że mu się to udało. Ten „testament” jest zadziwiający nie tyle z powodu zawartych w nim „rewelacji”, które są umyślnie paradoksalne, a nawet prowokatorskie, ile ze względu na niezachwianą wiarę w siebie samego, którą Gombrowicz potrafił zachować w najgorszych sytuacjach swego życia (jak choćby dwudziestotrzyletnie wygnanie w Argentynie, gdzie

* Proteuszowy charakter dzieła Gombrowicza odnajdujemy nawet w poszczególnych wydaniach jego utworów. Niemal żadne wydanie w różnych językach (a nawet po polsku) nie odpowiada „oryginałowi” (którego nieraz nie wiadomo gdzie szukać). Francuskie „Rozmowy z Gombrowiczem” Dominique de Roux, a polskie „Rozmowy z Dominique de Roux” Witolda Gombrowicza zostały wydane po angielsku w formie najbliższej idealnego oryginału, po prostu jako ostatnia książka Gombrowicza pod tytułem „A kind of Testament” (Rodzaj Testamentu). Ulotnił się nie tylko Dominique de Roux, ale nawet jego rzekome pytania. Książce wyszło to na dobre. Wydany w 1973 roku przez Calder and Bogar, angielskich wydawców Gombrowicza, doskonale przetłumaczony przez Alastaira Hamiltona „Rodzaj Testamentu” jest poprzedzony przedmową Maurice Nadeau, dyrektora *Les Lettres Nouvelles*, który wydał „Ferdydurke” po francusku w 1957 roku. Tłumaczenie tej przedmowy zamieszczamy z jego upoważnieniem. (K. A. J.).

początkowo nie znał nawet języka) i na równi niezachwianą wiarę w swoje dzieło. Wiedział, że jest to dzieło nowe, oryginalne. Sam zresztą był jego częścią. Wyrażało ono — jak pisał — jego istotę najbardziej intymną, niezmienną, niezachwianą w jego długiej walce z trudną egzystencją — walce której celem było zdobycie własnej „formy”. Jego dzieło było jego zwycięstwem i słusznie był z niego dumny.

A przecież uważał to zwycięstwo za wątpliwe, gdyż dzieło jego zaczęło żyć niezależnie, w oderwaniu od swego autora, a jak każdy żywy organizm, posiadało własną formę i strukturę. Czyż walka Gombrowicza, za pomocą której dążył do samookreślenia, nie była zwrócona również przeciwko „formie”, owej zapowiedzi śmierci? Czyż forma nie musiała stać się wreszcie jego udziałem właśnie na skutek wysiłku, aby stać się pisarzem, artystą? Bardziej od kogokolwiek innego zamknął się on w dylemacie, który literatura stara się rozwiązać od niepamiętnych czasów. Jego geniusz polega na tym, że z tego paradoksu uczynił samo tworzywo swego dzieła nadając „brakowi formy” taką formę, że dyskusja ta pozostaje zawsze otwarta na rzeczywistość, która ją ze wszystkich stron przerasta. Jednocześnie jest to dyskusja podminowana, zakwestionowana od początku, gdyż w sposób jemu tylko właściwy, Gombrowicz wkraść się w samo sedno dzieła sztuki, aby je wysadzić w powietrze. Zniszczył ramy czegoś co mogło stać się jego kokonem czy więzieniem. Ten sam strumień płynie przez system trzech naczyń połączonych: jego przerosłe *ego*, rzeczywistość doświadczoną, widzianą we śnie czy wyobrażoną (nieraz aż do obsesji, na kształt mitu czy magii), formę która stanowi swą własną parodię. Ten strumień nazywa się Gombrowicz. Jest dość potężny, aby porwać czytelnika, podczas gdy krytyka nie jest w stanie zamknąć go we właściwe kanały.

Powtarzające się i niezbyt jasne rozważania Gombrowicza na temat formy i jej braku, niewytrzymałości i niższości, to po prostu okruchy rzucane krytykom. Żadna krytyka conceptualna jego twórczości nie utrafi w jej sedno. Zbudował on swe dzieło na głębokiej pogardzie dla pojęć, na lekceważeniu systemów, ośmieszeniu intelektualnych konstrukcji. Jeśli zawarte w nim wątki, obsesje i przesądna wiara w „znaki” są wyrażane przez pisarza, niezawodnie prowadzą z powrotem do człowieka, do Gombrowicza cywilizowanego „barbarzyńcy”, zamachowca w mundurze policjanta. Charakterystycznie, wbrew ogólnie przyjętemu pojęciu, że forma i treść to dla artysty jedno i to samo, Gombrowicz uparcie je rozróżniał. Forma to dla niego pozłota pigułka, dyskretne opakowanie zawierające dynamit.

Człowiek był równie trudny do uchwycenia jak jego dzieło i to co mówi on tu o sobie raczej wzmacnia tajemnicę jego charakteru. Wyjątkowo wrażliwy, pełen obaw i niepokoju, ukrywał swe stałe niezadowolenie imperialistycznego *ego*, które zdolne było przyjąć każdą formę — od chęci oczarowania do otwartej agresji. Jakiegokolwiek środka się chwycił, uroku czy napaści, cel był zawsze ten sam: wejść w posiadanie Drugiego, którego

zwykle uważał za przeciwnika, a czasem za wroga, aby rzucić go na kolana i mieć go na swej łasce czy niełasce. Kiedy powiedziałem Gombrowiczowi, że będzie w Berlinie razem z Michel Butorem, który również otrzymał stypendium Fundacji Forda, powiedział: „Pożrę go w ciągu niespełna trzech miesięcy”. I nie był to tylko żart.

Moje stosunki z Gombrowiczem były napięte, aż wreszcie zerwaliśmy ze sobą. Wyobrażał sobie, że mam nad nim przewagę będąc wydawcą jego książek, a mimo, że ani mi się śniło ogłaszać się jego „odkrywcą”, nie mógł mi wybaczyć, że za takiego jestem poczytany, że dałem pierwszy impuls kierujący go na drogę do sławy. Ustawił się w tej pozycji „niższości” i zależność, która stał się w jego wyobraźni rozwinęła, była mu nieznośna. Na próżno zapewniałem go o moim całkowitym i szczerym podziwie dla jego dzieła, na próżno starałem się mu służyć: byłem zawsze jego dłużnikiem. Jego winienem kochać, jego nazwisko głosić na cztery strony świata, dla niego wreszcie uzyskać nagrodę Nobla! Niestety byłem tylko wydawcą — a właściwie, mniej jeszcze, — redaktorem serii książek i krytykiem literackim, zbyt skromnym kółkiem w maszynie produkującej chwałę. A więc oskarżył mnie o szkodenie jego kariery, a kiedy „odkryłem” innego Polaka Bruno Schulza, Gombrowicz zaczął mnie nienawidzić, mimo, że Schulz był jego przyjacielem, że dawno zmarł i nie mógł mu w niczym zagrażać. W biografii, którą sam napisał, raz na zawsze nazwał mnie swym „odkrywcą”.

Zrozumiałem później, że nic nie miał przeciwko mnie ośbiście. Jego gorycz zwrócona była przeciwko Polsce, gdzie dzieła jego były zabronione, przeciw Francji i Paryżowi, gdzie odkryto go tak późno, przeciw całemu światu, który tak długo nie potrafił uznać jego geniuszu. Jego agresywność ukrywała całkowicie uzasadnione żądania w połączeniu z wielkim cierpieniem człowieka nie uznanego i źle zrozumianego. Jego przerosłe *ego* było maską „niższości”, którą boleśnie odczuwał wobec największych pisarzy, Goethego czy Szekspira, jego jedynych i stałych odnośników. Jako chłopiec pragnął zapewne być do nich podobny i cierpiał nad dystansem między pragnieniem i osiągnięciem. Nie mógł zadowolić się tym, że jest Gombrowiczem, jednym z najbardziej oryginalnych pisarzy naszych czasów.

Pewnego wieczoru, widząc, że opieram się jego wysiłkom oczarowania mnie (przyjął wtedy pozę „*bel esprit parisien*”), zapytał mnie wprost: „Co pan o mnie myśli?”. Odparłem, wbrew moim zwyczajom: „Irytuje mnie pan”. Skrzywił się i zamilkł. Zdałem sobie sprawę, że zraniłem go głęboko. Nie wiedziałem, że pół godziny wcześniej atak astmy pozbawił tego błyskotliwego „uodździela” tchu na rogu ulicy. Rola którą odgrywał przede mną była aktem odwagi, może bohaterstwa.

Dzisiaj biorę całą winę na siebie. Powinienem być zdać sobie sprawę, że lepiej od kogokolwiek innego Gombrowicz znał układ stosunków międzyludzkich, w którym postawa jednego człowieka

dyktuje postawę drugiego, w którym „forma” operuje według swoistej logiki, gdzie jedno słowo, jeden gest jest sygnałem wywoławczym oczekiwanej odpowiedzi. Na to by okazać się godnym szacunku, powinienem był wówczas uniknąć potrzasku jego prowokacji. Chciał, żebym zareagował wrogo, aby móc mnie nienawidzić.

Czytelnik tego „Testamentu”, który nie miał osobistych stosunków z Gombrowiczem, ujrzy go bez trudu takim jakim był naprawdę: indywidualnością wyjątkową o absolutnie swoistym charakterze, autorem dzieła wprost wzorowego, które będzie źródłem głębokiego i ożywczego niepokoju.

Maurice NADEAU

(Z francuskiego przełożył K. A. J.)

WYNIK KONKURSU NA PRACĘ HISTORYCZNO-WOJSKOWĄ Z FUNDUSZU PAMIĘCI GEN. W. STACHIEWICZA

Komisja Konkursowa pod honorowym przewodnictwem Redaktora Uniwersytetu McGill dr. Roberta E. Bell, w składzie: prof. T. Romer — przewodniczący i członkowie: dr W. Babiński, płk dypl. O. Dunin-Borkowski, p. B. Stachiewicz i profesor J. Stachiewicz, na posiedzeniu w dniu 25 listopada 1975 roku, przyznała nagrody, jak następuje:

- dwie jednakowe nagrody po \$ 600 za prace:
 - p. L. Jurewicz, „The Civil War in Poland 1944-52”,
 - p. M. Peszke, „Polands Preparation for World War II”.
 Obie prace nadesłane z USA.
- trzy jednakowe nagrody po \$ 400 za prace:
 - p. M. Kruszyński, „Stan zdrowotny Polaków wyewakuowanych z Rosji do Persji w 1942 roku”,
 - p. T. Lisicki, „Historia Enigmy”,
 - p. R. Woytak, „Polish Intervention into Czechoslovakian Teschen in September-November 1938”.

Dwie pierwsze prace nadesłane z Anglii i ostatnia z USA.

Praca gen. J. Jaklicza (zgłoszona pośmiertnie przez B. Stachiewicza) została uznana przez Komisję Konkursową jako cenny wkład do dokumentacji polskiego ruchu podziemnego we Francji w czasie II Wojny Światowej. Wobec tego, że pani Jakliczowa zrzekła się z góry wszelkiej nagrody pieniężnej, uchwalono przesłanie do niej listu wyrażającego specjalne wyróżnienie i honorowe uznanie za całokształt prac śp. Generała.

Poza tym wyróżniono wraz z gorącymi wyrazami zachęty do dalszej pracy publicystycznej w dziedzinie historii Polski z okresu II Wojny Światowej:

- p. L. Kurecz, „Polish-Soviet Relations 1941-1945”, pracę nadesłaną z Kanady oraz
- p. A. Racięski, „Polska w II Wojnie Światowej”, praca nadesłana z Australii.

Na konkurs zgłoszono w terminie 21 prac. Osiem z nich zostało odrzuconych jako nieodpowiadających warunkom konkursu względnie wycofanych przez autorów. Reszta podlegała ocenie Komisji Konkursowej.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1-12-75

Polska Agencja Autorska podpisała około 200 umów na nowe przekłady i wznowienia utworów polskiej literatury pięknej. Najwięcej umów zawarto z Czechosłowacją, NRD i Węgrami, z krajów zachodnich zaś ze Szwecją i NRF. Największą popularnością cieszą się książki Stanisława Lema i Jerzego Andrzejewskiego.

17-12-75

W Moskwie odbyła się Międzynarodowa Konferencja Naukowa poświęcona 70-tej rocznicy Rewolucji 1905-1907 r. Z ramienia PRL wzięli udział prof. dr Janusz Gołębiowski z Instytutu Ruchu Robotniczego WSNS przy KC PZPR oraz prof. Stanisław Kalabiński z Instytutu Historii PAN.

20-12-75

Sejm PRL powołał komisję nadzwyczajną dla przygotowania projektu ustawy o zmianie konstytucji PRL. Komisja ma przedłożyć Sejmowi wynik swoich prac w początku lutego br. W skład komisji weszli: Henryk Jabłoński, Edward Babiuch, Jerzy Bafia, Andrzej Benesz, Janusz Biernacki, Edward Duda, Zygmunt Filipowicz, Janusz Groszkowski, Maria Grzelka, Stanisław Guewa, Mieczysław Jagielski, Witold Jankowski, Aleksandra Jarnecka, Stanisław Kania, Zdzisław Kurowski, Bernard Kus, Konstanty Łubiński, Krystyna Marszałek-Młyńczyk, Bronisław Miczajka, Maria Milczarek, Zuzanna Połaska, Halina Skibniewska, Irena Sroczyńska, Józef Urbanowicz, Janina Szczepańska, Andrzej Werblan, Sylwester Zawadzki, Wojciech Żukrowski.

26-12-75

Związek Kompozytorów Polskich przyznał nagrody na rok 1976 prof. Józefowi Chomińskiemu oraz Włodzimierzowi Kotońskiemu za całokształt twórczości muzykologicznej.

1-1-76

Rok 1976 został ogłoszony w Polsce rokiem bibliotek i czytelnictwa. ■ Doroczne nagrody miesięcznika *Poezja* zostały przyznane: Krzysztofowi Gąsiorowskiemu za tom „Bardziej niż ty”, i Tadeuszowi Kijoncy za tom „Kamień i dzwony”. ■ W ambasadzie kanadyjskiej w Warszawie przy remoncie gmachu wykryto 10 aparatów podsłuchowych, ukrytych we framugach okien i w ścianach.

3-1-76

Tygodnik *Polityka* podaje, że w ZSSR powołano do życia Towarzystwo Łączności Kulturalnej z rodakami za granicą „Rodina” (Ojczyzna). Statut przewiduje, że Towarzystwo działać będzie na szczeblu ogólnozwiązkowym oraz w poszczególnych republikach. *Polityka* nie podaje w jakim stopniu dotyczy to Polaków, zamieszkałych w ZSSR. ■ Znany warszawski adwokat, Stanisław Szczuka, został skazany na 3 miesiące zawieszenia w czynnościach zawodowych za treść rewizji w sprawie Stefana Myszkievicz-Niesiołowskiemu z dnia 9. 12. 1971 roku (treść rewizji została ogłoszona w bibliotece *Kultury* w tomie „Dokumentów” — „Sąd orzekł...”, str. 220-226).

8-1-76

Sejm PRL znolizował Ustawę o prawie autorskim i przedłużył ochronę praw majątkowych po śmierci twórcy z 20-tu do 25-ciu lat. ■ Został uruchomiony IV program Polskiego Radia na falach ultrakrótkich. ■ W 1975 roku bawiło w Polsce ponad 3 miliony obywateli NRD, ponad milion Czechosłowaków, pół miliona obywateli ZSSR, 400 tysięcy Węgrów, a także 237 tysięcy obywateli NRF, 63 tysiące obywateli francuskich, 60 tysięcy Szwedów, 40 tysięcy obywateli brytyjskich, 40 tysięcy obywateli USA. Natomiast Polaków wyjechało za granicę o 10 % mniej niż w 1974 roku.

15-1-76

Nowym arcybiskupem metropolitą wrocławskim został dotychczasowy administrator apostolski w Białymstoku, ks. Bp Henryk Gulbinowicz (lat 48). Nowym wikariuszem kapitulnym w Białymstoku został wybrany ks. Kanonik dr Edward Kisiel (lat 58). ■ B. Beitz, prezes rady nadzorczej koncernu Kruppa, prezes fundacji „Alfred Krupp von Bohlen und Halbach”, po zwiedzeniu budowy Centrum Zdrowia Dziecka ofiarował czek na 500.000 dolarów — jako dar Fundacji. ■ W PRL podniesiono o 42 % opłaty za przesyłki wagonowe, a za drobnicę o 88 %. ■ Przy moskiewskiej sekcji Sowieckiego Komitetu Weteranów Wojny został utworzony Związek Weteranów Ludowego Wojska Polskiego, liczący około 900 członków, w tym 40 generałów. Należą do niego byli żołnierze I-ej i II-ej armii WP. Przewodniczącym Związku został gen. broni Jerzy Bordziłowski, b. szef Sztabu Generalnego WP i wiceminister Obrony Narodowej PRL.

17-1-76

Za 10 najciekawszych wydarzeń ub. roku w polskiej nauce i technice PAP uznała: sukcesy górnictwa węgla kamiennego (Lubelskie Zagłębie, kopalnia „Piaśń”), objęcie rządowym programem badawczo-rozwojowym zwalczanie chorób nowotworowych, Dworzec Centralny PKP w Warszawie, opracowanie i wprowadzenie do produkcji metody wytwarzania koncentratów białkowych z ryb, odkrycie struktury i funkcji fibrynogenu (białko budulcowe skrzepu krwi), zainstalowanie wielopozycyjnego agregatu metalurgicznego w hucie „Zawiercie”, rozpoczęcie budowy statków przwozących skroplone gazy, opracowanie polskiej technologii wytwarzania magnetycznych pamięci drutowych dla potrzeb informatyki, nową teorię budowy atomu dr. Michała Gryzińskiego z IJB, odkrycie w Syrii przez polskich naukowców wielkiego posagu bogini Ateny. ■ Najciekawsze książki roku 1975 w opinii tygodnika *Nowe książki*: Bohdan Czeszko „Powódź”, „Sygnaturki (Cz); Ryszard Kapuściński „Chrystus z karabinem na ramieniu” (Cz); Andrzej Kuśniewicz „Trzecie królestwo” (PIW); Ewa Nowacka „Małgosia contra Małgosia” (NK); Józef Szczublewski „Żywy Modrzejewskiej” (PIW); Władysław Tatarakiewicz „Dzieje sześciu pojęć” (PWN); Witold Zaleski „Czarne jagody” (MON); Stanisław Ziemia „Czasy przełomu” (WL); Dzieje Polski, pod red. Jerzego Topolskiego (PWN); „Ruch robotniczy w Polsce Ludowej”, pod red. Janusza W. Gołbińskiego i Władysława Góry (WP). Za najpiękniej wydaną książkę uznano album „Arrasy flamandzkie na zamku królewskim na Wawelu” opracowany pod kierunkiem Jerzego Szablowskiego („Arkady”). ■ Plebiscyt czytelników *Kuriera polskiego* wybrał jako książkę roku 1975 „Naturę” Marii Kuncewiczowej, wydaną przez PAX. W ankiecie wzięło udział 2.465 osób.

22-1-76

Agencja TASS podaje, że w związku z *détente* 18 czasopism zachodnich będzie w biegu roku w sprzedaży w ZSSR. M.in. *New York Times*, *Washington Post* i *Financial Times*. Natomiast agencja amerykańska UPI podaje,

że według oficjalnych danych sowieckich szereg pism codziennych zachodnich, jak *Le Monde*, *The Times* i *International Herald Tribune* są od pewnego czasu w sprzedaży w ZSSR, lecz turyści zachodni nigdy tych czasopism nie mogą dostać. *Le Monde* ze swej strony podaje, że uzyskał zezwolenie wysyłania do kolportażu w ZSSR... 40 egz. *Le Monde* ma w ZSSR 232 abonentów — wyłącznie instytucje rządowe, ambasady, etc. Pisma komunistyczne z *Humanité* na czele można stosunkowo łatwo dostać w Moskwie, Leningradzie i Kijowie, jednakże gdy w pismach tych ukazuje się jakakolwiek krytyka ZSSR, to numery te nie są dopuszczone do sprzedaży. ■ Amerykańska agencja prasowa Associated Press podaje, że do tej pory nie można było znaleźć w Kijowie odpowiedniego budynku dla konsulatu amerykańskiego, choć umowa w sprawie otwarcia amerykańskiego konsulatu w Kijowie została podpisana już w 1972 roku.

25-1-76

Walne zgromadzenie Stowarzyszenia PAX wybrało nowy zarząd: przewodniczącym został ponownie Bolesław Piasecki, wiceprzewodniczącymi — Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Janusz Stefanowicz; do prezydium, oprócz wyżej wymienionych weszli: Zbigniew Czajkowski, Jerzy Hagmajer, Marek Kąbat, Zenon Komenda, Jan Król, Jan Waleczek, Józef Wójcik i Maciej Wrzeszcz. PAX liczy 15.371 członków i kandydatów.

26-1-76

W Warszawie zmarł, w wieku 77 lat, Witold Doroszewski, wybitny językoznawca.

30-1-76

W plebiscycie *Dziennika Ludowego* Stanisław Lem otrzymał „Złoty Kłos” za rok 1975 za książkę „Solaris”. W plebiscycie wzięło udział około 30 tysięcy czytelników. ■ W Warszawie odbyła się narada z udziałem ponad 500 działaczy młodzieżowych, którzy uchwalili zorganizowanie w kwietniu br. Kongresu Młodzieży Polskiej, mającego doprowadzić do połączenia się trzech organizacji młodzieżowych: Socjalistycznego Związku Młodzieży Wiejskiej, Związku Młodzieży Socjalistycznej i Socjalistycznego Związku Młodzieży Wojskowej. Związek Harcerstwa Polskiego i Socjalistyczny Związek Studentów Polskich pozostaną samodzielnymi organizacjami.

31-1-76

Zmarł w Krakowie, w wieku 66 lat, Stefan Otwinowski, znany pisarz, wieloletni prezes oddziału Związku Literatów Polskich w Krakowie.

1-2-76

W ub. roku w PRL produkcja roślinna zmalała o 3,3 %, a zwierzęca o 1,9 %. ■ W ub. roku 66 Polaków m.in. po raz pierwszy w kaliningradzkim Instytucie Technicznym Przemysłu i Gospodarki Rybnej.

2-2-76

Zmarł w Warszawie, w wieku 65 lat znany aktor, Kazimierz Rudzki.

7-2-76

Zmarł w Warszawie, w wieku 63 lat, Jan Frankowski, działacz społeczno-katolicki. Współpracował z PAX'em od chwili jego powstania. W roku 1956 wystąpił z PAX'u i założył Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne, z którego został brutalnie usunięty przez swoich partnerów. Był posłem do sejmiku w latach 1947-1972.

10-2-76

Sejm PRL uchwalił nową Konstytucję. Projekt został przyjęty jednomyślnie, z wyjątkiem posła katolickiego Stanisława Stommy, który wstrzymał się od głosowania.

KRONIKA KRAJOWA

Z okazji pięćdziesięciolecia przewiezionych w 1925 roku prochów nieznanego żołnierza ze Lwowa do Warszawy, w katedrze stolicy wmurowana została uroczyste specjalna tablica. Przy tej okazji zdumieni komuniści dowiedzieli się, że od 30 lat oddają na Grobie Nieznanego Żołnierza cześć jednemu z Orłąt Lwowskich.

W katedrze warszawskiej wmurowano ostatnio także tablicę ku czci Wincentego Witosa. Kardynał Wyszyński dokonując odsłonięcia tablicy zaapelował ponownie do ludności wiejskiej o nieporzucanie ziemi i powstrzymanie się od masowego przenoszenia do miast.

Przygotowana została płaskorzeźba Marszałka Piłsudskiego, która ma być umieszczona w niedługim czasie w katedrze warszawskiej.

Grupa zamaskowanych i uzbrojonych osobników sterroryzowała portiera i wdarła się w nocy na kilka godzin do gmachu warszawskiej Szkoły Planowania i Statystyki. Włamano się do szaf i biurki i porzrucano papiery w większości lokali poszczególnych katedr uczelni. Zajście to miało miejsce w końcu grudnia ubr.

Nie ustały dziwne pożary w PRL, choć pojawiły się na prowincji i w mniejszej skali niż słynne 7 pożarów na VII Zjazd partii. Już po zjeździe zanotowano niewyjaśnione i szybko zlokalizowane pożary m.in. Domu Towarowego i Biblioteki w Częstochowie.

Na toczącym się od kilku tygodni procesie Mętlewicza i 9 współoskarżonych, którzy szmuglowali za granicę dzieła sztuki i antyki, a sprowadzali do kraju złoto, zaczęły padać nazwiska ludzi z PAX'u i byłych pracowników służby bezpieczeństwa. Proces ten opinia publiczna wiąże z trwającą nadal walką frakcyjną w partii.

W krajowych środkach masowego przekazu następuje wyraźny powrót do produkcyjniaków i nowej wersji socrealizmu w kulturze. Najbardziej natrętnie stosuje się go w telewizji. Przykładem jest serial filmowy pod nazwą „Dyrektorzy”, przedstawiający kilku kolejnych szefów większego zakładu pracy. Serial niewiele wart z punktu widzenia sztuki filmowej stał się małą sensacją, gdyż przedstawił strajk robotniczy w grudniu 1970 roku. Pomysłany jako dość tania krytyka ekipy Gomułki, nasuwa wielu ludziom myśl, czy nie czas coś podobnego zgotować Gierkowi. Film został osobiście zatwierdzony przez Jana Sztyrlaka, zresztą po różnych zmianach i przeróbkach.

W PRL poza nowym składem Sejmu, z którego zostaną wyeliminowani zwolennicy Szlachcica, zanosi się na wiele innych zmian personalnych. Najprawdopodobniej odejdzie ze stanowiska prezesa Frontu Narodowego prof. Groszkowski, dawniej protegowany przez Szlachcica. Mówi się też o możliwych zmianach w Polskiej Akademii Nauk, gdzie osłabioną pozycję mają np. prof. Jan Szczepański, a także gorliwy zawsze prof. Władysław Markiewicz.

Podane swego czasu na Zachodzie informacje, że tytułem eksperymentu dwa pisma partyjne *Trybuna Ludu* i *Polityka* nie będą cenzurowane, okazały się nieprawdą. Eksperyment polegał na tym, że oba pisma posyłane do cenzury, do tzw. „konsultacji”. Ale „konsultacyjne” skreślenia były obowiązujące. Praktyka wykazała więc, że lepiej wrócić do tradycyjnej „normalnej” cenzury.

Zaostrzenie cenzury w PRL jest idące tak daleko, że prowadzi niemal do sterylności eliminowania wszelkiej myśli oryginalnej i autentycznego życia umysłowego. Najczęściej skreślanym obecnie słowem jest „naród”, z obawy cenzury ze chodzą o ukryte sprzyjanie obalonej grupie Szlachcica. Przy okazji knebluje się historię najnowszą. Zapadła już ostateczna decyzja, że książka doc. Andrzeja Garlickiego o Piłsudskim nie ukaze się, choć była ona w intencji autora antypiłsudczykowska i „klasowa”.

W PRL obserwuje się galopującą inflację, mimo, że oficjalne podwyżki cen następują dopiero w połowie 1976 roku, po wyborach do Sejmu i tzw. konsultacjach z klasą robotniczą. Przeciętna płaca wynosi w tej chwili 3.500 zł. miesięcznie. Zastawmy ją z kilkoma cenami. Kilogram mięsa wołowego na wolnym rynku (w sklepach państwowych go nie ma) kosztuje 120 zł. Porządna walizka skórzana, kosztująca dotąd 1.200 zł. — niespodziewanie zaczęła kosztować 2.000 zł. Kozuch męski, dostępny praktycznie tylko w sklepach komisowych, rok temu można było kupić za 12.000 zł., dziś kosztuje okragło 20.000 zł. Za dwie kawy i dwa ciastka w kawiarni kategorii „S” płaci się 50-60 zł. Filizanka kawy kosztuje 18 zł. Obiad bez alkoholu w dobrej restauracji 100-150 zł. A podwyżki cen jeszcze nie było!

Odnotowano kilka wypadków wytoczenia procesu (chwilowo tylko w celu zastraszania) osobom, którym w czasie rewizji celnej odebrano wydawnictwa Instytutu Literackiego. Podstawą formalną jest zawarte w deklaracji celnej zobowiązanie nieprzywożenia pornografii i literatury wrogiej PRL-owi. Mimo to wydawnictwa Instytutu i *Kultura* coraz szerzej docierają do kraju.

W Bibliotece Narodowej w Warszawie naukowcy i studenci obokrajowcy nie mają prawa robić fotokopii i odbitek kserograficznych wydawnictw i prasy przedwojennej. Wymagane jest specjalne zezwolenie. Zarządzenie to dotyczy także naukowców i studentów z krajów bloku wschodniego i ze Związku Sowieckiego.

CENZURA W POLSCE

W nr. 6-tym *Neue Züricher Zeitung* z 6 stycznia br. ukazał się list Stefana Kisielewskiego, który podajemy poniżej w dosłownym tłumaczeniu:

W nrze 50-tym z 14 grudnia 1975 roku polskiego tygodnika katolickiego (*Tygodnik Powszechny*), wychodzącego w Krakowie, ukazał się mój wywiad z naczelnym redaktorem *Neue Zürcher Zeitung*. Cenzura usunęła z tego wywiadu wszystko, co redaktor powiedział o konferencji w Helsinkach, a także o sowieckiej koncepcji prasy. Wypowiedzi te nie były agresywne, miały charakter czysto informacyjny. Usunięto również przypomnienie, że mój Partner rozmowy — po dawno już opublikowanych wrażeniach z Polski — został ostro zaatakowany przez polską prasę, m.in. przez *Politykę*. Oczywiście publiczność czytająca nie wie o tym, że wywiad wydrukowany został z postaci zafałszowanej. Jako polski dziennikarz poddany jestem od lat tej nielegalnej, bo tajnej i nie uzasadnianej cenzurze i wszystkie moje teksty ukazują się w postaci skróconej i scenzurowanej, a więc zafałszowane. W przekonaniu, że Pan po raz pierwszy pada ofiarą takiej represji i nienormalności, pozwalam sobie przesłać wyrazy współczucia i ubolewania.

Stefan KISIELEWSKI
(Warszawa)

ZACHÓD — EMIGRACJA

1-11-75

W Kurytybie (Brazylia) obchodzone 25-lecie założenia prowincji brazylijskiej S.S. Felicjanek.

18-11-76

Administracja Lorda Cadogana zawiadomiła Instytut Polski, że z uwagi na „*unique position of the Polish Institute in this country*” godzi się na obniżenie o połowę ceny najmu domów zajmowanych przez Instytut przy Pont Street w Londynie.

17-12-75

Zmarł w Pennrhos gen. brygady Władysław Powierza, b. dowódca 23 DP w kampanii wrześniowej.

22-12-75

Zmarł w Londynie, w wieku 77 lat, ppłk Edmund Charaszkiwicz; przed wojną zajmował się on ruchem prometejskim, w ostatnich latach był redaktorem *Niepodległości* w Londynie.

26-12-75

Zmarł w Londynie po wieloletniej chorobie prof. Stanisław Kot, w wieku lat, 90, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wybitny uczony, b. wicepremier, minister i ambasador RP, długoletni członek Stronnictwa Ludowego i PSL.

29-12-75

Zmarł w Londynie, w wieku 66 lat, Andrzej Stroński. W okresie wojny był w dowództwie 2-go Korpusu, jako sekretarz gen. Andersa.

1-1-76

Wobec wielkiego powodzenia jakim cieszyły się dwa przedstawienia opery Karola Szymanowskiego „*Król Roger*”, które odbyły się w maju 1975 roku w Sadler's Wells Theatre — The English National Opera w London Coliseum wystawi ją 16 i 22 marca oraz 9 kwietnia br. ■ B. oficer SS, Walter Kutschmann, jeden z podejrzanych o udział w morderstwie popełnionym na profesorach lwowskich w roku 1941, o którym pisaliśmy w nr. 338 *Kultury*, został odnaleziony przez pismo argentyńskie *Gente* w oddalonej o 400 km. od Buenos Aires miejscowości turystycznej Miramar, dokąd się schronił po chwilowym aresztowaniu przez policję argentyńską w czerwcu 1975 roku. Zapytany przez dziennikarza Kutschmann przyznał się do swego nazwiska, zaprzeczył jednak swej odpowiedzialności za zarzucane mu zbrodnie, określając je jako wymysł Szymona Wiesenthala. Życie swe uważa za skończone, wkrótce nie będzie miał z czego żyć zresztą co dzień czeka na morderców, którzy przyjdą go zabić. ■ W paryskiej Bibliothéque Marabout ukazał się przekład „*Krzyżaków*” Henryka Sienkiewicza pt. „*Les chevaliers teutoniques*”, w tłumaczeniu Jean Vittman'a. ■ Szwecja wprowadziła czynne i bierne prawo wyborcze dla wszystkich emigrantów przebywających w Szwecji od dwóch lat i płacących podatki. Dotyczy to wyborów do samorządów, a nie do parlamentu. Parlament szwedzki uchwalił ponadto pewne ułatwienia dla cudzoziemców, którzy — ze względu na warunki polityczne w ich kraju rodzinnym — chcą zamieszkać w Szwecji, nie będąc uchodźcami politycznymi w ścisłym tego słowa znaczeniu, pod warunkiem, że za ich pozostaniem w Szwecji przemawiają ważne powody. To samo dotyczy przeciwników odbywania służby wojskowej. W przypadku powzięcia decyzji wydalenia poza granice Szwecji, cudzoziemcy będą obecnie mieli większe niż dotychczas możliwości odwoływania się do wyższych instancji. ■ W 125-tym numerze czasopisma węgierskiego *UJ Szimpozjon*, wychodzącego w Jugosławii, ukazał się przekład „*Słubu*” W. Gombrowicza. Przekładu na język węgierski dokonał Gyorgy Gömöri. ■ W czasie dyskusji w Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa, Emil Morgiewicz został wybrany „*Polakiem roku*”.

4-1-76

Zmarł w Londynie, w wieku 67 lat, Henryk Szewczyk, członek Centralnych Władz PPS na Uchodźstwie.

8-1-76

W Londynie odbyło się doroczne zebranie Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii. Prezesem wybrano prof. dr. T. Sulimirskiego, wiceprezesami zostali: prof. dr L. Koczy, prof. dr J. Jasnowski i płk S. Bięgański. Dr Z. Jagodziński został redaktorem pism historycznych. Ostatni numer *Tek Historycznych* ukazał się przed wielu laty.

10-1-76

Zmarł w Londynie, w wieku 76 lat, Henryk Moszczyński, działacz P.O.W., powstaniec śląski, członek P.P.S.

12-1-76

Francuska policja DST zlikwidowała ostatnio ośrodek szpiegowski PRL w Paryżu, który pracował dla wojskowego wywiadu sowieckiego. Dwóch polskich inżynierów zostało aresztowanych.

15-1-76

Dr Leon Koczy otrzymał nagrodę pisarską Towarzystwa Społeczno-Oświatowego w Szkocji. ■ Zdumiewający pośpiech: został ogłoszony konkurs na

paryski pomnik upamiętniający Polaków walczących o wyzwolenie Francji, który ma stanąć w ogrodach Trocadero w Paryżu; termin nadsyłania prac — do 31. 1. br.

24-1-76

Zmarła w Paryżu, w wieku 66 lat, Halina L. Tomaszewska, dziennikarka, polska korespondentka wojenna w czasie ostatniej wojny, wieloletnia pracowniczka UNESCO. ■ Na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu Oddziału Krajowego SPK Szwecja wybrano przez aklamację: prezesem J. Pieniężnego, zaś wiceprezesem W. Sas-Korczyńskiego.

30-1-76

Doroczna nagroda teatralna *Dziennika Polskiego* w Londynie w wysokości £.120.00 została przyznana zespołowi amatorskiemu Towarzystwa Społeczno-Oświatowego w Glasgow oraz zespołowi amatorskiemu w Coventry.

1-2-76

Francuskie ministerstwo Spraw Wewnętrznych podało, że we Francji mieszka 100 tysięcy emigrantów politycznych, na ogólną ilość 4.500 tysięcy cudzoziemców zamieszkałych we Francji. W tej liczbie jest: 22.380 Polaków, 7.300 Węgrów, 4.870 Rumunów, 2.790 Czechów i Słowaków, 1.310 Bałtów, 4.230 Ukraińców oraz 10.940 Rosjan. ■ Władimir Bukowski i Edward Kuzniecowa, obaj znajdujący się w więzieniu w ZSSR, zostali wybrani członkami francuskiego PEN-Clubu. ■ Zmarł w Londynie, w wieku 81 lat, Stefan Tyszkiewicz. Był znanym wynalazcą (m.in. 50 lat temu wyprodukował pierwszy polski samochód Stetysz).

4-2-76

Na skutek protestów dziennikarzy radiowych i telewizyjnych Bułgarii, Czechosłowacji, NRD, PRL, Węgier i Związku Sowieckiego Międzynarodowy Komitet Olimpijski wydał polecenie cofnięcia akredytacji przedstawicielom prasowym rozgłośni Wolna Europa na XII Zimową Olimpiadę w Innsbrucku. ■ Dorocznym zwyczajem jury powołane przez polską sekcję Radio Free Europe wytypowało najwartościowsze książki ub.r. Mianowicie: Władysława Bartoszewskiego „1859 dni Warszawy”, Romana Brandstaettera „Krag biblijny” i Jana Odrowąż-Pieniązka „Party na calle Guademaal” oraz mikro-powieść Marka Nowakowskiego „Wesele na wsi”. Za najlepsze książki wydane na emigracji uznano: Tadeusza Nowakowskiego „Byle do wiosny”, Ks. Jerzego Mirewicza „Emigracyjne sprawy i spory”, oraz Marii Czapskiej „Gwiazda Dawida”. Poza konkursem wyróżniono całokształt twórczości prof. Adama Pragiera.

6-2-76

Londyński Klub Kultury gościł Benedykta Heydenkorna, redaktora kanadyjskiego „Związkowca”. Choć grypa zdziętkowała uczestników — wpływając na małą frekwencję (tylko 25 osób), a może właśnie dlatego, dyskutowano żywo i zażarcie o wartości Konferencji waszyngtońskiej, o wyjazdach do Polski i o Polonii w Kanadzie i w Anglii.

11-2-76

Zmarł w Londynie, w wieku 73 lata, Stanisław Sopicki, działacz Stronnictwa Pracy. ■ Zmarła w Londynie, w wieku 84 lata, Janina Miedzińska, przed wojną główna inspektorka pracy dla spraw kobiet i młodocianych.

17-2-76

W Théâtre Oblique w Paryżu została otwarta wystawa prac Jana Lebentsteina, która będzie trwała do 7 marca bież. roku.

19-2-76

Z inicjatywy Twa Przyjaciół Kultury odbył się w Sztokholmie z udziałem większości polskich organizacji niepodległościowych Wieczór Solidarności z intelektualistami polskimi. Wieczór zagał inż. Jerzy Janczak prezes Oddz. SPK w Szwecji.

22-2-76

W 140-tą rocznicę powstania Polskiej Misji Katolickiej w Paryżu odbyła się uroczysta msza św. w Kościele Polskim w Paryżu z udziałem bp. Wł. Rubina i bp. D. Bezerila.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Bohdan Krawciw, wybitny ukraiński poeta, dziennikarz i historyk literatury zmarł w Stanach Zjednoczonych w wieku 71 lat. ■ City University of New York wprowadził cykl wykładów o problemach narodowościowych w Europie Wschodniej. Kierownikiem tego programu jest wybitny polski socjolog prof. Feliks Gross. ■ W roku 1974 obywatelstwo amerykańskie otrzymało 131.655 osób, w tym 3.630 imigrantów polskich. Ogólna liczba obejmowała 131.655 osób, w tym 3.630 imigrantów polskich. ■ 13. 12. 75 r. staraniem sekcji literackiej Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, oraz studentów polonistyki Queens College, odbył się wieczór autorski Pawła Łyska. ■ 3. 12. 75 r. zmarła w Pittsburgu, w wieku 85 lat, Dora Alska, wieloletnia wydawczyni i naczelny redaktor czasopisma *Pittsburgzanin*. ■ 27. 12. 75 r. zmarła w Nowym Jorku, w wieku 73 lat, dr Bronisława z Brunerów Witoldowa Langrodowa, psycholog, uczestniczka ruchu oporu w Kraju, więźniarka Pawiaka i Majdanka, współpracowniczka pism podziemnych. ■ 18. 12. 75 r. zmarł, w wieku 75 lat, w Davis (Cal.) prof. Teodozjusz Dobrzański, często określanymi jako Darwin XX wieku. Prof. Dobrzański, jakkolwiek polskiego pochodzenia (dziad jego był powstańcem), uważał się za Rosjanina. ■ W Cleveland (Ohio) powstała „Rada Stowarzyszeń Weterańskich” celem koordynacji prac Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, stowarzyszenia Weteranów Armii Polskich i Koła Armii Krajowej. ■ Zmarł w Detroit, w wieku 68 lat, Józef Pabis. Był on redaktorem *Narodowca* w Lens w latach 1946-1954, w USA pracował w prasie polonijnej.

NAGRODY FUNDACJI JURZYKOWSKICH

Nagrody za rok 1975 otrzymali: Stefan Świeżawski, Polska (Filozofia); Bronisław Knaster, Polska (Matematyka); Czesław Ryll-Nardzewski, Polska (Matematyka); Roman Smoluchowski, USA (Fizyka); Beata Bogdanik, Polska (Medycyna); Konstanty Piotr Kowalewski, Kanada (Medycyna); Stefania Drabarek, Polska (Biologia); Jan Kielanowski, Polska (Biologia); Krystyna Marek, Szwajcaria (Prawo międzynarodowe); Stefan Nowak, Polska (Socjologia); Józef Garliński, Wielka Brytania (Historia); Wanda Kiedrzyńska, Polska (Historia); Karolina Lanckorońska, Wielka Brytania (Historia); Adam Vetulani, Polska (Historia); Marian Brandys, Polska (Literatura); Antoni Gołubiew, Polska (Literatura); Tadeusz Konwicki, Polska (Literatura); Hanna Malewska, Polska (Literatura); Wiktor Woroszyński, Polska (Literatura); Jan Kott, USA (Historia literatury); Ludwik

Bronarski, Szwajcaria — zmarł w wrześniu 1975 (Muzyka); Kazimierz Serocki, Polska (Muzyka); Bohdan Korzeniewski, Polska (Teatr); Jan Lebenstein, Francja (Malarstwo); Marion Moore Coleman, USA (Przekłady); Franck-Louis Schoell, Francja (Przekłady).

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Polska Fundacja Kulturalna im. dr. Sylwestra Gruszki w Sydney przyznała 2. 12. 75 r. trzy dotacje po 100 dol. australijskich młodzieżowemu zespołowi Biało-Czerwonych w Sydney, Komisji Oświatowej Rady Naczelnej Organizacji Polskich w Australii oraz Zjednoczeniu Polek w Australii. ■ Towarzystwo Wiedzy o Polsce w Sydney ogłosiło konkurs literacki dla Polaków w Australii. Do wyboru przedstawiono trzy tematy: zarys historii powojennej emigracji w Australii, historia polskiej prasy w Australii od XIX wieku oraz zarys polskiej literatury emigracyjnej po 1939 roku. ■ Klub Polski w Bankstown jest jedną z bardziej dochodowych organizacji polskich w Australii. Dochód brutto, według bilansu Klubu na rok 1974/75, wyniósł 231 tysięcy dol. australijskich. Bywalcy Klubu, w większości Polacy, wydali na gry hazardowe około 140 tysięcy dol. ■ P. Elżbieta Głęb, pianistka polskiego pochodzenia, wystąpiła z dużym powodzeniem jako solistka podczas koncertu w Melbourne. ■ W egzaminach maturalnych w stanie Victoria w 1975 r. po raz pierwszy zdawano egzamin z języka polskiego. Do egzaminu z tego przedmiotu zasiadło 32-ch maturzystów. Na rok 1978 planowane jest otwarcie wydziału polonistyki na Monash University w Melbourne. ■ W związku z 25-tą rocznicą powstania „Australian Good Neighbour Movement” organizacji zajmującej się pomocą imigrantom, zorganizowano we wszystkich stanach szereg uroczystości okolicznościowych. W Melbourne odbył się Ethnic Communities Festival (w dniach 22. 11. do 7. 2. 12. 75 r.), w którym wystąpiły polskie zespoły taneczne „Polonez” i „Pawie pióra”. ■ Pierwszą nagrodę w konkursie literackim ogłoszonym przez Good Neighbour Council of Victoria otrzymał Andrzej Lachowicz za opowiadanie „Dingo Fence” zaś drugą Andrzej Chciuk za opowiadanie „The Chamberry Epizode”. ■ 4. 1. br. rzecznik ministerstwa Spraw Zagranicznych w Canberra oświadczył, że ambasador australijski w Moskwie oraz lotewski konsul honorowy w Melbourne zostali powiadomieni, że nowoutworzony rząd koalicyjny odwołał uznanie wcielenia państw bałtyckich do Związku Sowieckiego. ■ Największa polska impreza kulturalna jaką dotychczas zorganizowali Polacy w Australii odbyła się w Sydney pomiędzy 27. 12. 75 a 1. 1. 76. Był to pięciodniowy Polski Festiwal Kulturalny „Art-Pol 75”, zorganizowany przez Zjednoczenie Polek w Australii. W ramach tego festiwalu odbyły się dwie wystawy artystyczne, dwa przedstawienia teatralne — „Tango” Sławomira Mrożka i „Zemsta” Aleksandra Fredry, referat dyskusyjny „Stanowisko kobiety w nowoczesnym społeczeństwie”, cztery występy artystyczno-muzyczne w tym wielki koncert folklorystyczny „Z biegiem Wisły” w sydneyjskiej operze, „Koncert Młodych”, wieczór literacko-wokalny, koncert polskiego rock and roll itp. atrakcje, które zgromadziły tysiące widzów różnych narodowości. W Festiwalu wzięło udział przeszło 600 wykonawców z 18 zespołów artystycznych, reprezentujących 12 ośrodków polskich w Australii. Otwierając Polski Festiwal Kulturalny „Art-Pol 75”, federalny minister Immigracji i Spraw Etnicznych M. Mackellar powiedział m.in., że należy pamiętać, iż pierwszym urodzonym w Polsce przybyszem do Australii był artysta Jerzy Forster, który towarzyszył kpt. Jamesowi Cookowi w odkrywczej podróży do Australii w 1768 roku. ■ Para młodych filmowców polskich mieszkających w Australii, Konrad i Małgorzata Bulendowice, zrealizowali

z końcem roku 1975 swój kolejny film podróżniczy. Film ten jest wynikiem 6-miesięcznej podróży po pustyni Gibsona w poszukiwaniu zaginionego szczerpu australijskich aborygenów. Kilka lat temu nakręcili oni film noszący tytuł „Beyond the Outback”. Film został zrealizowany podczas podróży przez Tanami Desert w Centralnej Australii. ■ Od marca 1976 imigranci, którzy nie są obywatelami Australii, a którzy chcą tymczasowo opuścić Australię, będą mogli powrócić do Australii bez starania się o prawo powrotu (*re-entry visa*). Przepisy wydane przez nowy rząd federalny przewidują, że stały mieszkaniiec Australii, nie posiadający australijskiego paszportu, przy wyjeździe z Australii otrzyma zaświadczenie stwierdzające, że jest stałym mieszkańcem tego kraju. W przyszłości wszyscy obcokrajowcy otrzymujący wizę imigracyjną do Australii dostaną automatycznie pozwolenie — w formie stałej notatki w paszporcie — na ponowne wjazdy do Australii bez wizy.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

KRONIKA KANADYJSKA

Zmarł w Ottawie, w wieku 65 lat, Henryk Słowikowski, b. pracownik służby zagranicznej RP, delegat Ambasady RP w ZSSR w Czelabińsku i Świerdłowski, sekretarz poselstwa RP w Bagdadzie. W ostatnich latach był przedstawicielem *Kultury* w Ottawie. ■ Zmarł, w wieku 83 lat, w Welland Mateusz Gliński, publicysta muzyczny, kompozytor i dyrygent. ■ 4. 1. br. zmarł w Toronto płk Erwin Więckowski, legionista Pierwszej Brygady i komisarzyczny prezydent m. Poznania przed wojną. ■ Ambasada sowiecka oskarżyła środki masowego przekazu, z państwową rozgłośnią radiową Canadian Broadcasting Corporation na czele, o wrogie nastawienie, brak obiektywnej informacji i o prowadzenie „wywrotowej działalności separatystycznej”. Oskarżenia te dotyczyły w pierwszym rzędzie audycji przeznaczonych dla Ukrainy i państw Europy Wschodniej. Wprawdzie dyrekcja CBC utrzymuje, że audycje w języku ukraińskim są przeznaczone dla słuchaczy krajowych, ale Jakowlew, ambasador ZSSR, zaś innego zdania i ma chyba w tym wypadku rację. Ambasada sowiecka uważa dalej, że władze nie gwarantują jej należytego bezpieczeństwa i nie chronią przed „awanturnikami”. Przed gmachem ambasady sowieckiej odbywają się bowiem dość częste demonstracje, przy tym nie wszystkie pokojowo nastawione. Niektórzy demonstranci nie ograniczają się do marszu z transparentami i wznoszenia okrzyków, ale ciskają kamienie i rozbijają szyby. Rzecznicy ambasady uważają, że policja nie powinna pozwalać na żadne wrogie demonstracje i że ambasada sowiecka powinna korzystać z takiej samej ochrony, jak ambasada kanadyjska w Moskwie. Ambasador Jakowlew nie omieszkał zaznaczyć, że amerykańska prasa i radio są bardziej obiektywne, niż kanadyjskie. ■ List parlamentarzystów kanadyjskich w sprawie Sacharowa, dotyczący udzielenia mu zezwolenia na wyjazd celem odebrania nagrody pokojowej Nobla a skierowany na ręce ambasadora Jakowlewa, został im odesłany przez radcę ambasady, N. Makarowa, z zaznaczeniem, że „petycji tej nie można zakwalifikować inaczej, jak tylko jako interwencję w sprawy wewnętrzne Związku Sowieckiego, co — jego zdaniem — stoi w jaskrawej sprzeczności z postanowieniami końcowego aktu Konferencji w Helsinkach. ■ Nowa ustawa o obywatelstwie przewiduje, że legalny imigrant będzie mógł ubiegać się o uzyskanie obywatelstwa kanadyjskiego już po 3-ach latach pobytu (dotychczas było 5 lat) i że obywatele brytyjscy traktowani będą na równi z innymi imigrantami (dawniej ich naturalizacja mogła nastąpić po roku pobytu). Bardzo istotną zmianą jest prawo do zachowania poprzedniego obywatelstwa, a więc legali-

zacja podwójnego obywatelstwa. ■ Polityka wielokulturowości wchodzi — jak się wydaje — w fazę zmian. Z niektórych głosów prasy i wypowiedzi parlamentarnych wynikałoby natomiast, że przechodzi ona głęboki kryzys, że znosi się co najmniej na znaczne ograniczenie zakresu działania. Głosy krytyczne podniosły się natychmiast po zmianie rządu, w sierpniu 1974 roku, gdy premier Trudeau nie mianował oddzielnego ministra do spraw wielokulturowości, a powierzył je — jako dodatek — ministrowi pracy, Johnowi Munro. Cała prasa etniczna oraz wiele innych pism uznało wówczas, że usunięcie dr. Stanleya Haidasza — pierwszego ministra do spraw wielokulturowości — świadczy, że Programem Wielokulturowości posłużono się w kampanii wyborczej w celu pozyskania głosów grup etnicznych — po zakończonych wyborach można więc było program ten zlikwidować. Minister Munro zapewnił wprawdzie, że będzie kontynuował politykę swego poprzednika — praktyka jednak tego nie potwierdziła. Do otwartego starcia doszło dopiero z końcem listopada ub. roku kiedy min. Munro oświadczył, że skieruje swoją uwagę na walkę z dyskryminacją, gdyż tę sprawę uważa za najważniejszą. Komisja Doradcza do Spraw Wielokulturowości zareagowała ostro, wypominając przy tym, że minister nie uzupełnił składu Komisji, nie przyjął zasadniczych jej zaleceń i nie zwołał konferencji ogólnokrajowej. Prasa anglojęzyczna, komentując wypowiedź min. Munro, dowodziła, że walka z dyskryminacją jest celowa, ale leży w ramach kompetencji innych resortów — jeśli natomiast ma wejść do Programu Wielokulturowości, oznaczałoby to jego całkowitą zmianę. Połączony atak prasy etnicznej i opozycji parlamentarnej spowodował dyskretne wycofanie się min. Munro. Wyjaśnił on, że po prostu powstało nieporozumienie, że walka z dyskryminacją jest tylko jednym z aspektów polityki wielokulturowości. Aby wykazać, że Program Wielokulturowości jest realizowany, uzupełnił skład Komisji Doradczej i zwołał konferencję ogólnokrajową do Ottawy na 14-16 luty br. W odróżnieniu od poprzedniej, która miała miejsce w 1973 roku, obecna koncentrowała się w dyskusjach panelowych. Utworzono trzy zespoły: wielokulturowość a społeczeństwo anglosaskie; wielokulturowość a społeczeństwo frankojęzyczne; jak sąsiedzi widzą naszą politykę wielokulturowości. Głównym mówcą w tej trzeciej grupie był prof. Zbigniew Brzeziński. ■ Oddział kanadyjski Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce uniezależnia się od Nowego Jorku w związku ze zmianą nazwy tej instytucji. Siedziba Oddziału kanadyjskiego jest w Montreal a jego dyrektorem jest nadal Tadeusz Romer. Instytut prowadzi największą w Kanadzie bibliotekę polską i organizuje prelekcje. ■ Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy, obchodzący w tym roku 20-lecie swojej działalności, rozpoczął cykl prelekcji referatami dr. Martina O'Connella, b. ministra pracy w rządzie liberalnym premiera Trudeau. O'Connell przestawił w szerokim kontekście zagadnienie polityki imigracyjnej, jej wpływ na oblicze zaludnienia kraju zarówno pod względem narodowościowym jak i społecznym. Stanowczo wypowiedział się przeciwko wprowadzaniu jakichkolwiek wyjątków dla niektórych grup etnicznych, natomiast zapewnił, że zasada udzielania prawa pobytu uchodźcom politycznym będzie utrzymana. Dr O'Connell był przewodniczącym komisji międzyparlamentarnej, która badała nastawienie opinii publicznej do projektu zmian ustawy imigracyjnej. ■ Małżeństwo ukraińskie z Tarnopola, Mychajło i Jarosława Szafraniuk, właściciele sklepu meblowego w Toronto, założyli Fundację dla krzewienia sztuki ukraińskiej w Kanadzie. Za ponad 100 tysięcy dolarów zakupili budynek, w którym mieści się stała wystawa prac artystów ukraińskich z Kanady i ofiarowali jej swoją bogatą kolekcję. Oboje fundatorzy wchodzi w skład 13-osobowego zarządu Fundacji. W ramach Fundacji otwarta jest chwilowo tylko jedna stała wystawa, ale przewiduje się różne imprezy artystyczne.

B. H.

Listy do Redakcji

Silver Spring, Md., 24 stycznia 1976.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Józef Lewandowski w liście do *Kultury* (styczeń-luty 1976) zarzuca mi, że niesłusznie przypisuję Władimirowi Medemowi „narodowość rosyjską”. Wyjaśniam, że nie użyłem wcale słowa „narodowość”, ale nazwałem go Rosjaninem, bo jak miałem określić człowieka, który urodził się w Rosji, spędził tam prawie całe życie, a jako dziecko został ochrzczony w prawosławnej cerkwi, której najwyższym zwierzchnikiem jest metropolita moskiewski? Zresztą już nawet jego ojciec był chrześcijanem (bodajże ewangelikiem), a nie Żydem. Oczywiście, według hitlerowskich Ustaw Norymberskich, do dziś stosowanych przez KGB i UB, Medem był wyłącznie Żydem (i nawet „syjonistą”), ale w porównaniu z bundowcami polskimi, francuskimi, amerykańskimi był wyraźnie Rosjaninem. I to właśnie miałem na myśli, kiedy go tak nazwałem.

Określenie narodowości nie jest wcale rzeczą prostą, zwłaszcza w obrębie wielkich kultur. Arthur Miller i Saul Bellow są Amerykanami, a nie Żydami. Disraeli był Anglikiem, a nie Żydem. Heine był Niemcem, a nie Żydem (przy czym wyraźnie dawał do zrozumienia, że wolałby być Francuzem). Rokossowski pochodzenia Rosjaninem, choć również polskiego pochodzenia, był Majakowski, który nawet nie urodził się w Rosji, lecz w Gruzji. Philip Roth jest Amerykaninem i Żydem, lecz ja w zestawieniu z nim jestem wyraźnie Polakiem, choć mam najczystsze żydowskie pochodzenie i bardzo żydowską świadomość, oraz amerykańskie obywatelstwo, z którego jestem dumny.

Medem przejął się losem Żydów, których w Rosji poniżano i poniewierano i dlatego wstąpił do żydowskiej partii rewolucyjnej. Przypuszczam, że nie małą rolę odegrał przy tym kompleks winy z powodu odstępstwa jego rodziny. Gdyby jednak w Rosji zwyciężyły ideały, o które walczył żydowski Bund, Medem nigdy nie wyjechałby z Rosji i mówiłby o sobie, że jest Żydem-Rosjaninem. Dziękuję p. Lewandowskiemu, którego publikacje i rzetelność bardzo cenię, za informację, z której wynika, że według rodowodu Medem powinien się nazywać Grinberg. Ponieważ był to człowiek prawdziwie szlachecki, byłbym zaszczycony, gdyby się okazało, że jestem jego krewnym (mój dziadek spędził wiele lat w rosyjskim wojsku i nieźle pisał po rosyjsku).

Z wyrazami szacunku,

Henryk GRYNBERG

Caracas, 2 stycznia 1976.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze *Kultury* z grudnia 1975 roku p. Dominik Morawski najniefrasobliwiej napisał: „Szkoła że tak wielki talent powieściopisarski — jak Józef Mackiewicz — marnuje się w kiepskich pamfletach”. Wielkie nieba! — w jakich pamfletach?!

Jest to raczej dezinformacja, bo Mackiewicz oskarżając Jana XXIII i Pawła VI może przywołać na świadka p. Clarę Booth Luce, ambasadorkę Stanów Zjednoczonych, że nie ma mowy o fantazjach i pamfletach. Zresztą, świadczą o tym encykliki papieskie. Watykan wstępując w koleiny dróg wytrasowanych przez dyplomację Jana XXIII i następnie zaktywizowaną, rozbrajającą Zachód dyplomację Nixona, której cechą była naiwna iluzja na a mi stad z Sowietami, popełnił nieobliczalny błąd.

I... ten „polemiczny” szczegół, wyglądający raczej na mizerykordię ukrytą w fałdach polemicznej togi; czego właściwie należałoby się wstydzić. Mackiewiczowi bowiem „jego rzekomej kolaboracji z niemieckimi władzami okupacyjnymi” nikt nie udowodnił, zaś oskarżenia Mackiewicza pod adresem obu papieży mają uzasadnienie stuprocentowe.

Mackiewicz nie jest kadetem gwardii papieskiej ani członkiem seminarium duchownego, by obowiązywały go coraz to inne stanowiska ojców Kościoła, w sprawach tak zasadniczych jak stosunek Kościoła do barbarzyńskiego komunizmu; przy czym, argumenty p. Dominika Morawskiego są wartości tak wątpliwej jak ten, który czyni zasługę z udania się X. Bp. Rubina na uroczystość odsłonięcia pomnika ku uczczeniu ofiar Katynia. A cóż to za poświęcenie? Bo czy Bp szedł na kolanach i przy ścisłym poście?...

Zadumałem się... Argumentacja obrony Kościoła przez p. Dominika Morawskiego pasowałaby raczej do czasów średniowiecza. Ale w naszych czasach — obrona miasta „Arras” nikomu już nie przystoi. Ojciec „Albert” jest winien! Mistyka grzechu może, i powinna być opsonowana na iluzje, którymi właśnie żywiła się rada miasta „Arras”. Ale, że rachuby ojców Kościoła okazały się naiwne, nie może za nie pociągany być do odpowiedzialności szlachetny pan „De Saxe”...

Wszystko tu zgadza się i przypuszczalnie zgodziłaby się z tym p. Clara Booth Luce, że były to niepotrzebne i fałszywe rachuby Departamentu Stanu, do których za Pawła VI doszłusował niepotrzebnie Watykan. I skąd tu wina pana De Saxe?

Już sama suma gorących odwołań, którą tak niewybrednie wyspecyfikował p. Dominik Morawski, przemawia miazdząco przeciwko ostatnim najwyższym sternikom Watykanu, nie zaś przeciwko Mackiewiczowi.

Przytoczmy jednak choćby jeden dowód:

„Ojciec Święty w rozumieniu trudnej dla Kościoła Chrystusowego współczesnej rzeczywistości politycznej, poświęcając całego siebie Panu Bogu i będąc przez Niego wysłuchanym znajduje potwierdzenie swej oświeconej myśli, że:

Mogą istnieć przeciwstawne systemy polityczne i systemy błędne — które też mogą być sprawiedliwe. Mądrość nakazuje, że należy z nimi współpracować.

Nie może to być kompromis, który w ogóle jest czymś połowicznym, ale pełne ideowe zaangażowanie po stronie komunizmu”.

Cytaty te nie są pamfletem pióra szlachetnego pana „De Saxe”! Są to wyjątki z Encykliki Jana XXIII „Mater et Magistra” i „Pacem in terris”. To nie Mackiewicz ukłękł przed przedstawicielem Kościoła prawosławnego

i ku najwyższemu zdumieniu otoczenia ucałował mu stopy. Uczynił to Paweł VI.

Mistyfikowanie polityki, która zbankrutowała i której konsekwentnym zakończeniem było „Watergate” nie może obciążać nas, ani pana „De Saxe”. Kościół się nie myli! Zgoda! — Ale myślą się ojcowie Kościoła! Pan „De Saxe” rzeczywistość rzeczywistą zna lepiej! Jednak to już nie te czasy, w których za prawdę p. „De Saxe” musiał dać gardło, czego właśnie domaga się p. Dominik Morawski. Może jednak w dalszej części swych pamiętników wyjaśni to lepiej ksiądz prałat Meyszutowicz i odda Mackiewiczowi sprawiedliwość.

Uważne i powolne odkręcanie polityki Nixona jest oczywiste. A *semper fidelis*? Owszem, nawet jeszcze dziś! Ale nie posyłamy pod topór najlepszych naszych głów. Bo jeszcze parę lat i wytłuczemy tu wszystko i wszystkich! I, zostanie tu jedynie miazga. Ten „rząd dusz”, który niezmordowanie przyznawał sobie racje na wszystko, właśnie odchodzi z niczym.

Prawda nie leży w dobranych twierdzeniach p. Morawskiego. Ona jest zawarta w Encyklikach papieskich i w drobnych ogłoszeniach pism codziennych i gazet, które tu stale czytam, i które z tak benedyktyńską cierpliwością zebrał Mackiewicz. Zatem to, co napisał to nie pamflet. Mackiewicz spisał tu kawał autentycznej historii. Palce lizalibyśmy, gdyby to napisał Francuz, czy Anglik.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku,

Józef JENNE

Paryż, 6 lutego 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem do redakcji p. Józefa Lewandowskiego w ostatnim numerze *Kultury* (Styczeń-Luty 1976), wydaje mi się celowe wyjaśnienie kilku szczegółów biograficznych, dotyczących tej postaci wyjątkowej jaką był Wł. Medem. Rację ma właściwie p. H. Grynberg pisząc, że Medem był Rosjaninem, ale rację mają i ci którzy uważają Medema za Żyda. Kiedy urodził się on 22 lipca 1879, ojciec jego lekarz wojskowy w Mińsku, na Białorusi, był jeszcze Żydem, wychrzczył się on bowiem wiele lat później. Ale swego nowonarodzonego synka ochrzcił — na prawosławie — natychmiast. Jako chłopak Medem był pobożnym chrześcijaninem i chodził regularnie na nabożeństwa do cerkwi. W późniejszych latach związał się z ruchem robotniczym, w pierwszym rządzie z „Bundem”, wstępując w jego szeregi w roku 1900. Dość szybko wysunął się na czoło tej organizacji żydowskiej, stał się jej ideologiem i najwybitniejszym przywódcą. Nauczył się żydowskiego, swoje żydowskie przemówienia i artykuły zapisywał sobie początkowo łacińskimi literami, ale z czasem opanował doskonale język żydowski, nawet literacki.

Nie wiem skąd p. Lewandowski czerpie informację jakoby jego pierwotne nazwisko brzmiało — Grinberg. Żydowskie źródła miarodajne podają jako jego jedyne imię i nazwisko: *Władimir Medem*.

Dziękując z góry za opublikowanie tego wyjaśnienia, pozostaję z prawdziwym poważaniem,

Leon LENEMAN,
Przewodniczący Związku
Pisarzy i Dziennikarzy
Żydowskich we Francji.

Szanowny Panie Redaktorze!

Prostowanie cudzych pomyłek — rzecz nudna i helferska, robię to więc niechętnie. Chodzi jednak o to, by pomyłki nie zadomowiły się w nauce.

Pan Wiktor Sukiennicki pisze, że białoruska bojówka komunistyczna zamordowała we wrześniu 1939 roku „byłego ambasadora w Londynie Konstantego Skirmunta” (*Kultura*, nr 1-2, 1976, str. 152). To nie zupełnie tak. Konstanty Skirmunt, poseł w Rzymie, min. Spraw Zagranicznych i ambasador w Londynie umarł kilka lat po wojnie, o ile pamiętam: w Poznaniu. Krótko przed śmiercią spisał swe wspomnienia, ważne źródło do dziejów najnowszych, wielokrotnie wykorzystywane przez badaczy. Zamordowany został natomiast brat ministra, gospodarzący w rodzinnym majątku, oraz siostra, przebywająca z bratem.

Obawiam się, że zbyt lekkomyślnie oddaje p. Sukiennicki niektóre sprawy „kurom na śmiech”. Mjr Waligóra w swej bezstronnej monografii („Walka o Wilno”, Wilno 1939) miał dużo uznania dla Stanisława Bersona. Wilno i Wileńszczyzna zawdzięczały Bersonowi nie mało. To on w 1939 r. nie dopuścił „Czeki” do działania na tym terenie! Berson, nawiasem mówiąc, we wszystkich znanych mi dokumentach podawał narodowość polską. Prawie dubleta strzelił p. Sukiennicki przy Frunzem. Ostatni, mimo, że urodzony w Piszpeku nie był Kirgizem o czym można przekonać się z fotografii. Prawdopodobnie poczuwał się do rosyjskości, ale pochodzenia był polskiego, przynajmniej po ojcu, co kiedyś przy okazji stwierdziłem. Co więcej, zapewniano mnie, że władał językiem polskim.

Dzieje Polski są czasami bardzo powikłane. Więcej w nich tragedii, niż powodów do śmiechu.

Łączę, Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku i poważania,

Józef LEWANDOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Piszę w związku z listem do redakcji Józefa Lewandowskiego.

Włodzimierz Medem był niewątpliwie Rosjaninem z pochodzenia. Nie czytałem wprawdzie jego autobiografii, ale czytałem kilka biografii i wiele wspomnień. Medem przyłączył się do żydowskiego ruchu socjalistycznego ze względów ideowych i szybko znalazł się w kierowniczych instancjach Bundu. Był nawet po części jednym z twórców ideologii Bundu. Ruch socjalistyczny zna niejedyn taki wypadek.

Aleksander LITWIN

Szanowny Panie Redaktorze,

Thun, 1 lutego 1976.

Z prawdziwym niesmakiem czytałem w numerze 1/340-2/341 *Kultury* opowiadanie Andrzeja Łuczeńczyka „Przez puste ulice” i dziwię się, że *Kultura* takie wulgarności drukuje.

Abonentem pisma Pana jestem już od kilkunastu lat i zawsze byłem z pełnym dla niego uznaniem, że stoi na straży czystości polskiego języka i pomaga nam, mieszkającym w obcym otoczeniu, do utrzymania tego języka

na pewnym poziomie. Niechże więc *Kultura* będzie dalej wierna swoim zasadom i karmi nas tym prawdziwym polskim chlebem a nie pomaga p. Łuczeńczykowi karmić nas zakalcem.

Łączę wyrazy szacunku,

Tadeusz TRYNKA

Bordeaux, 15 stycznia 1976.

Szanowny Panie,

Herling stwierdza z melancholią, że modny na Zachodzie socjalizm z ludzkim obliczem „nie wychyla się poza granicę wytyczoną w Jałcie”. Ale czy to samo nie dotyczy zwykłej demokracji? Od trzydziestu lat czekamy, żeby się wychyliła, a ona nic. Herling przez trzydzieści lat wierzył, że demokracja się wychyli. Musiał tę wiarę stracić, skoro K. S. Karola, który głosi, że „socjalizm *de chez nous*” złuzuje demokrację *à la yankee* i wychyli się, uważa za marzyciela.

Herling opiera się na oświadczeniu włoskiego komunisty, który go zapewnił, że marzenia K. S. Karola są „absurdem”. Ale jakoś dziwnie to oświadczenie rozumie. Mówi, że komunizm w Europie Wschodniej już jest dla włoskich komunistów „autentycznym socjalizmem”. Gdyby tak było, dlaczego przeciwstawialiby mu „socjalizm z ludzkim obliczem”? Komunista włoski musi widzieć absurdalność marzeń K. S. Karola w czym innym. Może nie zapomina, że Amerykanie potrafili dogadać się z komunistami rosyjskimi i chińskimi i nie wątpi, że dogadają się także z włoskimi czy francuskimi? Ktoś z otoczenia Berlinguera już nawet jeździł w tej sprawie do Waszyngtonu.

Wystarczy sobie wyobrazić o czym tam rozmawiał, żeby zrozumieć jak bardzo myłą się cytowani przez Herlinga dysydenci rosyjscy, gdy przewidują, że w Rzymie powtórzy się Praga. Mógł np. złożyć zapewnienia, które słyszeliśmy już z ust komunistów portugalskich, np. że Włochy komunistyczne nie opuszczą NATO i nie przyłączą się do Paktu Warszawskiego. Sołżenicyn krzyknąłby „Nie wiercie im!” ale Amerykanie chyba uwierzą. Przez naiwność?

O końcu ideologii mówi się od dawna i rzeczywiście żaden komunista już nie wierzy w komunizm, żaden antykomunista w antykomunizm. Mimo to praktykuje się i jedno i drugie. Chyba więc do czegoś służą? W Europie np. komunizm i antykomunizm służą do utrzymania podziału Niemiec: wschodnie i zachodnie Niemcy nie powinny mieć tej samej ideologii. Tym też chyba tłumaczy się świeża zimna wojna między francuską kompartią a Moskwą. Dyktatura proletariatu, to nie dla nas! — woła Marchais. Herling dostrzeże w tym podszept Szeliepina albo innego sowieckiego „rzecznika autentycznego policentryzmu”. Dlaczego nie miałby nim być sam Breżniew?

Jeżeli starzy stalinowcy tacy jak Marchais tak łatwo decydują się na zmianę skóry i tak demonstracyjnie odcinają się od Moskwy, to dlatego zapewne, że schemat zimnej wojny ma być zastosowany także wewnątrz partii. W ten sposób sowiecka racja stanu robi z Marchais komika. Ale zimna wojna zawsze była komedią, tylko zupełnie inną i o wiele poważniejszą niż myśleli ludzie prostoduszni. Przez co nie chcę powiedzieć, że uważam Herlinga za człowieka prostodusznego. On po prostu gra swoją rolę. Jeżeli zimna wojna ma do czegoś służyć, ktoś musi udawać, że w nią wierzy. Nawet Kissinger nie uchyla się od tego obowiązku.

Z poważaniem,

Jan ULATOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Lancaster, 22 stycznia 1976.

W styczniowym numerze *Kultury* ukazała się wzmianka z której wynika, iż wzięłam w roku 1975 udział w kongresie polonijnym w kraju.

Li-tylko by oddać hołd prawdzie stwierdzam dla porządku, że zachodzi tutaj jakieś nieporozumienie: w żadnym takim kongresie nie uczestniczyłam, i do kraju nie jeździłam.

Dr Michalina VAUGHAN
profesor socjologii
na Uniwersytecie Lancaster

Szanowny Panie Redaktorze!

8 stycznia 1976.

W związku z listem p. amb. Edwarda Raczynskiego, prezesa Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego, opublikowanym w nr. 11 *Kultury* z listopada 1975, pragnę jako przewodniczący Komisji Informacyjnej Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego podać kilka wyjaśnień.

— Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny nie powstał z przeorganizowania Polish University College Association Ltd. (PUCAL) a przejął tylko jego majątek, podobnie jak majątek Stowarzyszenia Techników Polskich w Wielkiej Brytanii i Instytutu Wschodniego „Reduta”, co z kolei zostało wsparte ofiarnością społeczeństwa polskiego na obczyźnie i wielu organizacji i instytucji. Przed formalnym powstaniem POSK'u, które miało miejsce dn. 23 lipca 1964 roku, dziesięć organizacji i instytucji włączyło się do inicjatywy jego utworzenia.

— Na negatywny rezultat pertraktacji z rządem brytyjskim o dalsze subsydiowanie polskich bibliotek nie mógł wpłynąć taki czy inny stosunek PUCAL'u, bo w okresie decydującym (lata 1966-67) PUCAL już nie istniał. Nie wpłynęło na nie także rzekomo niechętnie stanowisko POSK'u, bo władze jego stały zawsze na stanowisku konieczności połączenia wszystkich polskich zbiorów bibliotecznych w jedną całość, nie tylko z powodu obiecanych przez rząd brytyjski subwencji, gdyby do tego doszło, ale także z uwagi na zmniejszenie kosztów administracyjnych i łatwiejsze korzystanie ze zbiorów, znajdujących się w jednym miejscu i posiadających jeden wspólny katalog. Twierdzenie p. amb. E. Raczynskiego, że śp. prof. R. Wajda odmówił w tej materii współpracy, mija się ze stanem faktycznym. Poza tym śp. prof. R. Wajda nie reprezentował w tej sprawie samego siebie, a przedstawiał uzgodniony punkt widzenia władz POSK'u. Choć wszyscy uznawaliśmy śp. Profesora za inicjatora i twórcę POSK'u, sam Profesor cenił sobie bardzo, że mógł w każdym wypadku reprezentować opinie i decyzje zespołu władz które podobnie jak On pochodziły z wyboru.

— Stosunek p. amb. E. Raczynskiego i Instytutu, na czele którego stoi, do Biblioteki Polskiej w chwili, gdy ważyły się jej losy, najlepiej określają jego własne słowa. Podaję wyciąg w tłumaczeniu polskim z listu p. amb. E. Raczynskiego z dnia 20 stycznia 1966 roku, skierowanego do Anthony Crosslanda, ówczesnego kierownika Departamentu Nauki i Wiedzy (*The Secretary of Department of Education and Science*):

„Instytut nie może w tych warunkach przyjąć na siebie odpowiedzialności za dalsze trwanie i funkcjonowanie Biblioteki Polskiej ani w formie połączenia z własną biblioteką Instytutu ani jako osobnej jednostki. Jego własna sytuacja finansowa wymaga nieustannej uwagi”.

Na szczęście istniał już POSK i on udzielił władzom brytyjskim gwarancji, że przejmie na własność Bibliotekę Polską i Centralę Bibliotek Ruchomych i zapewni im pełne funkcjonowanie w oparciu o ofiarność polskiego społeczeństwa. Tylko dlatego nie zostały one rozparcelowane lub oddane kłóremu z angielskich uniwersytetów.

Dodatkowym niezbitym dowodem, że POSK od początku zmierzał do połączenia bibliotek, jest fakt, że w gmachu swym zaplanował i wybudował pomieszczenia dla wszystkich księgozbiorów jeszcze za życia śp. prof. R. Wajdy i za Jego orędownictwem.

Nie jest ściśle stwierdzenie, że „umieszczenie obu bibliotek pod jednym dachem nie dało się załatwić z powodu trudności finansowych” (cytat z listu p. amb. E. Raczynskiego). Na ostatni list POSK'u z dnia 24 listopada 1975, w którym zostało stwierdzone, że Ośrodek jest gotów przejąć całkowitą odpowiedzialność za bibliotekę Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego i że jedynym wydatkiem Instytutu byłby koszt przeniesienia zbiorów do gmachu POSK'u, zarząd otrzymał list z dnia 9 grudnia 1975 roku, podpisany przez p. amb. E. Raczynskiego, jako przewodniczącego Instytutu, z następującymi stwierdzeniami:

„Z uwagi na:

- a) odpowiedzialność, która ciąży na Instytucie jako organizacji powierniczej,
 - b) charakter Instytutu jako instytucji naukowej,
 - c) obecną sytuację obu instytucji,
- Zarząd Instytutu nie uznał za możliwe przychylić się do propozycji Panów”.

Wydaje mi się, że wymienione powyżej powody, istniejące przecież od początku wspólnych rozmów, przesądziły od razu negatywny wynik rozmów nie z winy POSK'u.

Obecnie cały nasz wysiłek kierujemy na wykończenie pomieszczeń dla Biblioteki Polskiej i Centrali Bibliotek Ruchomych, które zostaną przeniesione do nowego gmachu w maju i czerwcu 1976 roku. Znajdą się tam również cenne księgozbiory i pamiątki historyczne Instytutu Historycznego im. Józefa Piłsudskiego oraz Instytutu Wschodniego „Reduta”.

Dla szerszą rozbudowę działalności POSK'u prowadzić będziemy niezależnie od towarzyszących nam trudności, obojętnie z jakich stron będą nam stawiane.

Dotychczasowe zaufanie i ofiarność społeczeństwa utwierdzają nas w przekonaniu, że działamy zgodnie z wolą i opinią ogromnej większości polskiego społeczeństwa niepodległościowego na obczyźnie.

Proszę przyjąć Panie Redaktorze wyrazy prawdziwego szacunku i podziękowania za serdeczną życzliwość, okazywaną na łamach *Kultury*, dla Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego,

Ryszard A. ZAKRZEWSKI

(Na tym dyskusję zamykamy. Wydaje się nam, że w tej chwili ważniejszą sprawą jest dokończenie budowy POSK'u i zapewnienie jego istnienia w przyszłości niż rozpatrywanie popełnionych błędów. — Redakcja).

Z LISTÓW DO REDAKCJI

P. Tadeusz ROSOL z Toronto polemizując z „Korespondencją z Rzymu” D. Morawskiego zamieszczoną w grudniowym numerze *Kultury* gdzie była omówiona książka J. Mackiewicza „Krzyż i czerwona gwiazda” domaga się, żeby bp Rubin wyjaśnił czy składał ślubowanie na wierność PRL.

P. Jan WAGNER z Oakland Cl. atakuje recenzję p. J. Katz-Hewetson z książki Tadeusza Nowakowskiego „Byłe do wiosny”, uważając ją za krzywdzącą dla autora.

P. Z. ROLICZ uważa „Wrażenia z pobytu w Polsce” zamieszczone w nrze 10/337 *Kultury* za przeczernione i niesprawiedliwe.

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

c.d. ze str. 2-ej)

Zofia i Stanisław Sadowscy, Windsor, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 281,50
Michał Sienko, South River, N.J. (USA)	F. 9,00
Stanisław Śliwiński, Concord, Cal. (USA)	F. 9,00
Zygmunt Sowa, Detroit, Mich. (USA), po raz dziesiąty	F. 54,00
K. Styś, Côte St. Luc, P.Q. (Kanada), po raz piąty	F. 10,00
A. A. Świdorski, Ottawa, Que. (Kanada)	F. 27,00
S. Szynalski, St. Agathe, Man. (Kanada)	F. 36,00
Barbara Teissler, Toronto, Ontario (Kanada), po raz ósmy	F. 90,00
Dr Marian Turski, Belleville, Ontario (Kanada), po raz dwudziesty	F. 260,00
Jan K. i Jadwiga Wagnerowie, Oakland, Cal. (USA), po raz drugi	F. 54,00
C. Waluk, Kitchener, Ontario (Kanada), po raz szósty	F. 57,50
Czesław Zaim, Cleveland, Ohio (USA), po raz dziesiąty	F. 49,50
Łucja Zalewska, Chicago, Ill. (USA), po raz dziesiąty	F. 99,00
Janusz K. Zawodny, Claremont, Cal. (USA), po raz dziesiąty	F. 57,50

DZIĘKUJEMY!

W styczniowym nrze *Kultury* podano nazwiska dwóch ofiarodawców na nasz Fundusz: zamiast Stanisław Dabowicz (Dorchester, Mass.) winno być *Stanisław Drabowicz*, natomiast zamiast Czesław Drabowicz (Kent. Wash.) winno być *Czesław Deminet*. Za te błędy powstałe przy przelewaniu wierszy bardzo przepraszamy. (*Redakcja*).

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Londyński korespondent „Kultury”: Bohdan BRODZIŃSKI,
87, Park Hill, London, S.W.4. 9NX. — Telefon: 622 17 14.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal: 1^{er} Trimestre 1976.

Commission Paritaire N° 21 267.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffite : Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata		lub równowartość
		1/2-roczna	roczna	
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00	
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00	
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	SA 2,25	SA 12,00	SA 22,50	
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00	
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00	
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al Barao de Limeira 1022, apt 74 Cells., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724	US 3,00	US 15,00	US 28,00	
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » I w księgarniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00	
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00	
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839 ; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115 ; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	Can. 3,00	Can. 15,00	Can. 28,00	
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 — NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss — SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	DM. 7,00	DM. 40,00	DM. 75,00	
SZWECJA : Norbet Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70, Postgironkonto Nr 48 82 34-6. U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009 ; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868 ; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172. T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847 ; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271 ; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit Mich 48234 ; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave. Philadelphia, Pa, 19111 ; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwell Street, Bellflower Cal. 90706 Tél. 867-1857 ; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211 ; Tadeusz Lipien, 800 - 4th Street, S.W., Suite 820, Washington, D.C. 20024	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00	
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210.	£ 1,20	£ 7,00	£ 13,00	
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00	

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 120, półroczna — F. 65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le-Mesnil-le Roi,
par 78600-MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 260 — ANDRIEJ SACHAROW

MÓJ KRAJ I ŚWIAT

Przełożył z rosyjskiego
MICHAŁ KANIEWSKI

POSŁOWIE LESZKA KOŁAKOWSKIEGO

Str. 92.

Cena F. 22,00.



TOM 261 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY PIĄTY

Zawiera m.in. prace: P. Wandycz: *MSZ w okresie międzywojennym*; B. Łokaj: *Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945-1946*; J. Garliński: *W poszukiwaniu niemieckich tajnych broni*; B. Miedziński: *Moje wspomnienia* (3); J. Jaklicz: *Żołnierz 2-giej Rzeczypospolitej*; R. A. Woytak: *Wywiad z litewskim Wodzem Naczelnym, gen. Stasys'em Raštikis'em wraz z Uwagami K. Okulicza*; D. Desanti: *Pol-ska... początek wszystkiego* oraz Działy RECENZJE, LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 25)\$ USA 6,75).